

Ginna Gray

Bezcenny świadek

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Za drzwiami rozległy się dwa strzały -jeden po drugim.

Lauren Brownley gwałtownie poderwała głowę, jej spojrzenie padło na odbicie w lustrze, w którym ujrzała pobladłą twarz i wielkie oczy, pełne zgrozy. Do tej pory słyszała strzały jedynie na filmach, nigdy w rzeczywistości, lecz natychmiast rozpoznała ten odgłos i zrobiło jej się zimno.

W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki. Czym prędzej zakręciła kran i w panice rozejrzała się po damskiej toalecie, szukając bezpiecznego wyjścia, lecz zobaczyła jedynie znajdujące się dość wysoko okno, wychodzące na wąską alejkę między budynkami.

Za drzwiami rozległ się rozdzierający krzyk, a Lauren poczuła, jak włosy dosłownie stają jej dęba. Kurczowo zacisnęła mokre dłonie na brzegu umywalki i wbiła spojrzenie W drzwi, Był niemal

środek nocy, z lokalu „Club Classico” dawno już wszyscy wyszli, jedynie w biurze mógł jeszcze siedzieć właściciel, Carlo Giovesi, z którym Lauren pożegnała się dziesięć minut wcześniej.

Boże wielki, a jeśli do lokalu zakradł się włamywacz i Carlo natknął się na niego? A jeśli tak, to który został postrzelony? Ponownie rozejrzała się dookoła w daremnej nadziei na znalezienie drogi ucieczki, a potem na palcach podszła do drzwi, położyła dłoń na klamce i już miała je pchnąć, gdy dosłownie w ostatnim momencie powstrzymała ją myśl, że jeśli tam rzeczywiście znajduje się uzbrojony napastnik, to pokazywanie mu się jest ostatnią rzeczą, jaką powinna zrobić. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy zdała sobie sprawę z tego, jak blisko była popełnienia straszliwej pomyłki, być może śmiertelnej.

Krzyk przeszedł w przejmujący jęk. Lauren zgasiła światło w toalecie, zagryzła wargi i uchyliła drzwi o milimetr.

Zamarła. Na parkiecie, nieopodal fortepianu, stało trzech mężczyzn. Dwóch czasami widywała w klubie, lecz nie znała ich, trzecim był Carlo i to on trzymał broń. U ich stóp wił się konwulsyjnie jakiś człowiek, trzymając się za kolana, a Lauren przeżyła wstrząs, gdy zrozumiała, że mu je przestrzelono. Kiedy rzucający się ranny obrócił się na moment twarzą w jej stronę, zdumiała się jeszcze bardziej. Frank Pappano!

Dwa miesiące wcześniej, gdy zaczęła występować w klubie, grając na fortepianie, Carlo przedstawił jej Franka jako swego partnera w interesach. Lauren często widywała go w lokalu, lecz wiedziała o nim niewiele. I nie chciała wiedzieć więcej. Frank był dużo młodszy od Carla, miał trzydzieści parę lat, śniadą cerę i mógł się podobać. Przy paru okazjach próbował flirtować z Lauren, ona jednak udawała, że niczego nie zauważa, gdyż wydawał jej się zimny, pozbawiony serca i właściwie na sam jego widok przechodziły ją nieprzyjemne ciarki. Niemniej nawet ktoś taki jak on nie zasłużył na to, by mu przestrzelić kolana. Nie mogła uwierzyć, że Carlo okazał się zdolny do takiego okrucieństwa.

Oparła czoło o framugę i zacisnęła powieki. Dobry Boże, ależ ona była głupia i naiwna! Czytała gazety, słyszała, co ludzie mówią, widziała, jakie podejrzane typy przychodzą do biura jej szefa, lecz zamykała oczy i uszy na wszystko, nie chciała o niczym wiedzieć. Zupełnie jak struś, który wsadził głowę w piasek, pomyślała, głęboko zdegustowana.

Owszem, czuła w głębi serca, że coś jest nie tak, ale wolała nie zgłębiać tematu i konsekwentnie odsuwała od siebie nawet najmniejsze podejrzenia, gdyż po tym wszystkim, co Carlo dla niej zrobił, nie chciała być nielojalna. I widzisz, dokąd zaprowadziła cię twoja ślepotą, zganiła się w myślach. Westchnęła ciężko.

- Postrzeliłeś mnie! Jezu Chryste, Carlo! Dlaczego? Och, kurwa, moje nogi! Moje nogi!

Carlo potrząsnął imponującą jak na swój wiek grzywą srebrnych włosów, która wraz z charakterystycznymi rysami twarzy nadawała mu wygląd surowego patriarchy. Powoli rozciągnął wargi w złowieszczym uśmiechu.

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Frank. Doskonale wiesz, dlaczego. Okradałeś mnie, a ja na to nie pozwolę.

Nie odrywając wzroku od leżącego, strzelił palcami, a wtedy jeden z mężczyzn podał mu kwadratowy pakuneczek owinięty w folię. Carlo otworzył pakunek, wyjął z niego trochę białego proszku i posypał nim Franka jak śniegiem.

- Ta ostatnia partia koki, którą mi dostarczyłeś, składa się głównie z cukru. - Fachowo zważył paczuszkę na dłoni. - Stałeś się zbyt chciwy i to cię zgubiło. Gdybyś działał ostrożniej i nie doprowadził aż tak dużo, kto wie, czy by ci się nie upiekło? Dureń z ciebie.

Nagle zmienił się na twarzy i z furją kopnął rannego w kolano. Frank zawył, a Lauren włosy stanęły dęba na głowie.

- Ty żałosny fiucie, naprawdę myślałeś, że gwizdniesz połowę mojej koki i ujdzie ci to na sucho? - warknął.

- Nie, Carlo, niczego nie gwizdnałem! Człowieku, przysięgam na Boga! T-to pewnie ci choler-

ni dostawcy, t-to oni cię oszukują, nie ja, wiesz, że ja bym tego nigdy nie zrobił! O Chryste, moje kolana!

- Zaczynasz mnie wkurzać. Zostało ci mało czasu.

Chociaż w lokalu panował półmrok, Lauren ujrzała wyraźnie, jak twarz Franka robi się szara niczym popiół.

- Wyświadczam ci przysługę. Wiesz, że już dawno przestałem brudzić sobie ręce, ale dla ciebie zrobię wyjątek, bo to sprawa osobista. Dlatego nie zleciłem tego nikomu innemu. Jestem ci to winien.

- Jezu, Carlo, wybacz mi - wybełkotał Frank. - Ja nie chciałem, ja naprawdę nie chciałem. Wybacz mi. Nie zabijaj mnie. Proszę, nie zabijaj mnie.

- Pracowałeś dla mnie przez tyle lat. Zabrałem cię z ulicy, kiedy byłeś dzieckiem, nauczyłem cię wszystkiego, traktowałem cię jak syna, ty pieprzony draniu!

- Carlo, błagam, nie rób tego! To się nigdy nie powtórzy, przysięgam, przysięgam na Boga! Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko! Tylko mnie nie zabijaj! - Jego wykrzywiona twarz była cała zlana potem.

- Oszczędź sobie i nam zbędnej gadaniny. Byłeś już trupem, gdy okradłeś mnie po raz pierwszy. Pozostaje tylko ustalić, kiedy i jak umrzesz, a to zależy od ciebie. Powiesz, gdzie

schowałeś mój towar, to zastrzelę cię od razu. Zaczynj kręcić, a wkrótce sam będziesz błagał, żebym cię zabił.

- Chryste, człowieku, wysłuchaj mnie!

- To jedyny wybór, jaki ci pozostał - oznajmił Carlo z lodowatym spokojem. - Ostrzegam cię, że jeśli mnie okłamiesz, zginie również cała twoja rodzina. Wcale nie chcę tego robić, bardzo lubię Marię oraz małego Franka i Maria. Nienawidzę zabijać kobiet i dzieci, ale wiesz, że nie mam zwyczaju rzucać czczych pogrózek, dlatego jeśli nie chcesz, żeby twoja śliczna żona oraz twoi uroczy synkowie ucierpieli, nie okłamuj mnie. - Carlo nachylił się z uśmiechem. - Masz dokładnie trzy sekundy. Albo mi powiesz, gdzie znajduje towar, który mi ukradłeś, albo następny strzał dostaniesz prosto w jaja.

Lauren obserwowała całą tę scenę z kompletnym niedowierzaniem i narastającym przerażeniem. Widziała, jak Frank zaczyna się trząść i jak zaciska powieki. Wymamrotał coś pod nosem, przeżegnał się, potem wziął głęboki oddech.

- To... To jest w magazynie w Patton przy Trzeciej Wschodniej.

Ledwie zdążył to powiedzieć, padł trzeci strzał i na czole Franka pojawiła się dziura. Chociaż Lauren wiedziała, czego się spodziewać, podskoczyła i gwałtownie wciągnęła powietrze. Za późno zakryła usta dłonią.

Frank rzucił się konwulsyjnie, po czym znieruchomiał, z dziury na czole popłynęła krew. Lauren patrzyła na zabitego, czując, jak robi jej się niedobrze.

- Co to było? - Carlo bystro rozejrzał się dookoła, wreszcie jego wzrok spoczął na drzwiach toalet, najpierw męskiej, potem damskiej.

Lauren drgnęła i cofnęła się, śmiertelnie przerażona. Właśnie była świadkiem morderstwa popełnionego z zimną krwią! Musi natychmiast wyostać się stąd, nim ci trzej odkryją jej obecność! Obejrzała się w stronę okna, zza którego sączyła się żółtawa poświata od latarni w alejce poniżej. Nawet gdyby zdołała podciągnąć się tak wysoko, nie zdaży uciec, nim ktoś zajrzy do toalety. Poczowała przypływ paniki, lecz zdołała się opanować. Myśl, kobieto! Myśl! Musi być jakieś wyjście! Myśl!

- Ale co, szefie? Ja nic nie słyszałem.

- Czy stały jakieś samochody na parkingu, kiedy przyjechaliście?

- A ja tam wiem? Wprowadziliśmy Franka tylnymi drzwiami, jak pan kazał.

- To wyjdź i zobacz. Tony, sprawdź kible, ja przeschukam lokal.

Boże, Boże, co robić?! Lauren z rozpaczą załamała ręce, spojrzała na kabiny, ale odrzuciła pokusę ukrycia się w którejś z nich, gdyż wiedziała, że Tony na pewno zajrzy do każdej.

Podskoczyła, gdy naraz za ścianą rozległ się łomot, potem następny. Zrozumiała, że ten oprych jest w męskiej toalecie i kopniakami otwiera drzwi kabin.

Wahała się przez ułamek sekundy, potem podbiegła do okna, otworzyła je na tyle szeroko, na ile zdołała, zawróciła do umywalki, chwyciła torebkę, podkasała długą wieczorową suknię, otworzyła drzwi szafki znajdującej się pod umywalką i wcisnęła się do środka, po raz pierwszy w życiu ciesząc się z tego, że jest niska i drobna.

Ledwie zdążyła zamknąć ze sobą drzwiczki, do łazienki wsunęło się łapsko, wymacało kontakt na ścianie i zapaliło światło. Wąski promień wpadł do kryjówki Lauren przez szczelinę w drzwiach szafki. Wstrzymała oddech i próbowała wtopić się plecami w ścianę. Widziała przez szczelinę, jak Tony najpierw ostrożnie zagląda do toalety, a potem wślizguje się do środka, trzymając broń w ręku. Przypominał jej węża, jego zimne oczy poruszały się nieustannie, ruchy były niezwykle płynne, złowieszcze.

Serce biło jej tak mocno, że chyba musiał to słyszeć - a przynajmniej tak jej się zdawało. Na szczęście przeszedł obok szafki i Lauren przestała go widzieć. Po chwili rozległ się znajomy łomot. Raz. Drugi. Trzeci. Za każdym razem Lauren kuliła się coraz bardziej. Przycisnęła dłoń do ust, żeby nie krzyczeć.

- Znalazłeś coś, Tony?

- Nie, panie Giovesi. Nic. - Tony znów pojawił się w polu widzenia Lauren. - Jeśli ktoś tu był, to uciekł przez okno, bo jest szeroko otwarte.

- Cholera!

W drzwiach łazienki stanął Carlo, spojrzał w stronę otwartego okna, skinął na Tony'ego lufą broni.

- Wyjdź i sprawdź, czemu Leo jeszcze nie wrócił.

- Już jestem, szefie. Na parkingu stoi czerwony lexus.

- Niech to szlag! To wóz Lauren.

- Tej szykownej cizi, która tu gra na fortepianie?

- Tak. Myślałem, że kwadrans temu poszła do domu, widać wróciła skorzystać z toalety. - Carlo westchnął. - Wielka szkoda, ona ma wyjątkowy talent.

- Co mamy robić, szefie?

- Przede wszystkim usuńcie stąd Franka i sprzątnijcie ten cały bałagan. Kiedy skończycie, zabierzcie z parkingu lexusa. Tony, pojedziesz do mieszkania panny Brownley. Musiała stąd uciec przerażona, a przerażony królik zazwyczaj chowa się w norze. Pewnie pobiegła spakować kilka drobiazgów, nim zniknie. Ale to bystra dziewczyna, więc kiedy przestanie panikować i zacznie myśleć, dojdzie do wniosku, że zamiast zwiewać,

lepiej jest powiadomić gliny. Musisz ją znaleźć, zanim pójdzie na policję.

- I co mam z nią dalej zrobić?

Carlo patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund.

- Zabij ją.

Lauren mocniej przycisnęła dłoń do ust, instynktownie kuląc się jeszcze bardziej;

Długo po tym, jak światła pogasły, a męskie głosy ucichły, Lauren siedziała w swojej kryjówce, drżąc na całym ciele i czując, jak serce tłucze jej się w piersi niczym przerażony ptak. Otaczała ją ciemność i cisza. Nadstawiała uszu, nasłuchując podejrzanych odgłosów, lecz dobiegał ją jedynie jednostajny szmer klimatyzacji, mimo to nadal nie ruszała się z miejsca, obawiając się pułapki. Carlo mógł przycziąć się gdzieś w lokalu, czekając, aż ona się zdradzi ze swoją obecnością.

W końcu jednak niewygodna zaczęła dawać jej się we znaki, i okazała się silniejsza niż przerażenie. Lauren miała zupełnie zdrętwiałe nogi, rura kanalizacyjna wbijała jej się w biodro, do tego pomimo działającej klimatyzacji zrobiło się dziwnie zimno. Uświadomiła sobie, że tamci zostawili otwarte okno i już od tego momentu nie przedstawiała o nim myśleć, jakby wzywało ją z przemożną siłą. Znajdowało się dość wysoko i nie było

duże, lecz wiedziała, że zdołałaby się przez nie przecisnąć.

Jeśli jednak Carlo lub któryś z jego ludzi znajdował się nadal na terenie nocnego klubu, usłyszą ją... Z drugiej strony nie mogła ukrywać się w nieskończoność. Chwilę podumała, a potem - milimetr po milimetrze - ostrożnie uchyliła drzwiczki szafki.

Z największym trudem wygramoliła się z szafki; zdrewniałe mięśnie bolały i stawiały opór, musiała zacisnąć zęby, żeby nie jęczeć. Wreszcie stanęła na czworakach na zimnej podłodze i próbowała się podnieść, udało jej się za trzecim razem. Kilka razy pakuśtykała w tę i z powrotem przez łazienkę, zrobiła też trochę wymachów ramion, kilka skrętów tułowia. Kiedy wreszcie ból nieco zelżał, a mięśnie zaczęły jako tako działać, rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby stanąć.

Jedyną rzeczą, której mogła użyć, był wielki metalowy kosz na śmieci, zbyt ciężki, by zdołała go unieść, przechyliła go więc i potoczyła ku oknu. Rzucając co chwilę nerwowe spojrzenie w stronę drzwi, chwyciła oburącz za parapet, wspięła się na kosz i stanęła na nim, opierając stopy na jego przeciwległych brzegach. Kiedy przerzuciła jedną nogę przez parapet, zgubiła pantofel, a kosz przewrócił się z łoskotem, który spłoszył wszystkie koty w ciemnej alei. Rozległo się przeraźliwe

miauczenie, zdolne postawić na nogi bez mała całe Denver.

Lauren ze strachu poczuła przypływ adrenaliny. Błyskawicznie prześlizgnęła się przez okno niczym węgorz. Wylądowała twardo, zdzierając sobie skórę z dłoni i jednego kolana, lecz nawet nie poczuła bólu. Wstała, nie tracąc czasu na szukanie zgubionego pantofla, podciągnęła wysoko suknię i rzuciła się do ucieczki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Agent specjalny Sam Szary Wilk Rawlins odgadł, że szykowało się coś naprawdę ważnego, gdy tylko wkroczył do gabinetu szefa FBI w Denver. Harvey Weiss siedział za biurkiem, kręcąc się i ostentacyjnie okazując zniecierpliwienie, podczas gdy bezpośredni przełożony Sama, Charley Potter, przechadzał się w tę i z powrotem. Obaj palili papierosy, podobnie jak trzej agenci - Todd Berringer, David Owens i Roy O'Connor - siedzący na ustawionych półkolem krzesłach. Pod sufitem wisiała chmura niebieskawego dymu.

- Czy żaden z was nie słyszał nigdy o raku płuc?

Harvey łypnął ponuro na wchodzącego.

- No, raczyłeś się wreszcie zjawić, Rawlins. Najwyższy czas. Gdzieś ty się podziewał, do diabła?

- Przez ostatnie pół godziny wlokłem się za pługiem śnieżnym. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale w ciągu ostatnich paru godzin spadło w Denver dobrych trzydzieści centymetrów śniegu.

- Gdybyś nie mieszkał na tym swoim zadupiu, byłbyś bardziej dyspozycyjny w podobnych sytuacjach. - Na twarzy Harveya odbiła się jeszcze większa dezaprobata, gdy popatrzył na dżinsy podwładnego, jego stetsona oraz znoszone kowbojskie buty.

Sam zignorował zarówno uszczypliwą uwagę, jak i krytyczne spojrzenie. Cóż, to problem Harveya, jeśli nie podobało mu się, gdzie on mieszka. W życiu nie przeniósłby się do miasta, potrzebował przestrzeni i powietrza.

Szef wskazał czwarte krzesło ustawione przed swoim biurkiem.

- Przez ciebie tylko marnujemy czas. Siadaj.

Sam rzucił na mosiężny wieszak kurtkę oraz kapelusz.

- Dziękuję, ale wolę postać tutaj. Tu przynajmniej jeszcze jest czym oddychać.

Harvey wypuścił kłęb dymu i spojrzał przez niego na Sama, mrużąc oczy.

- Niepalący są upierdliwi jak wrzód na dupie. Tylko że akurat ty nie masz prawa narzekać, bo to wy, Indianie, nauczyliście białych palić tytoń.

- Wiem. Moi krewni dotąd nazywają to zemstą czerwonego człowieka.

Roy i Dave parsknęli śmiechem, lecz wystarczyło jedno spojrzenie szefa, by natychmiast umilkli.

Harvey nigdy nie przepuścił okazji, by w uszczypliwy sposób odnieść się do pochodzenia nielubianego podwładnego. Sam nie czuł się do końca ani Indianinem, ani białym, lecz był dumny ze swego podwójnego dziedzictwa - bo tak to postrzegał - więc cokolwiek rasistowskie uwagi Harveya mocno działały mu na nerwy, nigdy jednak nie pokazał po sobie urazy.

- Bardzo śmieszne, Rawlins. Prawdziwy komik z ciebie. Skoro już pożartowałeś, to czy możemy wreszcie wziąć się do roboty?

Sam skrzyżował ramiona i spokojnie popatrzył na szefa.

- Pewnie. Mam tylko nadzieję, że nie wzywaleś nas na darmo, bo jest trzecia nad ranem, a w dodatku prawie odmroziłem sobie tyłek, jadąc tutaj.

Złość wykrzywiła rysy Harveya, lecz nim zdążył przywołać Sama do porządku, do rozmowy wtrącił się agent Berringer.

- A to czemu, stary? Znowu padło ci ogrzewanie?

Sam uśmiechnął się leciutko, niemal niezauważalnie. Todd był urodzonym rozjemcą, wtrącił się ewidentnie po to, by rozładować atmosferę.

- Nie znowu. Ciągłe jeszcze nie wstało po poprzednim padzie.

- Jak to? Przecież mówiłem ci już kilka tygodni temu, żebyś złożył podanie, to ci naprawią - warknął Charley.

- Złożyłem. Trzy razy. - Sam spojrzął na Harveya. - Tylko z jakiegoś tajemniczego powodu moje podania ciągle giną.

- Do cholery ciężkiej, czy możemy wreszcie przestać zajmować się pierdołami i przejść do rzeczy?

- Jasne. Wal.

- Przed godziną policja zawiadomiła nas, że mają u siebie kobietę, która zeznała, że widziała na własne oczy, jak Carlo Giovesi zabił Franka Pappana.

Trzej agenci wyprostowali się gwałtownie, Sam nawet nie mrugnął okiem.

- Bez jaj! - Dave, najmłodszy ze wszystkich, aż pochylił się do przodu, tak podekscytowany, że jego rude włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste niż zazwyczaj.

- Co więcej, da się Giovesiemu udowodnić handel narkotykami. - Na twarzy Harveya malowało się ogromne zadowolenie z siebie, jakby to on sam zdobył owe dowody.

- Czemu Carlo miałyby sprzątnąć własnego człowieka? - spytał Todd.

- Podobno Frank zaczął podprowadzać mu towar. Carlo wziął to sobie do serca.

- No ja myślę...

Dave wydał triumfalny okrzyk.

- Bomba! Nareszcie mamy drania!

- Nareszcie - przytaknął z uśmiechem Todd.

. - Co to za kobieta? - spytał spokojnie Sam.

- Niejaka Lauren Brownley. Gra na fortepianie w „Club Classico”, to nocny lokal Giovesiego. Kiedy się tam pojawiła po raz pierwszy, policja sprawdziła ją po cichu, my zresztą też. Nie znaleźliśmy nic ciekawego, to zapewne najnowsza kochanka Carla, chyba jednak nie należy do jego siatki i nie jest zamieszana w nic nielegalnego.

- Harvey rzucił dużą kopertę w kierunku Sama, który złapał ją zręcznie. - Tu jest jej dossier. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów, ale panna Brownley podobno nie tylko widziała morderstwo, ale też słyszała, jak Pappano podał adres magazynu, w którym schował podprowadzoną kokainę.

- Czemu kochanka Giovesiego miałaby na niego donieść? - spytał Sam.

Harvey rozłożył ręce.

- Nie znasz kobiet? Kto wie, co tak naprawdę nimi powoduje? Może między nią a Carlem zaczęło się coś psuć. Może chce zemścić się za coś. Może zaczęła na boku kręcić z Frankiem. W sumie co to za różnica? Najważniejsze, że wreszcie mamy naocznego świadka.

Todd aż gwizdnął. , .

- Wygląda na to, że Dave ma rację. W końcu dobierzemy się draniowi do skóry.

- Tylko wszyscy gęba na kłódkę - ostrzegł Harvey. - Tym razem ma nie być żadnych przecieków. Nikt poza nami sześcioma nie będzie o niczym wiedział, dopóki nasz świadek nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Wy czterej pojedziecie teraz na policję i przesłuchacie tę kobietę. Jeśli rzeczywiście będzie brzmiało to wiarygodnie, przejmujemy sprawę. Todd i Roy, po przesłuchaniu weźmiecie ludzi i pojedziecie aresztować Giovesiego. Charley już wysłał Sweeneya po nakaz rewizji, magazyn jest pod obserwacją, zgarniemy tego, kto przyjdzie po towar. Jeśli dopisze nam szczęście, będzie to sam stary Carlo we własnej osobie. Pewnie wciąż jeszcze się gotuje po zdradzie Franka, więc niewykluczone, że pofatyguje się po swoją kokę osobiście. Rawlins, ciebie wyznaczam do pilnowania świadka, do pomocy daję ci Dave'a. Jeśli faktycznie jej zeznania dadzą nam haka na Giovesiego, wywieź ją jak najszybciej z miasta, zabierz w jakieś bezpieczne miejsce i trzymaj tam aż do procesu.

- Wyślij kogoś innego. Mam znacznie ważniejsze sprawy niż niańczenie słodkiej cizi Carla.

Harvey spurpurowiał, nachylił się i wycelował w Sama żółtym od nikotyny palcem.

- Słuchaj no, Rawlins. Zeznania tej kobiety mogą zaprowadzić Giovesiego za kratki i to na

długo, więc czy ci się to podoba, czy nie, zajmiesz się nią i dopilnujesz, żeby dożyła procesu, niezależnie od tego, ile by to miało trwać. Zrozumiano?

- Pracuję nad pewną sprawą, nie pamiętasz? Jestem już bliski jej rozwiązania.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Trzej agenci jak jeden mąż odchrząknęli, zmienili pozycje, jakby nagle zrobiło im się niewygodnie. Charley Potter zacisnął zęby, wbił wzrok w podłogę.

Samowi przydzielono jakiś czas wcześniej najgorsze zadanie z możliwych, to jest najgorsze z punktu widzenia jego współpracowników, gdyż miał ich wszystkich przeświecić i znaleźć dowód przeciw któremuś z nich, choćby miał ten dowód wykopać spod ziemi. Od lat biuro FBI w Denver próbowało wnieść akt oskarżenia przeciw Giovesiemu, lecz za każdym razem, gdy już wydawało się, że go mają, coś musiało pokrzyżować im szyki - a to zdematerializował się główny dowód rzeczowy, a to zginął świadek koronny, a to znieściana wypłynęły na jaw jakieś drobne uchybienia proceduralne popełnione podczas śledztwa, co natychmiast wykorzystywał adwokat Carla i wnioskował o umorzenie postępowania. Cała sprawa śmierdziała na kilometr, Giovesi ewidentnie miał w FBI pomocników.

Agent, który przeszedł na złą stronę, budził nienawiść kolegów, ale jeszcze większą budził ten, który próbował go wytropić, gdyż w ich zawodzie

podstawę sukcesu stanowiła praca zespołowa i nikt nie chciał wierzyć, że jego przyjaciel lub partner jest skorumpowany. Kiedy tylko ktoś zadawał niewygodne pytania, całe otoczenie natychmiast zjechało się i gwałtownie broniło osoby, której wiarygodność próbowano podważyć. Sam starał się działać dyskretnie, lecz nie dało się utrzymać jego zadania w tajemnicy, więc wkrótce praktycznie tylko Todd i Charley nie omijali go jak trędowatego, reszta zaczęła go unikać.

Sam podejrzewał, że właśnie z tego powodu szef zlecił mu to zadanie, zamiast zgodnie z procedurą zwrócić się do odpowiedniej komórki w Dziale Spraw Wewnętrznych FBI. Harvey tłumaczył swoją decyzję osobistym zaangażowaniem w sprawę - skoro jeden z jego ludzi się sprzedał, to on musiał się z tym uporać za pomocą środków, jakie posiadał, a nie wzywać kogoś na pomoc. Jako dodatkowe uzasadnienie podał fakt, że nie mieli niezbitego dowodu na istnienie wtyczki, istniały tylko podejrzenia oraz ciąg przypadkowych zbiegów okoliczności. Oczywiście przemilczał fakt, że nikt w całym Biurze w żadne przypadki nie wierzył.

Zdaniem Sama szef zwałił mu tę robotę na głowę głównie po to, żeby zantagonizować go z pozostałymi agentami oraz kompletnie uprzykrzyć mu życie. Na szczęście był typem samotnika, więc nie dotknęło go to aż tak bardzo.

- Przyskrzynienie Giovesiego jest ważniejsze. Charley zgadza się ze mną w tej kwestii. Zresztą to on sam cię zaproponował.

Sam zmierzył swego bezpośredniego przełożonego nieprzychylnym spojrzeniem, na co Charley uniósł dłonie obronnym gestem.

- Sam, zanim cokolwiek powiesz, posłuchaj, co ja mam do powiedzenia. Jeśli ta kobieta jest kochanką Carla, będziesz miał kilka miesięcy na wyciągnięcie od niej informacji, które mogą nam pomóc między innymi w ustaleniu, którego z naszych Giovesi przekupił. Naprawdę warto spróbować. Nie sądzisz?

- Dokładnie - poparł go Harvey. - Nigdy nie wiadomo, co jej naopowiadał, kiedy leżeli razem w łóżku. Tak więc masz nowe zadanie, Rawlins.

- Dłaczego ja?

- Ty jeden znasz całą sprawę od podszewki i wiesz, o co toczy się gra. W dodatku ufam ci. Nie przepadam za tobą, Rawlins, ale mam do ciebie zaufanie. - Harvey zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchnął dym w stronę sufitu. - A teraz już was tu nie ma. Idźcie przesłuchać świadka.

Sam bez słowa zabrał z wieszaka kurtkę oraz kapelusz i wyszedł. Był już w połowie korytarza, gdy dogonił go Todd.

- Chryste, Sam, kiedy ty wreszcie zmądrzejesz i przestaniesz mu się stawiać? Przecież wiesz, że nie wygrasz.

- Ja się stawiam?

- Oczywiście. Robisz wszystko, żeby zaleźć mu za skórę i cholernie dobrze o tym wiesz. Popatrz no tylko na siebie. Wiesz, jaką wagę Harvey przykłada do odpowiedniego ubioru. Co by ci szkodziło wbić się w garnitur i krawat przed przyjazdem do roboty?

- Pieprzę Harveya. Mam wolny weekend, a w dodatku zgodę na wzięcie dnia urlopu. Oficjalnie nie jestem na służbie jeszcze przez... - spojrzał na zegarek - ...dwadzieścia siedem i pół godziny.

- No dobra, rozumiem, ale przynajmniej mogłeś się ogolić.

Sam przeciągnął dłonią po dwudniowym zarostcie, wzruszył ramionami.

- Zrobiłem sobie wolne, więc się nie goliłem. Jak chcecie mnie za to podać do sądu, wolna droga.

- Aleś ty uparty. Słuchaj, wiem, że go nie lubisz, ja też nie. Ale to szef.

Sam tylko parsknął drwiąco.

- Harvey Weiss jest nadętym sztywniakiem i tak naprawdę politykiem, a nie obrońcą prawa. Interesuje go głównie, do diabła, nawet nie głównie, tylko wyłącznie, czy dobrze wypadnie. Nie podejmie najmniejszej decyzji bez rozważenia, jak ona wpłynie na jego wizerunek i czy pomoże mu w otrzymaniu kolejnego awansu. Moim zdaniem zaplanował sobie, że zostanie szefem całego FBI gdzieś tak koło pięćdziesiątki.

- Może i tak, ale to jeszcze jeden powód więcej, dla którego powinienesz przestać mu się odgryzać.

- Te, Cochise!

Słyszając ten ryk za plecami, Sam zjeżył się jeszcze bardziej. Staął i obejrzał się powoli. Zobaczył za sobą pozostałych dwóch agentów i Charleya, a potem jego wzrok powędrował ku Harveyowi, który stał w drzwiach swego gabinetu, oczywiście paląc kolejnego papierosa.

- Co?

- Pamiętaj, co powiedziałem. Jak najszybciej wywieź dziewczynę z Denver i w ogóle ze stanu. Tym razem nie możemy sobie pozwolić na żadną wpadkę. Zabierz ją w bezpieczne miejsce, gdzie Carlo nie zdoła jej osiągnąć.

- Taki miałem zamiar. Coś jeszcze?

- Utrzymuj stały kontakt. Znasz procedurę, przynajmniej raz dziennie musisz zdać raport mnie albo Charleyowi. Nie kontaktujesz się z nikim innym.

- W porządku. - Sam odwrócił się, przeszedł parę kroków, wdusił przycisk windy, drzwi otworzyły się natychmiast, Todd szybko wślizgnął się do środka, jakby chciał zejść z linii ognia, lecz Sam odwrócił się jeszcze i spojrział na Harveya. - A skoro już przy tym jesteśmy, to masz błędne informacje. Cochise był Apaczem, a nie Nawaho jak moja matka. - Nie czekając na odpowiedź,

wsiadł do windy, walnął pięścią w guzik z napisem „parter”. - Dupek.

Lauren Brownley okazała się zupełnie inna, niż Sam się spodziewał. Ku jego zaskoczeniu - oraz irytacji - zrobiła na nim ogromne wrażenie, ledwie na nią spojrzał po raz pierwszy przez weneckie lustro. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się, żeby jakaś przesłuchiwana zawróciła mu w głowie, i to z miejsca. Wściekł się, ponieważ wcale sobie tego nie życzył.

Nie tylko on był pod wrażeniem.

- O rany - wyszeptał Dave.

Todd aż gwizdnął.

- Słuchajcie, zakochałem się.

- Ty? Naczelny ogier całego FBI? - zakpił Sam. - Nie zakochałeś się, tylko napaliłeś.

- Wszystko jedno, w każdym razie powaliła mnie, nie kiwnąwszy palcem. A ty spędzisz z nią całe tygodnie. Cholera by to wzięła!

- Chętnie się z tobą zamienię miejscami.

Todd roześmiał się.

- Harvey powiesiłby nas obu za jaja. Chociaż... w tym jednym przypadku może byłoby warto zaryzykować. Niech cię szlag, Sam, ty to masz szczęście.

Towarzyszący im dwaj policjanci roześmiali się również.

- Faktycznie jest na co popatrzeć - mruknął

detektyw Allen Morgan, a porucznik John Dumphries skinął głową.

Sam zapatrzył się na widoczną przez lustro kobietę, zauważając każdy szczegół jej wyglądu.

Krażyła po pokoju przesłuchań niczym zdenerwowane zwierzę w klatce, ręce miała skrzyżowane, kurczowo przyciśnięte do ciała. Była niewysoka i drobnej budowy, w ostrym świetle jarzeniówek jej włosy połyskiwały niczym miedź.

Sam patrzył, jak kobieta podchodzi do weneckiego lustra, a kiedy znalazła się tuż przy nim, zobaczył, że miała zielone oczy, delikatne rysy i białą jak papier skórę, przy czym to ostatnie należało zapewne przypisać zmęczeniu po nieprzespanej nocy. I oczywiście strachowi, pomyślał beznamiętnie.

Nosiła długą do kostek wieczorową czarną suknię z przejrzystymi rękawami i - ku rosnącemu zaskoczeniu Sama - niedużym dekoltem. Żadnego pokazywania biustu, którego mógłby się spodziewać po dziewczynie z nocnego klubu. Na oparciu jednego z krzeseł otaczających stół wisiał aksamitny czarny żakiecik, obsyty czarnymi cekinami, który wraz z suknią stanowił strój nadający się raczej na wyjście do opery, a nie do popisów muzycznych w lokalu prowadzonym przez gangstera.

Chociaż sukienka była pognieciona, miała brudne smugi oraz dziurę na kolanie, nawet

nieznający się na ubraniach Sam potrafił dostrzec jej jakość. Przy każdym kroku przez rozcięcie z boku spódnicy było widać zgrabną nogę w podartej pończosze.

- Co się stało z jej butami? - spytał Sam.
- Podobno zgubiła je podczas ucieczki.
- Nie do końca jest w typie Carla - zauważył.

Do tej pory gangster preferował biuściaste blondyny o fatalnym guście, zaś ta dziewczyna, nawet bosa, brudna i zdenerwowana miała autentyczną klasę, której brakowało poprzednim kochankom Carla.

Porucznik odchrząknął.

- Jeśli o to chodzi, to panna Brownley twierdzi, że Giovesi jest jedynie jej pracodawcą, nikim więcej. Grywa w jego klubie tylko w weekendy, zaś w ciągu tygodnia uczy muzyki w college'u.

Jasne, pomyślał Sam. Kochanki Carla zawsze pracowały w jego klubie w takim czy innym charakterze, zapewne zatrudniał je w celu zamyslenia oczu swej żonie, gdyż jeśli w ogóle kogokolwiek się obawiał, to właśnie Sophii Giovesi.

- Co o niej wiecie?
- Niewiele. Mamy jej prawo jazdy i adres, tu jest jeszcze raport wstępny i stenogram jej zeznania. - Porucznik Dumphries podał Samowi teczkę z aktami.

- Mówi ci coś ten adres? - spytał detektyw Morgan, gdy Sam rzucił okiem na pierwszą stronę.

- Owszem.

Panna Brownley mieszkała w luksusowym apartamentowcu, którego właścicielem był nie kto inny, tylko sam Carlo Giovesi.

- Do tego nasz świadek jeździ nowiuteńkim lexusem.

- Nb to wszystko pasuje.

Raport policyjny tylko potwierdzał informacje, które Sam już znał z raportu FBI. Agenci odkryli ponadto, że Lauren Brownley w piątki i soboty zostawała sama z Giovesim jeszcze przez parę godzin po zamknięciu lokalu, zaś w środy wieczorem Carlo odwiedzał ją w jej mieszkaniu. I to się nazywa, że ona tylko u niego pracuje, pomyślał z drwiną Sam, a potem kąciki jego warg drgnęły leciutko. Ciekawe, jak Carlo tłumaczył się z tych wieczorów przed żoną? Powiedział, że regularnie chodzi na kręgle, bo nagle zapragnął wziąć udział w zawodach i musi ćwiczyć?

- Nasi ludzie śledzili ją parę razy, rzeczywiście chodziła na uczelnię, więc może faktycznie czegoś tam uczy.

Sam skrzywił się. Agenci FBI też przeszli się za nią parę razy, ale ponieważ nie wyglądało na to, by maczała palce w jakiegokolwiek nielegalnej działalności, nie przyjrano się jej gruntowniej, nie zbadano jej przeszłości, nie sprawdzono, czy jeszcze gdzieś nie pracuje. Zdaniem agentów była po prostu kolejną lalą Carla, która dla kaprysu chodziła na jakieś wykłady.

- Czy ktoś już sprawdził, czy naprawdę jest zatrudniona na uczelni?

- Nie, wstrzymaliśmy się z wszelkimi działaniami, dopóki jej nie przesłuchacie.

- Dobra. - Sam z trzaskiem zamknął teczkę i ruchem głowy wskazał pokój przesłuchań. - No to bierzmy się za nią.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lauren zrobiła kolejną rundę wokół pomieszczenia. Gdzie się wszyscy podziali? Czemu to tyle trwało?

Zatrzymała się i popatrzyła na szerokie lustro obok drzwi. Czy stali za nim i przyglądali jej się - tak, jak wielokrotnie widziała na filmach? Tylko dlaczego mieliby to robić? Czyżby podejrzewali ją o kłamstwo? A może porucznik Dumphries i detektyw Morgan pojechali do „Club Classico” po ciało? Nie znajdują go, mówiła im przecież, że zbiry Carla już zdążyły pozbyć się dowodu zbrodni. Ale skoro policja niczego nie znajdzie, to jak ma jej uwierzyć?

Odwróciła się od lustra i znów zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Co ona w ogóle robiła w tym miejscu? Nigdy w życiu nie była na policji. Jak mogło do tego dojść, że siedziała przez całą noc

w pokoju przesłuchań? Jęknęła i znowu rzuciła spojrzenie na lustro, tym razem w po to, by popatrzeć na siebie z dezaprobatą.

- To wina twojej własnej głupoty i naiwności - mruknęła. - Tylko sobie zawdzięczasz, że wpadłaś w bagno.

A przecież od dawna widziała niepokojące oznaki. Już dwa lata wcześniej, kiedy leżała w szpitalu, gdzie złożył jej wizytę nieznany jej wówczas pan Giovesi, pielęgniarki napomknęły dyskretnie o jego wątpliwej reputacji, Lauren jednak nie chciała słuchać żadnych ostrzeżeń, gdyż wierzyła, że ktoś o tak nieskazitelnych manierach może zasługiwać wyłącznie na szacunek. W jej oczach był uroczym starszym panem, dżentelmenem w każdym calu.

Westchnęła. Wierzyła, bo chciała w to wierzyć. Giovesi pojawił się w jej życiu w momencie, gdy znalazła się zupełnie sama, kompletnie zagubiona, pozbawiona środków. Pomógł jej - on jeden. Był przy niej, gdy rozpaczliwie potrzebowała kogoś bliskiego, dlatego przymykała oczy na wszystko, czego nie chciała widzieć. Przychodziło jej to o tyle łatwo, że Carlo nieodmiennie traktował ją ze staroświecką galanterią, okazując jej podziw i szacunek, a do tego wszystkiego uwielbiał muzykę klasyczną.

Lauren z jękiem wczepiła ręce we włosy. Tak jakby miłość do muzyki świadczyła o dobrym charakterze!

Jak mogłam być tak ślepa i głupia?

Była tak zdenerwowana, że gdy za jej plecami otworzyły się drzwi, aż podskoczyła. Odwróciła się gwałtownie, ujrzała sympatycznego detektywa Morgana, który dał wiarę jej słowom, oschłego porucznika Dumphriesa, który nie krył sceptycyzmu oraz czterech innych mężczyzn. Trzej byli ubrani w tradycyjne ciemne garnitury, lecz zwróciła uwagę praktycznie tylko na czwartego z przybyłych, wyższego od pozostałych.

Włosy i głęboko osadzone oczy miał czarne jak noc. Parodniowy zarost ocieniał dolną połowę jego twarzy o ostrych rysach. Wyglądał na twardego jak skała. Ponieważ przewiercał ją wzrokiem, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi, czym prędzej przeniosła spojrzenie na detektywa Morgana.

- Cieszę się bardzo, że pan wrócił. Czy pan Giovesi został aresztowany? Czy mogę już wracać o domu?

- Obawiam się, że jeszcze nie. Panno Brownley, zechce pani usiąść? Ci panowie przyszli zadać pani parę pytań. To agenci Todd Berringer, Roy O'Connor i Dave Owens oraz agent specjalny Sam Rawlins. FBI.

- FBI? Nie rozumiem. Od kiedy FBI zajmuje się morderstwami?

- Proszę się nie niepokoić. - Jeden z agentów posłał jej czarujący uśmiech. - Zazwyczaj jest tak,

jak pani mówi, lecz w tym wypadku zachodzą pewne dodatkowe okoliczności.

- Agent Berringer próbuje powiedzieć, że kiedy podejrzanym jest znany gangster zamieszany w handel narkotykami, mamy do czynienia z przestępstwem federalnym. Od dawna usiłujemy wsadzić pani przyjaciela do więzienia.

- Proszę, niech pani siada. - Todd Berringer odsunął dla niej krzesło, a gdy usiadła, nalał jej do szklanki wody ze stojącego na stole dzbanka.

- Czy mogłaby nam pani dokładnie opowiedzieć, co się stało?

Znowu zerknęła na detektywa Morgana.

- Nie rozumiem, przecież policja już mnie przesłuchiwała. I to dwa razy.

- A teraz my panią przesłuchamy - uciął bez cienia współczucia człowiek o jastrzębich rysach.

- Najpierw chcielibyśmy się o pani czegoś dowiedzieć. Od jak dawna pracuje pani w „Club Clasico”?

- Od dwóch miesięcy.

- A jak długo zna pani pana Giovesiego?

- Spotkałam go dwa lata temu.

- Jak się państwo poznali?

- Przyszedł mnie odwiedzić w szpitalu po tym, jak miałam wypadek samochodowy.

Robiący notatki Sam uniósł głowę.

- Czemu miałyby odwiedzać panią w szpitalu, skoro pani nie znał?

- Ale mnie słyshał. Widzi pan, byłam wtedy pianistką, dawałam koncerty, a pan Giovesi kocha muzykę klasyczną, dlatego też śledził moją karierę. Denver było jednym z miast na mojej trasie koncertowej i tu przydarzył mi się wypadek. Pan Giovesi przeczytał o tym w gazetach, a kiedy dowiedział się, że mam zmiążdżoną rękę, więc zapewne nigdy więcej nie wystąpię przed publicznością, przyjechał do szpitala, by wyrazić mi swoje współczucie i zaoferować pomoc.

Agent Rawlins zerknął na jej lewą dłoń, którą pokrywała siateczka cieniutkich białych linii podobnych do dróg na mapie. Lauren z zawstydzeniem przykryła blizny prawą dłonią.

- I nie wiedziała pani, z kim ma do czynienia?

- Nie. Jak już panu mówiłam, byłam w trasie, w Denver zjawiłam się na dwa dni przed wypadkiem, nigdy wcześniej tu nie przyjeżdżałam.

- Czemu więc pani została, skoro ręka nadal pani służy i dalej może pani grać?

Lauren posmutniała.

- Po kilku operacjach i roku fizykoterapii mogłam wrócić do grania, ale już nigdy nie dam koncertu, moja dłoń przestała być w pełni sprawna. Owszem, wciąż gram lepiej niż wiele innych osób, ale nie powrócę na poziom wirtuozerski. A zostałam, ponieważ przez większość życia podróżowałam, koncertując, więc nie czułam się związana z żadnym miejscem. Denver wydało

mi się równie dobre do zamieszkania jak każde inne miasto.

Nie dodała, że nie miała wtedy dość pieniędzy, by jej starczyło na bilet autobusowy do sąsiedniego miasta. Do takich rzeczy naprawdę wstyd się przyznawać.

- Rozumiem. Czyli chce nam pani powiedzieć, że Giovesi zaofiarował pani pomoc z powodu swojej miłości do muzyki klasycznej?

Nieufnie spojrzała na przesłuchującego, zaskoczona brzmącym w jego głosie sarkazmem.

- Tak.

- Czy zaofiarował pani również pomoc finansową?

Zacisnęła palce na szklance z wodą, by ukryć ich drżenie.

- Tak. Podziękowałam mu, ale odmówiłam.

- A czemu proponował pani pieniądze? Skoro, jak pani utrzymuje, była pani koncertującą pianistką, z pewnością ich pani nie brakowało. Wykonawcy muzyki klasycznej nie zarabiają tyle, co gwiazdy rocka, ale jednak więcej niż sprzątaczkę.

Zagryzła wargę. No i wydało się.

- To... to prawda, ale... ale kiedy wyszłam ze szpitala, prawie nic mi nie zostało.

- Tak, rachunki za leczenie bywają naprawdę wysokie - wtrącił agent Berringer.

- Dokładnie - przytaknęła ochoczo.

Właściwie nie skłamała, bo rzeczywiście przy-

szło jej zapłacić za leczenie astronomiczne sumy. Collin jednak zadbał o to, by sporą część tej kwoty zwrócono jej z ubezpieczenia, lecz Lauren nie zamierzała wtajemniczać tych ludzi w najbardziej upokarzający epizod ze swojego życia, zwłaszcza że nie miał nic wspólnego z morderstwem, którego była świadkiem.

- Rozumiem...

Agent Rawlins nie wierzył jej, odgadywała to po jego zimnym spojrzeniu. Wolała na niego nie patrzeć, więc wbiła wzrok w szklankę z wodą.

- Zgodnie z tym, co słyszałem od porucznika Dumphriesa, utrzymuje pani, że uczy na uniwersytecie.

- Jak to utrzymuję? Nie utrzymuję, tylko uczę! Pan Giovesi pomógł mi dostać tę pracę, gdy wyszłam ze szpitala. W „Club Classico” grywam tylko w piątkowe i sobotnie wieczory.

- A co z pani mieszkaniem? Czy mieszkanie też pomógł pani znaleźć?

W głosie agenta Rawlinsa zabrzmiał tak ostry ton, że Lauren zerknęła na niego ze zdumieniem.

- Owszem. Właściwie nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie pan Giovesi, to on pomógł mi wstać na nogi i na nowo poukładać sobie życie. Nawet znalazł mi instruktora nauki jazdy oraz samochód, na który mogłam sobie pozwolić.

- Nie umiała pani prowadzić? Ile pani miała wtedy lat? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia cztery?

- Dwadzieścia siedem. Przed wypadkiem nigdy nie siedziałam za kierownicą, nie było takiej potrzeby. Kiedy ruszałam w trasę koncertową, na lotnisku zawsze czekała limuzyna, a kiedy miałam przerwę w koncertach, woził mnie mój tata lub jego asystent.

- A zanim zaczęła pani profesjonalnie występować? Jeszcze nie słyszałem o nastolatce, która nie miałaby ochoty sama prowadzić.

- Agencie Rawlins, nie rozumie pan, że byłam tak zwanym cudownym dzieckiem. Występowałam, odkąd skończyłam cztery lata, nie znałam innego życia. Okres dorastania spędziłam w kolejnych trasach koncertowych, do tego ćwiczyłam sześć do ośmiu godzin dziennie, a kiedy nie grałam, studiowałam muzykę. Nie miałam czasu na nic innego, bo mój tata, który był również moim menedżerem, nie widział powodu, dla którego miałabym się rozpraszać. Musiałam skoncentrować się tylko na muzyce.

- Cudowne dziecko? To coś nowego. - Agent Rawlins przyglądał jej się ze sceptyczną miną.
- Czyli ojciec przykuł panią do pianina i zmuszał do katorżniczych ćwiczeń? Zaraz nam pani opowie, jak to podawano jej wyłącznie chleb i wodę.

- Niech pan nie będzie śmieszny, nie powiedziałam nic podobnego. Nikt mnie nie zmuszał do grania, ponieważ ja kocham grać, muzyka to moje

życie. Mój ojciec roztoczył nade mną wspaniałą opiekę, zadbał o rozwój mojej kariery pianistycznej, umożliwił mi oddanie się w pełni muzyce. Może był nieco nadopiekuńczy, ale to jeszcze nie przestępstwo. Czemu zresztą zadaje mi pan te wszystkie pytania? Co moje życie ma wspólnego z zamordowaniem Franka Pappano?

Agent Rawlins dalej pisał coś w swoim notesie, a kiedy skończył, ciągnął przesłuchanie, ignorując pytania Lauren.

- A gdzież to wcielenie cnót, czyli pani ojciec, podziewa się teraz? Czemu nie pomógł pani po wypadku?

Przeszyła go lodowatym spojrzeniem, lecz nawet okiem nie mrugnął.

- Mój ojciec zmarł dziesięć miesięcy przed wypadkiem. Funkcję menedżera przejął wówczas jego asystent.

- Jak ten człowiek się nazywa?

Ujrzała, że znowu zaczął notować, zdenerwowała się.

- Po co panu ta wiadomość? Przecież to nie ma nic wspólnego z tym, co wydarzyło się dziś w nocy.

- Proszę odpowiadać na pytania, panno Brownley.

Spiorunowała go wzrokiem, co nie dało żadnego rezultatu. Agent specjalny patrzył na nią dalej, milczał i czekał.

- Collin Williams - fuknęła wreszcie z niechęcią.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Kiedy zorientował się, że więcej nie zagram na poprzednim poziomie... znikł.

- I nie kontaktowaliście się państwo ze sobą?

- Nie.

- Mówi nam więc pani, że po wypadku nie miała się do kogo zwrócić i dlatego nawiązała stosunki z Carlem.

Ściągnęła brwi.

- Ja zapewne sformułowałabym to w inny sposób, ale ogólny sens pozostałby ten sam.

Agent Rawlins tak długo wpatrywał się w nią bez słowa, że zaczęła się nerwowo wiercić.

- Kiedy potrzebowałam wsparcia, pan Giovesi mnie nie zawiódł - rzekła, czując potrzebę, by się bronić. - To wspaniały człowiek.

Nagle przypomniała sobie, co widziała kilka godzin wcześniej, więc nawet w jej własnych uszach ta gorąca obrona Carla zabrzmiała niedorzecznie. Skrzywiła się i z jękiem przycisnęła dłonie do skroni.

- Cały czas nie mogę się pogodzić z faktem, że on zamordował Franka z zimną krwią. Gdybym nie zobaczyła na własne oczy, jak pociągnął za spust, nigdy bym w to nie uwierzyła. Dla mnie był zawsze bardzo miły.

- Nie wątpię...

Zauważyła, jak mężczyźni wymienili cyniczne spojrzenia.

- Naprawdę był miły!

- Domyślam się. Powszechnie wiadomo, że panie, które Carlo obdarzył przyjaźnią, nie mają powodów do narzekań - wycedził agent Rawlins.
- A teraz niech nam pani powie, co wydarzyło się ostatniego wieczoru.

- Po zamknięciu klubu zostałam, by zagrać dla pana Giovesiego.

- Czy często daje pani dla niego prywatne koncerty?

- Tak, zawsze zostaję dłużej i gram tylko dla niego. To wielki miłośnik muzyki klasycznej i wspaniały słuchacz.

Nie zamierzała wyjaśniać temu człowiekowi, gdyż zapewne by tego nie zrozumiał, że artysta potrzebuje mieć odbiorców, że muzyk dostaje skrzydeł i gra lepiej, gdy wie, że ktoś go słucha i jest poruszony wykonaniem. Zajęcia z muzyki, które prowadziła w college'u, były jedynie pracą zarobkową, jej dusza rozpaczliwie potrzebowała czegoś więcej. Do pewnego stopnia granie w „Club Classico” zaspokajało jej potrzebę występowania, lecz dopiero prywatne koncerty dla pana Giovesiego, który był prawdziwym koneserem i szczerze podziwiał talent Lauren, powodowały, że znów czuła się artystką. Te wieczory z nim ocaliły jej zdrowie psychiczne.

- Niech pani mówi dalej.

Odetchnęła głęboko.

- Ostatniego wieczoru grałam przez jakieś pół godziny, kiedy pan Giovesi poprosił, żebym przestała, nawet nie dał mi dokończyć utworu. Zdziwiłam się, gdyż zazwyczaj nigdy nie miał dość Chopina, mógł go słuchać i słuchać. Wyjaśnił, że poczuł się zmęczony, życzyłam mu więc dobrej nocy, on udał się do swojego biura, a ja wyszłam z budynku. Już miałam wsiąść do samochodu, ale postanowiłam wrócić i skorzystać z toalety. Kiedy myłam ręce, usłyszałam strzały.

Opowiedziała ze szczegółami, co nastąpiło później. Kilka razy agenci przerywali jej, zadając dodatkowe pytania lub prosząc o powtórzenie czegoś.

- Kiedy wypadłam z tej bocznej alejki na ulicę, nawet nie zwolniłam, tylko biegłam dalej, dwa bloki dalej zobaczyłam przejeżdżający wóz patrolowy i zatrzymałam go. Ci dwaj oficerowie przywieźli mnie tutaj.

Agent Berringer delikatnie położył dłoń na ramieniu Lauren.

- Musiało to być dla pani przerażające doświadczenie, ale proszę się nie obawiać, teraz jest pani bezpieczna. Zadbamy o to, by nic się pani nie stało.

- Dziękuję.

Todd Berringer spojrzał na Rawlinsa.

- I co myślisz, Sam?

Twarz agenta specjalnego była jak wyciosana z kamienia, nie zdradzała niczego. Przewiercał Lauren przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu, aż omal znowu nie zaczęła się nerwowo wiercić.

- Jedźcie - rzucił w końcu.

- Chodź, Roy, zabawimy się. To będzie prawdziwa przyjemność nałożyć kajdanki staremu Carlowi.

Ledwie za agentami Berringerem i O'Connorem zamknęły się drzwi, Sam rzucił notatnik i długopis na stół - pod sam nos Lauren. Prawie podskoczyła.

- Muszę wykonać parę telefonów, podczas mojej nieobecności niech pani spíše, rozmiary całej swojej garderoby, od butów i skarpetek, przez spodnie i bluzki aż do bielizny. I zrobi listę przyborów toaletowych, jakich pani potrzebuje.

- W jakim celu?

- Tam, dokąd jedziemy, nie przeżyje pani pięciu minut w tym, co teraz ma na sobie.

- Jak to „jedziemy”? Nigdzie z panem nie jadę. Gdy tylko zaaresztujecie mordercę, wracam do domu.

Spojrzał na nią z takim politowaniem, że poczuła się jak dziecko, i to zapóźnione w rozwoju.

- Naprawdę pani myśli, że może sobie spokojnie wyjść na ulicę, jakby nigdy nic? Po tym wszystkim, co pani widziała i słyszała? Chyba nie jest pani aż tak naiwna.

- Ale... ale skoro go zamkniecie...

- To i tak większość jego zbirów zostanie na wolności. Kilku na pewno czeka teraz w pani mieszkaniu. Carlo wie, że bez pani zeznań niewiele mu zrobimy, nawet jeśli podczas aresztowania znajdziemy przy nim narkotyki. Dlatego nie ma teraz dla niego nic ważniejszego niż zabicie pani.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Ale... ale jeśli to prawda, to czy... czy jego ludzie nie będą mnie szukać, nawet wtedy, gdy on już trafi do więzienia?

- Oczywiście, że będą.

Agent Owens skrzywił się na tak brutalne postawienie sprawy, a wtedy Lauren popatrzyła na niego pytająco, jakby liczyła na to, że on zaprzeczy. Zawiodła się.

- Niestety, proszę pani, Sam ma rację. Jeśli zapadnie wyrok skazujący, Carlo się odwoła, to pewne. Jeśli będzie powtórny proces, a zabraknie świadka koronnego, Carlo może się wyłgać.

- Po procesie musi pani zniknąć, i to skutecznie, żeby nie miał szansy pani odnaleźć - oświadczył agent Rawlins.

- A niby jak mam tego dokonać? - spytała z przekąsem.

Wzruszył ramionami.

- Zostanie pani objęta programem ochrony świadków.

- Cooo?!

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Rzucił to tak beznamiętnie, jakby to nie było nic takiego, tymczasem dla niej te słowa oznaczały koniec dotychczasowego życia - w chwili, gdy zdołała je sobie poukładać na nowo po wypadku. Teraz wszystko miało się rozsypać po raz drugi.

- O mój Boże... - Schowała twarz w dłoniach. - Jak mogło do tego dojść? - Gwałtownie podniosła głowę. - A gdybym... a gdybym odmówiła zeznawania przeciw niemu?

- I tak panią zabije.

- To co ja mam teraz zrobić?! - Drżąc, przycisnęła dłoń do ust i wbiła spojrzenie w Sama Rawlinsa.

- To proste. Może pani stąd wyjść, ale wtedy musi pani liczyć tylko na siebie. Nie przeżyje pani nawet godziny, proszę mi wierzyć. Albo złoży pani zeznania, a my zrobimy wszystko, by zapewnić pani bezpieczeństwo zarówno przed procesem, jak i po nim.

Patrzyła na niego bez słowa. Świetnie. Po prostu cudownie. Przez całe życie chroniono ją i trzymano pod kloszem, potem przez dwa lata mozolnie uczyła się samodzielności, co wcale nie okazało się takie łatwe, ale ostatnio zaczęła mieć wrażenie, że jednak czyni postępy. Przysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie od nikogo zależna, tymczasem teraz - w wyniku własnej naiwności i głupoty - musiała całkowicie zdać się na innych. Znowu.

- I co pani wybiera?

Lauren zgarbiła się.

- A mam jakiś wybór? Przecież nie chcę umierać.

- Tak też właśnie myślałem.

Agent Owens popatrzył na nią ze szczerym współczuciem.

- Proszę spisać nazwiska pani bliskich, zawiadomimy ich, że jest pani pod naszą opieką. Później, kiedy Carlo będzie siedział w więzieniu i cała sprawa nieco przycichnie, może ewentualnie uda się zaaranżować jakieś spotkanie z nimi w bezpiecznym miejscu.

Potrząsnęła głową.

- Mój ojciec zmarł prawie trzy lata temu, nie mam już żadnej innej rodziny.

- A mąż? Albo narzeczonny?

Przez moment pomyślała o Collinie, jej wargi wykrzywiły się gorzko.

- Nie ma nikogo takiego.

- W takim razie nie będzie pani trudno zacząć wszystko od nowa gdzie indziej, prawda? - rzucił Sam, ewidentnie w ogóle nie licząc się z jej uczuciami. - Niech więc bierze się pani do roboty i pisze te rozmiary, a ja idę zadzwonić. Potem spakuję wszystko, co nam potrzebne na wyjazd i przyjdę po panią. - Nachylił się, oparł się dłońmi o porysowany blat stołu i wbił twarde spojrzenie w Lauren. - I od razu ustalmy sobie jedną rzecz.

Jeśli chce pani pozostać przy życiu, ma pani robić dokładnie to, co mówię i dokładnie wtedy, kiedy mówię. Żadnych dyskusji. Kiedy każę skakać, to pani skacze. Jasne?

Bez słowa skinęła głową.

- To dobrze.

- D-dokąd mnie pan zabiera?

Zerknął na detektywa, potem na porucznika, wreszcie na agenta, w końcu znów popatrzył na nią.

- Lepiej, żeby pani nie wiedziała.

Odprowadziła go wzrokiem, myśląc, że to nie może być prawda, że to tylko zły sen, z którego zaraz się obudzi.

- Panno Brownley, powinna pani teraz trochę odpocząć... póki pani może.

Przeniosła spojrzenie na pełną powagi twarz agenta Owensa. Miał rude włosy, niewinne niebieskie oczy, różową cerę i nie więcej niż dwadzieścia dwa lata. Przecież to jeszcze dzieciak, pomyślała. I on wraz z tym nieprzyjemnym typem miał jej bronić przed zbirami Carla? Przypomniała sobie zimne oczy Tony'ego i przebiegł ją dreszcz.

- Proszę pani?

Potrząsnęła głową, próbując się pozbierać.

- Przepraszam, mówił pan coś?

- Tak, proponuję, by pani trochę odpoczęła, bo gdy tylko Sam wróci, będziemy wyjeżdżać. Porucznik mówi, że jeśli ma pani ochotę się zdrzemnąć, to może pani skorzystać z kanapy w jego biurze.

Lauren miała ochotę krzyczeć. Wrzasnąć z całej siły, że to niesprawiedliwe, że ona nie chce znowu zaczynać od nowa, nie chce nigdzie jechać. Ale to nie zmieniłoby niczego. Czy jej się to podobało, czy nie, była świadkiem koronnym, a to przesądzało o wszystkim. Skoro praktycznie została pozbawiona wyboru, poddała się, a ponieważ miała głęboko wpojone zasady dobrego wychowania, rzekła z przygnębieniem:

- Chętnie skorzystam. Dziękuję panu bardzo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Niech się pani obudzi.

Wyrwana z niespokojnego snu, gwałtownie otworzyła oczy, ujrzała tuż przed sobą surową twarz jakiegoś mężczyzny, który się nad nią pochylał, krzyknęła z przestachem i niezdarnie zaczęła gramolić się z kanapy, próbując uciec.

- Spokojnie - przykazał agent Rawlins. - To tylko ja, nie ma się czego bać.

Rozpoznała dźwięk głosu, więc spróbowała się opanować, choć nie przyszło jej to łatwo, gdyż wciąż oddychała ciężko i szybko jak maratończyk, a serce próbowało wyskoczyć jej z piersi. Nie ma się czego obawiać? Co ten człowiek sobie wyobrażał, tak znieenacka wrywając ją ze snu, skoro wiedział, czego była świadkiem? Naprawdę sądził, że po takich przejściach można reagować spokojnie? W dodatku on sam dodatkowo wytrącał

Lauren z równowagi, lecz prędzej by umarła, niż się do tego przyznała.

Starając się zachowywać z godnością, usiadła na kanapie i odgarnęła z twarzy splątane włosy.

- Zaskoczył mnie pan. Chyba ciągle jeszcze jestem trochę zdenerwowana.

- Na to wygląda. - Dosłownie wepchnął jej w ręce dwie wielkie torby z domu towarowego.

- Tutaj są ubrania i inne rzeczy, resztę już spakowałem. Proszę się przebrać, zaraz wyjeżdżamy.

Rozejrzała się dookoła. Biuro porucznika Dumphriesa miało dwie ściany przeszklone, za nimi znajdowała się przestronna sala, gdzie przy biurkach pracowali detektywi.

- Gdzie mogę to zrobić? Tutaj się nie rozbiorę. On również się rozejrzył, zmarszczył brwi.

- Chodźmy.

Lauren chwyciła żakiet oraz torebkę i podążyła za nim, czując się cokolwiek zakłopotana, gdy tak szła przez komendę policji w podartej wieczorowej sukni i boso. Zauważyła, że agent Rawlins zmienił dżinsy i kowbojskie buty na wełniane spodnie i sięgające kolan mokasyny, wyglądające na ręcznie szyte. Poruszał się w nich zupełnie bezgłośnie, gdy lawirował między biurkami z niezrównaną gracją indiańskiego wojownika.

Skrzywiła się i potrząsnęła głową. Chyba musiała być naprawdę bardzo zmęczona, skoro ten

wyjątkowo nieprzyjemny człowiek zaczynał nasuwać jej podobne skojarzenia.

Zaprowadził ją na koniec długiego korytarza, gdzie zatrzymał się pod drzwiami z napisem „Dla pań”. Lauren rozjaśniła się.

- Nareszcie będę mogła się odświeżyć.

- Proszę teraz nie zajmować się swoim wyglądem, nie idziemy na śniadanie do Ritza.

- Agencie Rawlins, nie zamierzam się malować - poinformowała lodowatym tonem. - Zamierzam się umyć, gdyż pod tą umywalką było naprawdę brudno, a po wyskoczeniu przez okno wylądowałam w jakimś obrzydliwym błocie, o ile nie było to coś gorszego. Chciałabym wyglądać jak człowiek, zanim wyruszymy. Chyba że ma pan jakieś obiekcje.

- W porządku, ale proszę się pospieszyć, musimy jak najszybciej stąd zniknąć. I niech pani nie zapomni włożyć kalesonów, które są w torbie.

Dzięki tej uwadze dowiedziała się jednej rzeczy - nie jechali na południe.

Agent Rawlins oparł się o ścianę i skrzyżował ręce, przyjmując typowo męską postawę, która przekazywała dobitnie: „Czekam!”.

Lauren spodziewała się ujrzeć zwykłą toaletę, tymczasem ku swemu miłemu zaskoczeniu znalazła się w przestronnej przebieralni dla pracujących na posterunku kobiet, gdzie oprócz umywalek i kabin był też prysznic. Nie zastanawiała się ani

przez moment. Sięgnęła do suwaka na plecach, rozpięła zniszczoną suknię, a kiedy ją zdjęła, przyjrzała się jej z żalem. Ostatnia z eleganckich kreacji, w których występowała na koncertach... Pozostałe sprzedała wkrótce po wyjściu ze szpitala.

Westchnęła ciężko i wyrzuciła suknię do wielkiego kosza na śmieci, w ślad za suknią poleciały podarte pończochy. Lauren zdjęła bieliznę i weszła pod prysznic, gdzie znalazła na półeczce żel do mycia oraz szampon. Otarta skóra na dłoniach i na kolanie szczypała niemiłosiernie, lecz Lauren nie zwracała na to uwagi, uradowana, że nareszcie może się umyć.

Kiedy już się wytarła, przejrzała zawartość obu toreb. Znalazła damską bieliznę, dwie pary kalesonów termicznych -jedne z cieniutkiego materiału przypominającego jedwab, drugie z grubej wełny, dwie pary ciepłych skarpet, dres, kurtkę, rękawiczki na futerku, zimowe buty, szczoteczkę i pastę do zębów, krem nawilżający, balsam do rąk i dezodorant.

Miała nadzieję, że agent Rawlins wysłał po te zakupy którąś z sekretarek lub jakąś agentkę, ponieważ rumieniła się na samą myśl o tym, że ten szorstki człowiek miałby kupować dla niej biustonosz i majtki, niezależnie od tego, jak dalece były niewymyślne i praktyczne.

Z grymasem obrzydzenia popatrzyła na bezkształtny szary dres. Doprawdy prześliczny!

Chwileczkę, czy ona upadła na głowę? Co się z nią działo? Na zewnątrz czaili się ludzie, którzy chcieli ją zabić, a ona irytowała się z powodu braku gustu agenta Rawlinsa? Chyba niechęć do niego trochę ją zaślepiła, skoro żywiła pretensje o podobne rzeczy. Dres był czysty i ciepły, a ona wciąż żyła i mogła go włożyć. Czego chcieć więcej?

Ubrała się, lecz bez zbytniego pośpiechu, ponieważ na terenie posterunku czuła się bezpieczna, więc wcale nie miała ochoty go opuszczać. Zmyła do reszty makijaż, nakremowała twarz, rozczesała wilgotne włosy i właśnie zaczęła splatać je we francuski warkocz, kiedy coś grzmotnęło w drzwi. Odruchowo podskoczyła i aż pisnęła z przestachu.

- Niech się pani pospieszy! - ryknął agent Rawlins. - Ma pani jedną minutę, potem wchodzę po panią.

- Idę, idę!

Z urazą łypnęła na drzwi. Owszem, rozumiała, że on wykonuje swoją pracę, ale czy naprawdę musiał zachowywać się aż tak obcesowo? Czym prędzej skończyła splatać włosy, chwyciła kurtkę, rękawiczki i torebkę, ruszyła ku wyjściu.

Sam sprawdził, że właśnie minęła zapowiedzianą minutę, zaklął, oderwał się od ściany i już sięgał do klamki, gdy drzwi otworzyły się i zjawiła się przed nim Lauren Brownley, aż lśniąca czystością, z jeszcze wilgotnymi włosami splecionymi w warkocz, a ten widok podziałał na Sama równie mocno

niczym cios w dołek - na moment zabrakło mu tchu. Słodki zapach świeżo wykapanej kobiety natychmiast nasunął mu erotyczne skojarzenia, przeszło go pożądanie, zaraz potem przyszedł gniew. Do diabła, czemu musiał pragnąć właśnie jej? Była świadkiem koronnym w wyjątkowo ważnym procesie, w dodatku jeszcze nie tak dawno zabawiała się z Carlem Giovesim.

- Najwyższa pora! - Spiorunował ją wzrokiem.
- Wzięła pani prysznic, a do tego jeszcze umyła włosy? Miała pani tylko trochę się odświeżyć. Kobieto, mówiłem, że nie mamy czasu!

- Prysznic jest właśnie najszybszy, kiedy człowiek chce się umyć - odparła godnie jak księżniczka, co jeszcze bardziej zirytowało Sama. Czemu Carlo nie został przy tych swoich wyzywających ciziach?

- Dobra, skoro jest pani wreszcie gotowa, czy możemy iść? - warknął i nie czekając na odpowiedź, chwycił Lauren za łokieć i pociągnął ją w stronę tylnego wyjścia.

Stawiał tak długie kroki, że ledwie nadażała, niemal musiała biec. Obejrzała się przez ramię.

- Gdzie idziemy? Nie powie pan porucznikowi Dumphriesowi, że wychodzimy? Dałby nam obstawę.

- Im mniej osób nas zobaczy, tym lepiej. Wyjdziemy przez parking dla pracowników.

Zauważył kątem oka, jak zerknęła na niego

z przestraczem. Bardzo dobrze, niech się przestraszy jeszcze bardziej, może wtedy przestanie być taka naiwna i wreszcie do niej dotrze, co jej grozi.

- O czym pan mówi? Chyba nie myśli pan, że mogłabym się obawiać kogoś pracującego na policji?

Bez słowa otworzył drzwi i wyciągnął ją na klatkę schodową.

- Pan naprawdę tak myśli!

- Powiedzmy, że nie mam zwyczaju niepotrzebnie ryzykować.

Jęknęła, lecz on, nie zważając na to, zaczął zbiegać z nią po schodach. Niech się zaczyna przyzwyczajając. W ciągu następnych dni, tygodni i miesięcy cała banda wrednych typów będzie chciała ją zabić, lepiej więc, by ta laleczka gangstera nauczyła się podejrzewać wszystkich i wszystko, jeśli chciała przeżyć. Jak będzie wystarczająco mądra, to przestanie ufać nawet jemu.

Lauren zerknęła na ponurą twarz Sama Rawlinsa. Przerazał ją niemal tak samo jak cała ta koszmarna sytuacja, wydawał się w ogóle nie mieć normalnych ludzkich uczuć, a już z całą pewnością był mu obcy strach - oraz wszelka delikatność.

Drzemka i ciepły prysznic trochę ją odprężyły, lecz teraz znów poczuła, jak coś ją ścisną w żołądku, jak po plecach przelatuje wręcz lodowaty dreszcz.

- A g-gdzie agent Owens? Myślałam, że on też jedzie z nami...

Miała nadzieję, że nic się nie zmieniło pod tym względem, gdyż przerażała ją perspektywa spędzenia nie wiadomo jak długiego czasu wyłącznie w towarzystwie tego okropnego człowieka.

- Czeka w samochodzie.

Zbiegli po ostatnich stopniach metalowych schodów i znaleźli się na poziomie podziemnego parkingu, ale kiedy Lauren chciała otworzyć drzwi, Sam gwałtownie szarpnął ją do tyłu i pchnął pod ścianę.

- Niech pani tu stoi, dopóki nie powiem inaczej. Ma pani być zupełnie cicho. Proszę włożyć kurtkę i naciągnąć kaptur, żeby zakryć twarz. Kiedy każę biec, biegniemy. Cały czas chowa pani twarz. Jasne?

Skinęła głową, zbyt przerażona, by się odezwać.

Sam poczekał, aż włożyła kurtkę, a potem przylgnął plecami do ściany przy drzwiach. Oczy Lauren zrobiły się wielkie jak spodki, gdy wyciągnął spod kurtki broń. Lewą ręką ostrożnie uchylił drzwi i zerknął przez szparę, potem otworzył je szerzej i rozejrzał się.

- Droga wolna?

- Tak, nikogo nie ma - odezwał się głos agenta Owensa.

- Idziemy. - Sam chwycił Lauren za rękę i pociągnął ją za sobą.

Wpadli do garażu, ujrzała kilka metrów dalej nieoznakowany szary samochód, stojący z zapuszczonym silnikiem i otwartymi tylnymi drzwiami. Chwilę potem została wepchnięta do środka, położona na siedzeniu i przyrzucona ciężkim kocem.

- Niech się pani tym przykryje i pod żadnym pozorem nie podnosi z siedzenia! - Zatrzasnął drzwi, wskoczył na siedzenie pasażera. - Jedź, jedź, jedź! - ryknął, zaś agent Owens wdusił pedał gazu i wyrwał do przodu z wizgiem opon.

Lauren skuliła się pod kocem, drżąc i modląc się, ponieważ spodziewała się, że lada moment wyskoczą z ukrycia zbiry Carla, otworzą ogień, a kule przeszyją metal samochodu i ciała ich trójki, albo że tamci ruszą za nimi w pogoń, a w trakcie szalonego pościgu dojdzie do wypadku i wóz stanie w płomieniach.

Tymczasem nic podobnego się nie stało. Słyszała normalne odgłosy ulicznego ruchu, czasem któryś z agentów rzucił ostrą uwagę na temat jakiegoś innego użytkownika drogi. Po dwudziestu minutach zdobyła się na odwagę, uniosła brzeg koca i wyrzała spod niego. Niewiele zobaczyła, widziała tylko, jak Sam rozgląda się nieustannie, ani na chwilę nie tracąc czujności.

Odgłosy wielkomiejskiego życia stopniowo cichły, wreszcie w ogóle już ich nie słyszała. Jechali i jechali, trwało to bez mała całą wieczność, aż wreszcie skręcili w boczną drogę, sądząc po tym,

że samochód podskakiwał na wybojach. Żwir pryskał spod opon i walił w podwozie taką kanonadą, że Lauren kuliła się nerwowo, jakby do niej strzelano.

W końcu zatrzymali się.

- Nie gaś silnika, pójde sprawdzic, czy wszystko w porzadku. Gdyby tylko zaczęło się coś dziać, wiesz stąd od razu.

- Tak jest, Sam.

- A pani niech się stamtąd nie rusza, dopóki nie powiem.

- Jak się pani czuje? - zagadnął Dave Owens, gdy zostali we dwójkę.

Chciała zwyczajowo odpowiedzieć: „Dziękuję, dobrze”, ale nie przeszło jej to przez gardło, gdyż była tak przerażona, że aż ją mdliło.

- M-może być.

- Proszę się nie przejmować tym gderaniem Sama, on zawsze tak. Jest typem samotnego wilka, ale to najlepszy agent ze wszystkich. Oczywiście pracuję w FBI od niedawna, więc jeszcze nie widziałem go w akcji, ale bardzo dużo o nim słyszałem. Niech się więc pani nie martwi, jeśli ktoś może zapewnić pani bezpieczeństwo, to właśnie Sam.

- Mhm - wymamrotała cichutko, gdyż była zbyt zdenerwowana, by rozmawiać.

Czekała w napięciu, wreszcie Sam wrócił i usiadł na swoim miejscu.

- Wszystko gra. Podjedź do tego biało-zielonego i zaparkuj moją stronę przy schodkach. Stań tak blisko, jak tylko zdołasz. Ja wsadzam do samolotu pannę Brownley, ty bierzesz bagaże.

- Rozkaz.

Samochód ponownie ruszył po nierównym gruncie, zaś Lauren usłyszała narastający warkot innego silnika, widać samolot czekał na nich w pełni gotowy do natychmiastowego startu. Gdy tylko się zatrzymali, Sam wyskoczył i w ułamku sekundy otworzył tylne drzwi wozu.

- Szybko, idziemy!

Zerwał koc z Lauren, chwycił ją za ramię, wyciągnął na zewnątrz i dosłownie wepchnął po kilku schodkach do wnętrza awionetki. Siedzący przy sterach pięćdziesięciokilkuletni pilot odwrócił się i posłał przerażonej pasażerce dodający otuchy uśmiech.

- To Bob Halloran! - Sam starał się przekrzywić ryk silnika. - Emerytowany agent FBI, a ponadto mój stary przyjaciel, więc jest pani w dobrych rękach. Niech pani siada i zapnie pasy, zaraz startujemy.

Wrócił do wejścia, chwycił dużą torbę podróżną, którą rzucił mu Owens, potem młodszy z agentów też wskoczył do środka i zatrzęsął za sobą właz.

- Jazda z tym gruchotem! - wrzasnął Sam, spiesząc razem z Dave'em do kokpitu.

Chwilę później Lauren już patrzyła z góry na niewielkie lądowisko, z którego wystartowali, potem ujrzała Denver, kurczące się w miarę, jak wznosili się coraz wyżej, z czasem zrobiło się niewielkie, jakby było tylko plamą na śniegu, wreszcie znikło zupełnie. Lecieli na zachód, w kierunku gór.

Oparła czoło o chłodną szybę, czując, jak jej tętno powoli zaczyna wracać do normy. Udało się. Uciekła. Odetchnęła, usiadła wygodniej, rozejrzała się dookoła. Znajdowali się w sześćoosobowej awionetce, głośnej i tak małej, że żaden z agentów nie mógłby w niej stanąć wyprostowany. Lauren normalnie bała się latania, zwłaszcza czymś tak niesolidnym, lecz w tym momencie odczuwała jedynie ogromną ulgę.

Jej uwagę przyciągnął Sam Rawlins, zadziwiająco spokojny podczas całej akcji. Teraz rozmawiał ze swoim przyjacielem, wspominając jakąś myśliwską wyprawę, na której byli rok wcześniej. Co prawda obaj musieli krzyczeć, bo warkot silnika zagłuszał wszystko, ale widać jakoś im to nie przeszkadzało. Lauren tak naprawdę po raz pierwszy słyszała, jak chroniący ją agent z kimś rozmawia, bo do niej praktycznie się nie odzywał, gdy nie było takiej potrzeby.

Nie wyobrażała sobie, jakim cudem zdoła spędzić w jego towarzystwie następne tygodnie. O czym ma z tym człowiekiem rozmawiać? A mo-

że on będzie ją ignorował i ograniczał się tylko do szorstkiego wydawania rozkazów? Sama już nie wiedziała, co gorsze.

Cóż, znając swoje szczęście, właściwie nie powinna się dziwić, że przydzielono jej do ochrony najbardziej antypatycznego z agentów. Ale skoro już miała ukrywać się przez całe miesiące i to Bóg je d n raczy wiedzieć, gdzie, to czy naprawdę nie mogło jej się trafić jakieś przyjemniejsze towarzystwo? Na przykład ktoś tak miły jak agent Berringer? Dobrze, że przynajmniej leciał z nimi Dave Owens. Chociaż ewidentnie podziwiał Sama Rawlinsa, którego z całych sił starał się zadowolić i naśladować, nie przejął jego opryskliwego sposobu bycia i traktował Lauren bardzo życzliwie.

Z westchnieniem odchyliła głowę na oparcie. Miała wrażenie, że śni jej się jakiś koszmar i za nic nie może się obudzić. Za ledwie dwa lata wcześniej była wschodzącą gwiazdą światowej pianistyki, przepowiadano jej wielką karierę i świetlaną przyszłość, miała ogromny talent, dużo pieniędzy, a do tego przystojnego narzeczonego, który sprawiał wrażenie zakochanego do szaleństwa. Niemal w ciągu jednej nocy straciła wszystko, włącznie z menedżerem i narzeczoną w jednej osobie, gdyż, jak się okazało, wcale jej nie kochał.

W rezultacie skończyła jako nauczycielka muzyki w college'u, zarabiająca nędzne pieniądze, w weekendy przygrywająca gościom nocnego

klubu. Ale nawet i to los jej odebrał, nie miała już nic, stała się jak ścigane zwierzę, a za towarzystwo miała człowieka, który patrzył na nią bez mała jak na glistę.

Zamknęła oczy, gdyż naraz ogarnęło ją straszne zmęczenie i nieodparta senność. Czuła piasek pod powiekami, bolały ją wszystkie mięśnie, piekła otarta skóra. Lauren usiadła wygodniej i wkrótce zasnęła mimo warkotu silnika, gdyż był kojąco jednostajny i zadziałał prawie jak kołysanka.

- Co się stało?

Wyprostowała się gwałtownie na fotelu, serce biło jej szybko. Nie miała pojęcia, co się dzieje, gdzie jest i jak się tu dostała, więc rozejrzała się w panice, a gdy zobaczyła Sama Rawlinsa, wszystko jej się przypomniało. Jęknęła cicho, przycisnęła dłoń do serca, by się uspokoić i z ulgą odchyliła się z powrotem na oparcie. Ulgą trwała niedługo, może nawet niecałą sekundę, gdyż Lauren naraz zrozumiała, co ją obudziło - silnik, zamiast dalej buczeć jednostajnie, zaczął przerywać i krztusić się. Kurczowo zacisnęła dłonie na poręczach, pochyliła się do przodu i krzyknęła:

- Co to za dziwny odgłos?

Owens zerknął do tyłu przez ramię, a malujące się na jego młodziutkiej twarzy przerażenie bynajmniej nie uspokoiło Lauren. Zaraz potem odwrócił się do niej agent Rawlins.

- Silnik zaczął nawalać! Niech pani pod żadnym pozorem nie rusza się z miejsca i nie rozpina pasów!

Mieli awarię silnika? Serce ścisnęło jej się tak mocno, jakby ktoś włożył je w imadło i mocno dokręcił. Wyrzała przez okienko, a wtedy wszystko podskoczyło jej do gardła, ponieważ znajdowali się znacznie niżej, niż się spodziewała. Wierzchołki drzew i skaliste granie przemykały zaledwie kilkaset metrów pod nimi. W innych okolicznościach uznałaby scenerię za spektakularną, gdyż przelatywali nad majestatycznymi górami, gdzie - jak okiem sięgnąć - nie było nawet śladu cywilizacji, za to wszędzie było widać ostre turnie oraz głębokie wąwozy, wypełnione śniegiem.

- No, dalej, mała! - Bob Halloran poganiał awionetkę jak konia. - Dalej! Nie możesz mnie teraz zawieść!

Lauren znów spojrzała w kierunku kokpitu. Pilot gorączkowo sprawdzał wskazania przyrządów, wduszał jakieś przyciski, coś przełączał, ale wszystkie te wysiłki nie dawały żadnych rezultatów, gdyż silnik kasłał coraz częściej, aż wreszcie mały samolocik wierzgnął niczym narowisty mustang. Lauren jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

- Zaraz pójdzie! Cholera! Zaraz pójdzie!

- Co pójdzie?! - krzyknęła Lauren, ale nikt nie musiał jej odpowiadać, gdyż jeden rzut oka za

okno wystarczył, by zrozumieć, o czym mówił Bob. Prawy silnik zgasł, śmigło kręciło się jeszcze przez chwilę, potem zatrzymało się. - O Boże, nie! Nie!

- Co z drugim? - rozległ się głos Sama.
- On też nie pociągnie!

I faktycznie. Drugi silnik, który również rzeził, chwilę później przestał pracować. Zapadła przerażająca cisza, słyhać było tylko upiorny świst wiatru.

- Spadamy!
- Boże! - wrzasnął Dave.

Sam obrócił się do Lauren.

- Zaciśnij pas! Jak najmocniej! I głowa do dołu! No już!

Nawet go nie usłyszała. Siedziała dosłownie sparaliżowana ze strachu, ze wzrokiem wbitym za okno, gdzie pędziło ku nim pokryte śniegiem zbocze góry.

W jednej chwili Sam znalazł się obok Lauren.

- Głowa do dołu, do cholery! I trzymaj się mocno!

Rzucił jej zwiniętą kurtkę na kolana i bez najmniejszych ceregieli przydusił do niej twarz Lauren.

- Widzę polanę na wprost nas! - krzyknął pilot.
- Spróbuję do niej dolecieć. No, dziecinko, jeszcze troszkę! Dasz sobie radę! Dalej! Dalej!

Lauren chciała krzyżeć, lecz zaschło jej w gard-

le. Słyszała tylko świst wiatru wokół kadłuba oraz nieustanną gadaninę Boba.

- Niech to szlag, jednak przywalimy! Zaraz poszorujemy brzuchem po drzewach! Trzymajcie się mocno!

Coś przejechało po brzuchu awionetki, która zaczęła podskakiwać jak na wybojach. Trzask pękających jedna po drugiej gałęzi przypominał serię wystrzałów. A potem nastąpiła katastrofa.

Potworny zgrzyt rozdieranego metalu zdawał się brzmieć w nieskończoność, przeszywający niczym zawrodozenie banshee, upiora zwiastującego śmierć. Gwałtowne szarpnięcia we wszystkich kierunkach zaczęły zarzucać Lauren na boki, chociaż była przypięta pasami, parokrotnie uderzyła o obie poręcze oraz o Sama Rawlinsa. Skały rozpruwały poszycie kadłuba, sypało się szkło.

Nagle awionetka uderzyła o coś i chwilę potem zatrzymała się.

Zapadła ogłuszająca cisza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Lauren? Lauren, jesteś ranna?

Dalej siedziała zgięta w pół, mocno trzymając się dłońmi za kostki nóg i modląc się. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ktoś obmacuje jej kark.

- Do cholery, kobieto, odpowiadaj! Nic ci nie jest?

- Nie... nie wiem. - Bała się poruszyć i przekonać, czy rzeczywiście nic jej się nie stało. Cały czas nie mogła uwierzyć, że którekolwiek z nich przeżyło katastrofę.

- Siadaj, sprawdzimy - przykazał Sam.

Powoli wyprostowała się, potem posłusznie pokręciła głową, poruszyła rękami i nogami. Była cała posiniaczona i obolała, lecz szczęśliwie nic sobie nie złamała. Poczowała, jak coś ciepłego cieknie jej po skroni, dotknęła, a potem ujrzała ze zgrozą, że na palcach ma krew.

- Masz skaleczenie na czole, ale nie wygląda groźnie. Wkładaj kurtkę i wychodzimy, nie możemy tu zostać, to niebezpieczne.

Kiedy dalej siedziała nieruchomo, patrząc na zakrwawione palce, Sam chwycił ją za ramiona i zdecydowanie potrząsnął.

- Ocknij się, do cholery ciężkiej, weź się w garść! Nie ma teraz czasu na babskie histerie.

Zamrugła oczami, potem skinęła głową.

- Ja... Tak, oczywiście, już.

Kiedy zakładała kurtkę, Sam rozpiął swój pas i krzyknął w stronę kokpitu:

- Bob, co z tobą?

Cisza.

- Bob? Dave?

Lauren właśnie przekładała pasek od torby przez głowę, lecz znieruchomiała w pół gestu, jej wzrok podążył ku dziobowi samolotu. Bob Halloran siedział z głową przechyloną pod dziwnym kątem, ramiona zwiślały mu bezwładnie. Agent Owens leżał w poprzek fotela, połową ciała wisząc w powietrzu, oczy miał otwarte, nieruchome, z nosa i uszu sączyła się krew.

Samolot tkwił nosem w zaspie, mocno przechylony, lecz Sam, przytrzymując się oparcie foteli, zdołał wspiąć się do przyjaciół. Kiedy dotknął ramienia Boba, głowa pilota opadła jeszcze bardziej. Sam zbadał mu puls, zacisnął zęby, odwrócił się do Dave'a, pochylił nad nim, wyprostował się.

- Niech to piekło pochłonie.

Zawrócił, a przy jego drugim kroku awionetka zachybotała się. Lauren krzyknęła przestraszona i przywarła do fotela.

- Rusz się, wychodzimy, ale to już!

- A co z Bobem i Dave'em?

- Nie żyją.

Zaniemówiła. Spojrzała na obu mężczyzn, czując, jak ogarnia ją smutek i żal, a jednocześnie - ku jej najgłębszemu zawstydzeniu - ulga, że to nie ona zginęła.

- Rusz się wreszcie! Ten wrak zaraz spadnie w przepaść!

Próbowała się podnieść, lecz nogi tak pod nią drżały, że nie mogła ustać. Widząc to, Sam zaklął, otoczył ją ramieniem i podniósł z fotela, lecz ten ruch spowodował, że awionetka zakołysała się ponownie i zsunęła po pochyłości o jakieś trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Lauren krzyknęła przeraźliwie, lecz Sam szedł dalej, trzymając ją mocno, jednak przy drzwiach musiał ją puścić, ponieważ znajdowały się częściowo pod śniegiem i nie dawały się otworzyć. Mocno uderzył w nie ramieniem, samolot drgnął i znów trochę się ześlizgnął. Lauren była przekonana, że za sekundę runą w dół.

Kiedy drzwi otworzyły się, wyskoczyli i zapadli się po kolana w śnieg. Sam odciągnął Lauren od samolotu, właściwie na poły ją niosąc, a kiedy

znaleźli się z bezpieczniejszym miejscu, upuścił ją, jakby była workiem kartofli. Upadła twarzą w śnieg.

- Zostań tu - przykazał.

Uklękała z trudem, parszkając i ocierając twarz. Obejrzała się i ujrzała, że on zmierza w stronę samolotu, a raczej tego, co z niego zostało.

- Dokąd idziesz? Hej, co robisz? - wrzasnęła, gdy już miał zniknąć w drzwiach awionetki.

- Muszę zabrać parę rzeczy.

- Oszalałeś? Zabijesz się! Wyłaż stamtąd! Wracaj!

Zignorował ją. Samolot zakołysał się, a Lauren przycisnęła dłoń do ust, by zdławić krzyk. Ze zgrozą wpatrywała się w puste drzwi. Co ten idiota wyprawiał, przecież zaraz zginie!

Wiatr zaświstał dookoła niej, coś zimnego i mokrego dotknęło jej twarzy. Zaczął padać śnieg. Coraz bardziej przerażona, objęła się ramionami i rozejrzała ciekawie dookoła. Było pięknie i strasznie. Wokół wznosiły się skaliste granie, poszarpane, surowe, bezlitosne. Ostre turnie celowały w ołowiane niebo, najwyższe z nich przebijały nisko wiszące chmury. Wszystko było szare, zimne, panowała kompletna cisza.

Tylko jedna skała widniała na nieskalanym, pokrytym śniegiem krajobrazie niczym brzydka blizna - rząd połamanych czubków drzew, znaczący tor ich lotu. Zadrżała, zacisnęła wargi. Jeśli Sam

spadnie w przepaść wraz z samolotem, zostanie na tym lodowatym pustkowiu zupełnie sama i zapewne nie przeżyje nawet jednej nocy.

Jej towarzysz pojawił się w drzwiach i wyrzucił na zewnątrz dwie torby podróżne.

- Zabierz je w bezpieczne miejsce!

Brodząc w głębokim śniegu, podeszła do toreb, zaś Sam ponownie zniknął w głębi wraku, który po chwili zaczął ze zgrzytem zsuwać się po zboczu i tym razem już nie chciał się zatrzymać. Lauren upuściła torby i zaczęła krzyczeć, śledząc przerażonym wzrokiem, jak kadłub samolotu zjeżdża coraz niżej, na chwilę zatrzymuje się na skalistej krawędzi urwiska, a potem przechyla się i niknie w przepaści.

W ostatniej chwili z drzwi wyleciał plecak, potem jakiś podłużny przedmiot, a za nimi wyskoczył Sam.

Echo zwielokrotniło łoskot spadającego, obijającego się o skalistą ścianę samolotu. Potem nastąpiła eksplozja, buchnął ogień, wniósł się kłęby czarnego dymu. Szlochając histerycznie, Lauren pospieszyła w stronę Sama.

- Nic ci nie jest? Nic sobie nie zrobiłeś?

Podniósł się i otrzepał kurtkę ze śniegu.

- Nie.

Wyjrzał za krawędź, Lauren zrobiła to samo. Prawie sto metrów pod ich stopami płonęły szczątki awionetki.

- Ale mało brakowało - dodał.

Nie rozumiała, jak mógł być tak spokojny i opanowany. Patrzyła na płonący wrak i nagle coś w niej pękło, całe przerażenie i poczucie kompletnej bezradności, jakich doświadczała od dwudziestu czterech godzin, wybuchły w niej tak samo jak ów ogień w dole. Odwróciła się z okrzykiem rozpaczony i z całej siły zaczęła okładać pięściami pierś Sama.

- Hej, przestań! Co cię napadło, do diabła?

- To wszystko twoja wina! Miałeś mnie chronić, a omal znowu nie zginęłam! Zresztą i tak tutaj zginieemy! Nie powinnam ci była nigdy zaufać. Jesteś wstrętnym, zimnym, antypatycznym typem. I przed chwilą omal nie dostałam przez ciebie zawału!

Zdołał wreszcie chwycić ją za nadgarstki i mocno przyciągnąć do siebie. Para ich oddechów zmieszała się, gdy przysunął twarz do twarzy Lauren i warknął:

- Posłuchaj mnie! Słuchaj, co mówię! Nie zginieemy. Nie zginieemy, więc się zamknij.

- Jak to nie zginieemy? Jesteśmy gdzieś w środku gór, nie mamy zapasów i nie mamy jak się stąd wydostać.

- Mamy zapasy, zabrałem rzeczy nasze i Boba. Wydostaniemy się stąd.

- A niby jak?

- Na piechotę.

- Czyś ty zwariował? Przecież nawet nie wiesz, gdzie jesteśmy.

- Mam ogólną orientację, a to wystarczy.

Puścił ją, a Lauren klapnęła na siedzenie. Nie zwracając na nią uwagi, założył plecak, wyjął ze śniegu strzelbę i przerzucił ją sobie przez ramię.

- Wstawaj, idziemy po tamte torby i zwijamy się stąd.

- Chcesz stąd iść? Dokąd? Przecież dookoła nic nie ma.

- Musimy znaleźć schronienie. - Ruchem głowy wskazał na niebo. - Zbliża się śnieżycą.

Dopiero w tym momencie zauważyła, że padało coraz mocniej, zaś nadciągające ciemne chmury miały groźny wygląd. Tymczasem Sam, nie czekając na nią, podszedł do porzuconych w śniegu dwóch toreb podróżnych i zaczął przekładać zawartość jednej z nich do drugiej.

- Co robisz? - spytała Lauren, wstając nieco niezdarne.

- Segreguję rzeczy. Nie damy rady nieść obu toreb, więc wybieram, co będzie nam potrzebne i pakuję razem.

Nie była zachwycona faktem, że jej bielizna i przybory toaletowe wymieszają się z rzeczami tego okropnego człowieka, ale chwilowo miała poważniejsze zmartwienia na głowie.

- Dobra, to powinno nam wystarczyć. - Sam

ruszył przed siebie, rzucając przez ramię: - Bierz torbę, ja niosę plecak.

Chciała zaprotestować przeciw podobnie opryskliwemu traktowaniu, ale jeden rzut oka na zbliżający się wał ciemnych chmur spowodował, że zmieniła zdanie. Podeszła do torby, podniosła ją i aż ugięła się pod jej ciężarem. Z determinacją zacisnęła zęby, wyprostowała się, poprawiła torbę na ramieniu i niechętnie podażyła w ślad za swym towarzyszem.

- Dalej uważani, że jesteś okropny.

- Uważaj sobie, co chcesz, nikt ci nie broni. Tylko nie myśl, że się tym przejmę. I nie wlec się tak, dobrze?

- Myślałam, że po katastrofie samolotu należy zostać przy wraku i czekać, aż nadejdzie pomoc. Z całą pewnością gdzieś o tym czytałam.

- Resztki samolotu płoną na dnie przepaści, gdybyś próbowała się tam dostać, żeby przy nich czekać, skreśliłabyś kark, i tyle. Zresztą żadna pomoc nie nadejdzie, ponieważ nikt nie wie, w jakim kierunku poleciliśmy.

- Nikt? - Z trudem starała się za nim nadażyć.

- Czy twój przyjaciel nie musiał przed startem wypełnić i złożyć planu lotu?

- Musiał. I w pewnym sensie zrobił to.

- Jak to w pewnym sensie?

- Powiedzmy, że pomylił się podczas pisania, dobra?

- Sfałszował trasę?
- Dzięki temu żaden ze zbirów Carla nie dowie się, gdzie jesteśmy.

- Marna pociecha, skoro i tak zamarzniemy na śmierć.

- Nie zamarzniemy.

- Chyba żartujesz. Palce u nóg mam już jak z lodu.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie na niego wpadła.

- W torbie, którą ci dałem, były wełniane skarpetki. Włożyłaś je?

- Oczywiście, przecież nie chodziłabym w butach bez skarpetek.

- Obie pary?

- Nie, ale...

- Cholera jasna! Przecież kazałem ci włożyć na siebie to, co tam było!

- Nie mówiłeś, że powinnam włożyć obie pary, więc jak miałam się domyślić? Nie poinformowałeś mnie również, dokąd mnie zabierasz, a już na pewno nie miałam szans domyślić się, że rozbijemy się w jakiejś lodowatej głuszy!

- Co zrobiłaś z tą drugą parą?

- Schowałam do swojej torebki.

- No to wkładaj je natychmiast. - Ściągnął jej torbę z ramienia, otworzył i zaczął grzebać w środku, a po chwili wyjął grube kalessy z szorstkiej wełny i rzucił je Lauren. - To też włóż.

- Co? Tutaj? Chyba nie oczekujesz, że się przed tobą rozbiore?

- Właśnie dokładnie tego oczekuję. Zresztą zamierzam zrobić dokładnie to samo, bo temperatura spada bardzo szybko, a nie wiadomo, ile czasu nam zajmie znalezienie schronienia.

- Zdjął plecak, wygrzebał z torby drugą parę ciepłych kalesonów, ściągnął kurtkę, położył ją na plecaku, po czym nachylił się i zaczął rozwiązywać długie sznurowadła wysokich mokasyń.

- Co robisz?

- A nie widać? Ty też się rozbieraj, nie mamy czasu na pogaduszki.

Zdjął but, oparł nogę na torbie.

- Trzeba to robić powoli, żeby nie zamoczyć stóp - poinstruował.

Kiedy zaczął rozpinać spodnie, odwróciła wzrok, lecz widziała kątem oka, jak naciągał jedną nogawkę kalesonów. Nogi miał długie i, trzeba przyznać, zgrabne. Chwilę później z powrotem sznurował mokasyń. Zanim rozsznurował drugi, by powtórzyć operację, wyprostował się i łypnął na Lauren.

- Na twoim miejscu brałbym się do roboty, bo jak skończę, a ty nawet nie zaczniesz, to rozbiore cię siłą.

Aż ją zatkało. Co za bezczelny, niezdolny, despotyczny typ! W dodatku naprawdę gotów

zrealizować swoją pogroźkę, widziała to po zdeterminowanym wyrazie jego twarzy. Zważywszy, że przerastał ją o jakichś trzydzieści centymetrów i ważył jakieś sześćdziesiąt kilo więcej, łatwo było odgadnąć, które z nich postawi na swoim. Przez chwilę miała szaloną ochotę powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła, i tak by zrobiła, gdyby nie potrzebowała go tak rozpaczliwie. Bez niego nie miała najmniejszych szans na przeżycie.

- Niech ci będzie, ale idę za te drzewa.

- Po co? Nie napalę się na ciebie, widząc cię w workowatych gaciach, uwierz mi.

Z godnością uniosła brodę.

- Nawet cię o to nie podejrzewam. Skoro już koniecznie musisz wiedzieć, potrzebuję skorzystać z łazienki.

Kpiąco podniósł brew.

- Z łazienki?

Nie zamierzała się peszyć.

- Owszem. Skoro i tak muszę się rozebrać, przy okazji zadbam i o to.

- Dobra, w porządku, tylko nie odchodź za daleko. I pamiętaj, nie zamocz stóp! - zawołał za nią, gdy brnęła w śniegu, kierując się ku ogromnemu świerkowi, którego obciążone śniegiem gałęzie zwisały nisko.

Kiedy wróciła dziesięć minut później, Sam czekał już ubrany, z założonym plecakiem i strzelbą przewieszoną przez ramię. Zmierzył Lauren

zniecierpliwionym spojrzeniem i rzucił jej torbę, prawie zwalając ją z nóg.

- Naciągnij kaptur i wywiń ten futrzany brzeg, żeby otaczał twarz - rozkazał. - Wtedy powietrze przy niej trochę się nagrzej i nie będziesz od-dychać aż takim mroźnym, co nie jest bez znaczenia dla płuc. Aha, para z twojego oddechu będzie się skraplać na futrze i zamarzać, musisz ją co jakiś czas strzepywać. - To rzekłszy, odwrócił się i ruszył przed siebie, nawet nie mówiąc „idziemy” lub czegoś w tym stylu.

Chociaż torował drogę, Lauren i tak z trudem brnęła w głębokim śniegu, rzucając nienawistne spojrzenia na plecy idącego przed nią Sama. Wcale jej się nie podobało, że znowu jest od kogoś zależna i to aż do takiego stopnia - praktycznie musiała powierzyć w ręce tego okropnego człowieka swoje życie. Utrata narzeczonego i pieniędzy po załamaniu się jej kariery pianistycznej nauczyła Lauren, że musi zacząć sama kierować własnym życiem i nie pozwalać, by inni za nią decydowali, lecz ponownie musiała się wyrzec samodzielności, a to bolało.

Zaciskając zęby, szła za Samem, trochę się dziwiąc, czemu musi w to wkładać aż tyle wysiłku. Po opuszczeniu szpitala, co nastąpiło dziesięć miesięcy wcześniej, kontynuowała rehabilitację oraz trzy razy w tygodniu chodziła na siłownię, więc zdawało jej się, że jest w naprawdę dobrej

kondycji. Z drugiej strony musiała wziąć pod uwagę, że znajdowali się gdzieś wysoko w górach, gdzie powietrze było bardziej rozrzedzone, a w dodatku miała za sobą praktycznie nieprzespaną noc oraz w ciągu jednej doby dwa razy ledwie uszła z życiem, a to wszystko razem wzięte znacznie podkopało jej siły.

Oddychała coraz szybciej i płycej, serce jej waliło, od mroźnego powietrza zaschło jej w gardle i paliły ją płuca. Wkrótce dyszała ciężko jak zziębnięty pies, chciało jej się pić, lecz Sam wydzielał jej tylko po parę łyków wody z manierki. Co gorsza, on wcale nie wyglądał na zmęczonego, maszerował ze stałą prędkością, a próbująca dotrzymać mu kroku Lauren coraz bardziej zostawała w tyle. Padało coraz mocniej, wirujące na wietrze gęste płatki śniegu ograniczały widoczność niemal do zera, Sam wydawał się już tylko szarym duchem ledwie majaczącym w mroźnej pustce.

Nie miała pojęcia, czy naprawdę wiedział, dokąd zmierzają, czy tylko bez sensu krążyli w kółko.

Obejrzał się.

- Jak nie będziesz nadażać, stracisz mnie z oczu i w końcu się zgubisz.

- Jak mam... nadażać... skoro idziesz... za szybko? Ja...

- No to wyciągaj nogi.

Wbiła wściekły wzrok w tył jego głowy, jakby chciała przewiercić ją na wylot spojrzeniem, co oczywiście nie przyniosło żadnego efektu, zresztą nawet nie miała siły, by długo tak patrzeć. Ledwie zmuszała się do stawiania kolejnych kroków, z rosnącym znużeniem prąc do przodu. Słyszała tylko zawrozczenie wichru, chrzęst śniegu pod stopami, własny zdyszany oddech, czasem trzasnęła gałąź, łamiąca się pod ciężarem śniegu. Robiło się coraz zimniej.

- Widziałam... jaskinię - zawołała. - Czy to by nie było... dobre schronienie?

- Byłoby, o ile jesteś chętna dzielić ją z niedźwiedziem.

- Z niedźwiedziem? - Z przerażeniem rozejrzała się dookoła i przyspieszyła kroku, by znaleźć się bliżej Sama. - To tu są... jakieś niedźwiedzie?

- Całe mnóstwo. Ale nie obawiaj się, zapadły w sen zimowy.

- A czy w tych górach... są jakieś inne... drapieżniki?

Wzruszył ramionami.

- Owszem. Pумы.

Pумы! Od tej pory starała się nie zostawać zbyt długo w tyle i nie przestawała się rozglądać. Spodziewała się, że Sam obierze drogę w dół zbocza, lecz ku jej zaskoczeniu stopniowo wspinali się do góry. Jaki miał w tym cel?

- Czy szukamy... czegoś... konkretnego? - spytała, sapiąc z wysiłku.

- Zanim się rozbiliśmy, zauważyłem drewnianą konstrukcję, to prawdopodobnie dawna kopalnia albo, jeśli mamy szczęście, chata poszukiwaczy złota, w tych górach są setki takich chat, to pozostałość po gorączce złota z dziewiętnastego wieku.

- A czy w tym... da się mieszkać?

- Nie bardzo, ale potrzebujemy gdzieś się schronić przed śniegiem i wiatrem, dobrze byłoby też rozpalić ogień.

Ogień? To brzmiało nieźle. Ba, to brzmiało fantastycznie! Była tak skonana, że nogi drżały jej z wysiłku, w dodatku prawie zasypiała w marszu. Och, jak cudownie byłoby wyciągnąć się obok ognia i zamknąć oczy...

Sam znowu się obejrzał i jeszcze mocniej zacisnął zęby, ponieważ na jej widok ogarniała go niewyobrażalna wściekłość, nad którą ledwie panował. Przez tę kobietę stracił przyjaciela oraz kolegę agenta. Starał się odsunąć od siebie ten obraz, lecz wciąż miał przed oczami bezwładne ciała Boba i Dave'a, którzy patrzyli w nicość martwym wzrokiem.

Nie należał do towarzyskich osób, lecz miał kilku przyjaciół i cenił sobie ich przyjaźń. Bob był od niego starszy o siedemnaście lat, lecz nie przeszkodziło im to naprawdę żyć się ze sobą

w ciągu lat wspólnej pracy. Spotykali się również w wolnym czasie, ponieważ mieli wspólne zainteresowania, wielokrotnie jeździli razem łowić ryby i polować. Bob należał do tych paru nielicznych osób, które Sam darzył pełnym zaufaniem.

Skłonny był również wierzyć w uczciwość Dave'a Owensa, dlatego też nie protestował, gdy przydzielono mu do pomocy tego żółtodzioba, który dopiero od niedawna pracował w FBI, więc raczej jeszcze nie trafił na listę płac Carla Giovesiego. Zresztą Dave miał szanse nigdy na nią nie trafić, gdyż był idealistycznie nastawionym człowiekiem, głęboko zaangażowanym w swoją pracę i zapewne z czasem zostałby jednym z najlepszych agentów.

A teraz ci dwaj wartościowi ludzie nie żyli, zginęli podczas ratowania utrzymanki gangstera, zwykłej dziwki, która oddawała się znacznie starszemu od siebie mężczyźnie, w dodatku przestępcy, w zamian za luksusy. Owszem, trzeba było ją chronić, gdyż jej zeznania mogły wreszcie zaprowadzić Giovesiego do więzienia, ale czy koszt tej całej operacji nie będzie zbyt wysoki?

Zerknął przez ramię i zacisnął usta w wąską kreskę na widok idącej za nim kobiety. Przynajmniej przestała się wlec daleko z tyłu, powinien był powiedzieć o tych pumach dużo wcześniej. Strach dodał jej siłę, ale Sam wiedział, że nie starczą one na długo, gdyż Lauren była aż szara na twarzy ze zmęczenia i nogi zaczynały się pod nią plątać.

Chyba przyjdzie mu ją nieść, jeśli nie znajdą tej chaty w miarę szybko.

- Jeszcze tylko kawałek! - zawołał, by zachęcić ją do dalszego wysiłku. Miał tylko nadzieję, że wzrok go nie mylił i że faktycznie znajdowali się już niedaleko celu.

- Skąd... wiesz? - wydyszała.

- Ta konstrukcja, którą widziałem, znajdowała się na dość potężnej skale. Zanim wyruszyliśmy w drogę, wyjąłem kompas, wziąłem na nią namiar i idziemy na azymut, inaczej nie trafilibyśmy w tej zamieci. Widzę coś przed nami i moim zdaniem to właśnie to.

Nic nie odpowiedziała, jakby nawet wypowiedzenie paru słów stało się ponad jej siły. Ominęli zagradzający im drogę potężny głąz, a gdy znaleźli się za nim, wiatr na chwilę zelżał, śnieg przestał zacinać tak ostro, widoczność poprawiła się i ujrzeli przed sobą cel.

Na samej krawędzi urwiska stał nieduży barak, ewidentnie pozostałość po dawnej kopalni, lecz z powietrza wyglądał lepiej, a dopiero z tej odległości Sam mógł ocenić, że jako schronienie było to kompletnie do niczego, gdyż w ścianach brakowało desek, przez budynek praktycznie dało się patrzeć na przestrzał niczym przez szkielec. W dodatku nie mieli żadnych szans na znalezienie dawnej ścieżki, zaś Lauren nigdy nie dałaby rady wspiąć się po stromej ścianie.

Śnieg znowu zawirował wokół nich, lecz Sam zdażył zauważyć coś kątem oka.

- Tam! - krzyknął, wskazując ręką. - Chyba widzę jakąś chatę!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na prawo od nich rzeczywiście znajdował się drugi drewniany budynek, przytulony do skalistego zbocza, ledwie widoczny wśród zamieci. Lauren aż jęknęła z ulgi i ruszyła w tamtą stronę, lecz Sam chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj, aż sprawdzę, czy nic tam nie ma.

Zdjął plecak, ściągnął z ramienia strzelbę, odbezpieczył i ostrożnie pchnął drewniane drzwi. Zardzewiałe zawiasy puściły natychmiast i drzwi wpadły do środka, huknęły o podłogę. Sam skrzywił się, ponieważ jeśli wewnątrz znajdowało się jakieś zwierzę, ten hałas musiał je wypłoszyć, tymczasem lepiej byłoby zaskoczyć je we śnie, gdyby miało okazać się drapieżnikiem. Na szczęście w chacie panowała cisza, więc Sam wszedł i ujrzał tylko znikającego w dziurze w ścianie wystraszonego pręgowca. Na wszelki wypadek

sprawdził pozostałe kąty, a nie znalazłszy żadnego innego stworzenia, wrócił po plecak i po Lauren.

- Wszystko w porządku. Chata jest w lepszym stanie niż barak na górze, ta skała ją chroni. Co prawda ma dziurę w dachu, ale przyrzucę ją jakimś gałęzmi. Drzwi wyleciały z futryny, w ścianach są szpary, a tuż przed nami mieszkała tam cała rodzina pręgowców, lecz jakoś sobie poradzimy.

Gdy tylko Lauren znalazła się w środku, z miejsca usiadła na brudnej podłodze.

- Dzięki Bogu! Nie dałabym rady zrobić już ani jednego kroku więcej.

Sam odłożył plecak, strzelbę jednak przewiesił przez ramię.

- Tylko nie zasypiaj! - ostrzegł, gdy Lauren już przykładała głowę do torby, którą potraktowała jak poduszkę. - Dopóki nie rozpalę ognia, nie waż się nawet zmrużyć oka. Idę nazbierać drewna, a ty sprawdź, co mamy do jedzenia. Na pewno znajdziesz w plecaku plandekę, rozłóż ją na podłodze, na niej całą zawartość plecaka. Potem przemyj sobie to skaleczenie, w rzeczach Boba na pewno znajdziesz apteczkę. I nie próbuj się kłaść nawet na moment, do cholery jasnej, bo zamarzniesz na śmierć. Przy tej temperaturze nie trwałoby to długo, zapewniam cię.

- Dobrze, dobrze, nie zasnę. Nie musisz tak zrzedzić. - Usiadła, przyciągnęła do siebie plecak i otworzyła go.

Sam wyszedł po drewno, na razie zadowolając się zbieraniem suchych gałęzi, chociaż Bob na pewno spakował też siekierkę lub maczetę. Pracował gorączkowo, częściowo dlatego, że potrzebowali się ogrzać, a częściowo dlatego, że za pomocą wyteżonej pracy próbował odegnać od siebie smutek. Obrócił kilka razy w tę i z powrotem, a gdy uznał, że opału wystarczy na dobrych kilka godzin, wstawił drzwi w futrynę, podparł je drągiem, a potem przykląkł przed prymitywnym paleniskiem, wychylił się mocno do przodu, spojrzął w górę przewodu kominowego i odetchnął z ulgą. Ten, kto przed laty budował tę chatę, pomyślał o wstawieniu kraty u wylotu komina, dzięki czemu nic się w nim nie zagnieździło.

Sam połamał drobne gałązki na podpałkę, dookoła nich zbudował zgrabny stos z coraz grubszych gałęzi, potem obejrzał się na Lauren, która mocno otuliła się ramionami i siedziała, kiwając się w przód i w tył, starając się zwalczyć ogarniającą ją senność. Musiała zastosować się do jego polecenia i próbowała opatrzeć skaleczenie, ale udało jej się jedynie rozmazać sobie zaschniętą krew po całym czole.

- Znalazłaś zapałki albo zapalniczkę?

Przez moment patrzyła na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem, potem oprzytomniała.

- Tak, chyba widziałam... O, tu są. - Wzięła z plandeki pudełko zapałek i rzuciła je Samowi.

Przez kilka minut Sam zajmował się podtrzymaniem ognia, potem wstał i podszedł do rozciągniętej na ziemi plandeki.

- Zobaczmy, co my tu mamy...

W duchu pobłogosławił swego przyjaciela, który jak zwykle pamiętał o wszystkim.

- Garnek, patelnia, sztućce, kompas, lornetka, zapałki, pęczek knotów...

Zamilkł, gdyż nagle przeszył go dojmujący ból. Bob przy wszystkich swoich umiejętnościach nie potrafił dobrze rozpaścić ognia, dlatego na każdą wyprawę zawsze brał ze sobą różne „wspomagacze”. Sam zacisnął zęby, odsunął od siebie pchający mu się natrętnie przed oczy obraz martwego przyjaciela i skupił się na dalszym wyliczaniu ich skromnego dobytku.

- Siekiera, drut na wnyki, śpiwór, apteczka, trzy rodzaje sznura, plecionego i skręcane, nóż, scyzoryk z trzema ostrzami, szydło, dratwa, zwój cienkiej nylonowej liny. Jakies osiem kilo liofilizowanej żywności, w tym mięsa, jajek i mieszanek warzywnych, do tego po półkilowej torebce ryżu, płatków owsianych, fasoli oraz kawałków suszonego mięsa. No i buteleczka witamin. - Kąciki ust Sama drgnęły leciutko. Bob zawsze miał lekkiego świra na punkcie zdrowia.

- Na ile nam to wystarczy? - spytała Lauren i obrzuciła ich zapasy pełnym powątpiewania wzrokiem.

- Gdybyśmy zostali na miejscu, to na jakiś czas, ale podczas marszu spala się znacznie więcej kalorii, więc będzie nam potrzebne coś więcej. Postaram się o świeże mięso.

- Jakim cudem? Przecież w takiej śnieżycy nic nie upolujesz.

- Słyszałaś kiedyś o sidłach? Rano zastawię osiem czy dziesięć w promieniu kilkudziesięciu metrów od chaty, myślę, że w dwa powinno się coś złapać.

Poklepał się po kieszeniach kurtki, na jego twarzy odbił się niepokój, obszukał kieszenie ponownie, po czym zaklął z taką furją, że Lauren aż się skrzywiła.

- Co się stało?

- Zgubiłem telefon komórkowy, pewnie wypadł mi podczas lądowania. Niech to szlag! - Zerknął na Lauren. - Ty masz telefon?

- Nie - odparła, ponieważ komórka była jednym z luksusów, na które nie mogła sobie pozwolić.

Sam sięgnął po siekiere.

- Pójdę narąbać drewna, póki jest jeszcze w miarę jasno, ty w tym czasie zrób kolację.

- Ja? Naprawdę tego chcesz?

Przystanął w progu i popatrzył na nią z najwyższym obrzydzeniem.

- Niech zgadnę... Nie umiesz gotować.

- Cóż...

- Zapomniałem, że nie musisz, ty przecież masz inne talenty.

Słyszac gryzacą ironię w jego głosie, zmarszczyła brwi.

- Chodzi ci o to, że umiem tylko grać na fortepianie? To prawda, ale powoli uczę się też innych rzeczy, w tym gotowania i zajmowania się domem, tylko jeszcze nie za bardzo mi to wychodzi.

Wskazał jedną z paczek z liofilizowaną żywnością.

- Po prostu wrzuć to do garnka z wodą i ugotuj zgodnie z instrukcją na opakowaniu.

- Ale przecież wypiliśmy całą wodę, którą mieliśmy w manierce.

Sam przez moment patrzył na nią w milczeniu, a potem aż pokręcił głową.

- Czy ty naprawdę nie umiesz nic zrobić? Na litość Boską, kobieto, rozejrzyj się dookoła! Wszędzie pełno śniegu. Nabierz go do patelni, postaw ją przy ogniu, żeby się stopił, przelej wodę do garnka i powtórz to tyle razy, aż będzie tyle wody, ile trzeba. - Z irytacją kopnął drąg podpierający drzwi, wyszedł na zewnątrz i ustawił drzwi z powrotem.

Lauren siedziała przez chwilę bez ruchu, jednocześnie zawstydzona i urażona. Skąd niby miała wiedzieć, jak się gotuje na otwartym ogniu? Wciąż jeszcze nie opanowała do końca gotowania na

kuchence elektrycznej, bo do momentu opuszczenia szpitala - czyli przez całe dwadzieścia osiem lat - nie musiała nawet ani razu zrobić sobie herbaty.

Podniosła się z trudem, wzięła patelnię i wyszła na zewnątrz. Gwałtowny wiatr niemal ściął ją z nóg, śnieg sypnął jej w oczy, oślepiając na chwilę. Robiło się coraz ciemniej. Rozejrzała się, lecz nie ujrzała nawet śladu Sama i zaniepokoiła się. Jak on znajdzie drogę powrotną do chaty w takiej zadymce? Nie, oczywiście nie ma sensu się martwić, Sam Rawlins na pewno sobie poradzi.

Zerkając w stronę jedyne go okna chaty, przez którego brudną szybę widać było nikły odbłask ognia, zrobiła dwa kroki i napełniła patelnię śniegiem, nakładając go aż z czubem, żeby wystarczyło, potem jeszcze raz rozejrzała się za Samem i uciekła z powrotem do środka. Ku jej zaskoczeniu śnieg nie okazał się zbyt wydajny i musiała chodzić po niego kilka razy, nim wreszcie napełniła wodą cały garnek, ale przynajmniej dzięki ciągłemu ruchowi nie odczuwała aż takiej senności. Za każdym razem próbowała nie rozglądać się za Samem, ale jakoś nie mogła się powstrzymać.

Kiedy wreszcie napełniła cały garnek, przysunęła go do ognia, wzięła torebkę mającą zawierać gulasz wołowy i zdziwiła się jej lekkością. Jakim cudem z garści proszku miała zrobić cały duży

garnek gulaszu? Chciała przeczytać przepis, lecz w chacie było dość ciemno, a druk był bardzo drobny, Lauren musiała więc usadowić się przy ogniu. Dla wygody oparła się o torbę.

I tak właśnie zastał ją kwadrans później Sam - śpiącą głębokim snem, z jedną dłonią złożoną na piersi i przyciskającą do niej torebkę z jedzeniem. W stojącym przy ogniu garnku kipiała woda, przelewając się przez brzeg i sycząc wściekle.

Usta Lauren były lekko rozchylone, długie rzęsy rzucały cienie na jej policzki, ze zmęczenia miała podkrążone oczy, a rozmazana na czole krew jeszcze podkreślała bladość cery. Sam zacisnął wargi. Nie miała prawa wyglądać jak znużony anioł. To tylko zwykła dziwka.

Rzucił przyniesione drewno na podłogę z takim łoskotem, że obudziłoby to umarłego. Lauren poderwała się do pozycji siedzącej, rozejrzała dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Co? Co?

- Zasnęłaś - stwierdził oskarżycielskim tonem.

W jej oczach błysnęła panika, przez moment Lauren nie wiedziała, gdzie jest i jak się dostała w to miejsce, ani kim jest ten mężczyzna. Chciała się zerwać i uciec, lecz w następnej chwili przypomniała sobie wszystko, z ulgą opadła z powrotem na torbę i odgarnęła włosy z twarzy, gdyż po warkoczu, który rano starannie zaplotła na policji w Denver, zostało tylko wspomnienie.

- Przepraszam. Czytałam przepis i chyba... chyba na moment przysnęłam.

- Cholera, przecież cię ostrzegałem!

- Przecież nie zrobiłam tego celowo. W ciągu ostatnich dwóch dni spałam wszystkiego jakieś pięć godzin, ponadto byłam świadkiem morderstwa, ledwie uszłam z życiem, przeżyłam katastrofę samolotu, a potem musiałam wspinać się na tę górę w śniegu po kolana. Jestem wykończona fizycznie i psychicznie, więc czy to naprawdę dziwne, że zasnęłam?

Ta obrona wypadła dość blado, ponieważ Lauren wygłosiła ją sennym i apatycznym głosem, nie mając siły już na nic. Oczy ją piekły, głowa sama opadała, ciało zdawało się ciężkie jak z ołowiu.

Jej wywody nie wywarły na Samie najmniejszego wrażenia.

- Przed wyjazdem z Denver powiedziałem ci wyraźnie, że kiedy wydaję rozkaz, to masz go wykonać. Jeśli jeszcze raz zdarzy ci się tak zasnąć, możesz się więcej nie obudzić. Zrobiło się tu trochę cieplej od ognia, ale i tak jest za zimno na ucinanie sobie drzemek. Najpierw musisz zjeść ciepły posiłek i poczekać, aż przygotuję pod śpiwór poślanie z gałęzi, wcześniej nie wolno ci zmrużyć oka.

- Spróbuję.

- Nie próbuj, tylko zrób! I do licha ciężkiego, czemu nalałaś cały gar wody? - Wyciągnął z torby

flanelową koszulę, chwycił przez nią garnek, w którym ciągle kipiało, ostrożnie przelał część wody na patelnię, a część do manierki.

- No bo... przepis mówi, że potrzebne są trzy szklanki wody, nie byłam pewna, ile to dokładnie jest.

- Aha. I dlatego nalałaś aż do pełna.

- No bo... nie znalazłam w plecaku żadnej miarki.

- Pewnie, że nie znalazłaś. Robota kuchennego też w nim nie znajdziesz. Kobieto, te trzy szklanki odmierzasz na oko! W tym garnku zmieści się cztery razy tyle, nie widzisz? Skoro nalałaś równo z brzegiem, to jak zamierzałaś jeszcze do tego dodać zawartość torebki?

- Ja...

- Nieważne, daj mi to. - Rozciął opakowanie nożem, wsypał proszek do wrzątku, mieszał przez jakiś czas, po czym przykrył pokrywką. - Wstawaj, bo jak nie będziesz się ruszać, to zaraz znowu zaczniesz się pokładać. Możesz trzymać drzwi, kiedy przyniosę resztę opału i gałęzie na legowisko, które zostawiłem przy wejściu. Tyle chyba potrafisz zrobić?

Łypnęła na niego wymownie, podniosła się i podeszła do drzwi. Do czasu, gdy Sam obrócił z ostatnim ładunkiem, układając na podłodze potężny stos drewna oraz świerkowych gałęzi, gulasz był gotowy. Bob Halloran miał wśród swoich

rzeczy dwie menażki, dwa zestawy aluminiowych sztućców oraz chochlę. Sam odsunął garnek od ognia, nalał chochlą gulasz do menażek, jedną bez słowa podał Lauren.

Jedli w milczeniu, nawet nie spoglądając na siebie. Ku swemu zaskoczeniu Lauren znalazła w gulaszu kawałki mięsa oraz warzyw, w dodatku smakował wyśmienicie, lepiej niż wszystko, co do tej pory zdążyła przyrządzić we własnej kuchni. Z drugiej jednak strony, gdy ktoś umiera z głodu, to i ugotowana stara zelówka z pewnością wyda mu się przepyszna...

Każde wzięło kilka dokładek, zjedli wszystko do końca.

- Dobra, teraz zajmiemy się tym skaleczeniem - oznajmił Sam, wkładając swoją menażkę i sztućce do pustego garnka.

- Nie rozumiem, przecież już się nim zajęłam.

- Szkoda, że tego nie widać.

Wyjął gazę z apteczki, zanurzył w ciepłej wodzie i ostrożnie przemył ranę. Kiedy potem zaczął obmywać również skronie Lauren, próbowała się odsunąć.

- Co robisz?

- Siedź spokojnie, rozmazałaś sobie krew po całej twarzy.

- Och...

Zamknęła oczy i starała się ze stoickim spokojem znieść jego zabiegi, ale bliskość tego człowie-

ka działała jej na nerwy. Był naprawdę za blisko. Czuła na swoim policzku jego ciepły oddech, czuła na skórze dotyk jego chłodnych palców, czuła zapach wiatru i żywicy, którym przeszedł, pracując przy ścinaniu gałęzi.

Posmarował czymś skaleczenie, przyłożył opatrunek z gazy, przymocował bandażem. Lauren odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie się odsunął.

- No, tak lepiej - stwierdził, zamykając apteczkę. - Dasz radę pozmywać, czy tego też nie umiesz?

- Oczywiście, że umiem - odparła chłodno, choć nie miała bladego pojęcia, jak to zrobić bez zlewu, płynu do mycia naczyń, zmywaka, mając do dyspozycji jedynie patelnię z ciepłą wodą. Nie zamierzała się jednak do tego przyznawać, żeby znów nie usłyszeć jakiejś uszczypliwej uwagi. Z udawaną pewnością siebie wzięła brudną menażkę i już miała ją włożyć do patelni pełnej wody.

- Nie tak! - odezwał się ostro Sam, na co aż podskoczyła. Wyrwał jej menażkę z ręki, włożył do garnka i nalał do niego trochę wody. - Nie byłaś nigdy pod namiotem czy jak? - warknął z nieskrywaną irytacją.

- Nie, nie byłam.

- No tak, trudno się dziwić. Posłuchaj, cała rzecz w tym, żeby robić wszystko tak prosto i efektywnie, jak tylko się da. Nie marnuj wody

i nie dodawaj sobie zbędnej roboty. Patelnia jest czysta i mamy w niej przegotowaną wodę, która może nam się przydać, za to garnek już i tak jest brudny, więc to w nim należy zmywać. To chyba logiczne - dodał tonem, który mówił wyraźnie, że nawet ostatni głupi by na to wpadł.

- Może mi jeszcze wyjaśnisz, czym mam to wszystko wyszorować?

Bez słowa ułamał gałązkę i podał jej.

- Kiedy przestanie wystarczać, wyjdź na zewnątrz i resztę wytrzyj do czysta śniegiem - przykazał, po czym odwrócił się i podszedł do stosu świerkowych gałęzi.

Tylko gniew i bolesne poczucie upokorzenia trzymały jeszcze Lauren na nogach. Pragnęła wierzyć, że agent Rawlins doskonale zdawał sobie z tego sprawę i dlatego specjalnie ją obrażał, ponieważ dzięki wściekłości była trochę mniej senna. W głębi duszy podejrzewała jednak, że wcale nie kierował nim wzgląd na jej dobro, tylko najwyklesza niechęć.

Kiedy z furją skrobała gałązką naczynia, Sam z powrotem spakował plecak, potem zamiótł podłogę świerkową gałęzią.

- Chwileczkę, a ty dokąd? - warknął, gdy Lauren ruszyła ku drzwiom, niosąc garnek z umy-
tymi menażkami.

- Przecież kazałeś mi to doczyścić śniegiem.

- Owszem, ale nie możesz tak sobie wyjść bez

żadnego zabezpieczenia. - Sięgnął po zwój nylonowej linki, którą położył przy drzwiach. Jeden koniec przywiązał do prymitywnej klamki, drugim obwiązał lewy nadgarstek Lauren. - W ten sposób nie zgubisz się w tej zamieci.

- Naprawdę nie sędzę, żeby to było potrzebne. Będę o dwa kroki od drzwi.

- Tak, ale skoro już wyjdiesz, to może przy okazji skorzystasz... - uśmiechnął się nieco drwiąco - ...z łazienki. Czyli odejdiesz nieco dalej, a wtedy lina pozwoli ci bez trudu wrócić. Uwiń się szybko, bo jak tylko skończę szykować posłanie, idziemy spać.

Spojrzała na gałęzie, które równo rozkładał niedaleko kominka.

- To świetnie, o niczym innym nie marzę.

Ponieważ miała obie ręce zajęte, otworzył i przytrzymał drzwi, by mogła wyjść. Zamieć szalała, wiatr z taką siłą smagnał lodowatym śniegiem twarz Lauren, jakby chciał wymierzyć jej policzek. Wtuliła głowę w ramiona i czym prędzej zabrała się do pracy. Kiedy naczynia były już czyste, napełniła je śniegiem, żeby mieli zapas wody i żeby jak najdłużej nie trzeba było znowu wychodzić.

Sam podniósł na nią wzrok, gdy wróciła, niosąc pełne naczynia, ale nie skomentował. Ponieważ obie ręce miała zajęte, zamknęła uchylone drzwi siedzeniem. Postawiła garnek i menażki przy

ogniu, popatrzyła, jak Sam rozciąga na materacu z gałęzi plandekę, a potem śpiwór.

- Co robisz?

- Nie widać? Pośłanie.

- Ale położyłeś śpiwór na plandece. A gdzie ty będziesz spał?

Wyprostował się.

- W śpiworze. Razem z tobą.

- Cooo?! Chyba zupełnie zwariowałeś, jeśli myślisz, że będę z tobą spała.

- Nie masz wyboru. Ja zresztą też nie. Mamy jedną plandekę, jeden wełniany koc i jeden śpiwór, a ten nasz ogień daje niewiele ciepła. Gdyby tam w rogu powiesić kawał mięsa, w przeciągu krótkiego czasu zamarzłoby na kość.

- Być może, ale...

- Słuchaj no, przestań zgrywać cnotliwą pannenkę, dobra? Mało to przekonujące, zważywszy twoją przeszłość.

- A co to niby miało znaczyć? - spytała urażonym tonem.

Przecież chyba nie mógł wiedzieć o niej i o Colinie? Nie miał dość czasu, by dokopać się do intymnych szczegółów z jej życia i mieć rozeznanie w jej dawnych związkach. A raczej w związku, gdyż jak dotąd eksnarzeczony był jej jedynym partnerem.

Zignorował pytanie.

- Naprawdę nie musisz robić takich ceregieli,

mogłabyś się rozebrać do naga i błagać, żebym skorzystał, a ja dalej nie byłbym zainteresowany.

Zatkało ją. Patrzyła na niego bez słowa, aż trzęsąc się ze złości i upokorzenia, a jednocześnie ogarnęła ją tak ogromna ulga, że prawie nogi się pod nią ugięły. Znajdowała się gdzieś głęboko w górach na łasce i niełasce człowieka, którego poznała ledwie kilkanaście godzin wcześniej i przed którym w żaden sposób nie zdołałaby się obronić, gdyby chciał ją wykorzystać seksualnie, i oboje o tym wiedzieli.

Powinna ucieszyć się, że wydawała mu się tak odpychająca, że nawet nie miał ochoty jej tknąć. No i cieszyła się. Oczywiście, że się cieszyła.

Ale...

Ale nie musiał tego powiedzieć w taki sposób. Owszem, nie należała do kobiet, za którymi szaleją tabuny mężczyzn, lecz przecież nie była też jakąś odrażającą pokraką, by aż budzić w kimś obrzydzenie, a Sam właśnie tak na nią patrzył. Czuła się naprawdę dotknięta,

- Nie stój tak z miną urażonej dziewczicy - warknął. - Jestem zmęczony, potrzebuję się przespać, więc ruszaj się wreszcie! Ściągaj buty i włącz do śpiwora.

Nie miała siły spierać się dalej, dosłownie leciała z nóg. Skoro nie groziły jej seksualne zakusy ze strony Sama, to nie było sensu protestować, tej nocy mogłaby się przytulić nawet i do

Freddy'ego Kruegera. Zdjęła buty, wślizgnęła się do śpiwora, przez moment szukała wygodnej pozycji, potem z westchnieniem zamknęła oczy. W następnej sekundzie już spała.

Sam stał nad nią i przyglądał się. Leżała na boku, przodem do ognia, z policzkiem opartym na złożonych dłoniach. Tańczące płomienie rzucały złociste refleksy na delikatne rysy, lecz i tak było widać, że Lauren jest szara ze zmęczenia. Długie i gęste rzęsy spoczywały na policzkach niczym dwa małe wachlarze, lśniące kosmyki, które wysuwały się z potarganego warkocza, wiły się wokół bladej twarzy, pełne usta były lekko rozchylone, Sam widział krawędź zębów oraz skrawek języka. Wyglądała bezbrinnie i niewinnie, co tylko potwierdzało starą prawdę, że nie należy sądzić po pozorach, pomyślał, krzywiąc się z ironią, i wyszedł na zewnątrz.

Kiedy wrócił kilka minut później, Lauren leżała dokładnie w tej samej pozycji, co przedtem, nie poruszyła się nawet o milimetr. Oddychała bardzo wolno, jej pierś ledwie się unosiła i opadała. Sam ominął śpiacą, dołożył drew do ogniska, rozsznurował swoje wysokie, podbite futrem mokasyny, ściągnął je, wyjął filcowe wkładki, by wyschły przez noc przy ogniu. Tak ułożył ich poślanie, by mógł dosięgnąć przygotowanego opału i dorzucić drew do ognia bez konieczności opuszczania wygrzanego śpiwora.

Obszedł pośłanie, rozsunął suwak, wślizgnął się do śpiwora, zasunął go ponownie, ułożył się na boku, twarzą do Lauren, objął ją ramieniem i przytulił się ciasno do jej pleców, wsuwając ugięte nogi pod jej kolana. Nieduża i szczupła, pasowała do niego idealnie, miała głowę dokładnie pod jego brodą, zgrabną pupę tuż przy jego męskości, stopy oparte o golenie Sama.

Jedwabisty kosmyk połaskotał go w nos, pachnąc słodko jakimś kwiatowym szamponem. Ciepło ciała Lauren zaczęło ogrzewać również Sama, zaś jej kształty, choć ukryte pod warstwami ubrania, nadal pozostawały kształtami atrakcyjnej kobiety, co oczywiście wywołało taki skutek, jaki musiało wywołać u zdrowego, heteroseksualnego mężczyzny.

Sam zacisnął zęby. Nawet jeśli nie była jedną z napompowanych silikonem lalek Carla, i tak stanowiła jego najnowszą zdobycz, zaś Sam nie zamierzał napalać się na resztki ze stołu, czy raczej z sypialni, gangstera.

Tak, takie kazanko brzmiało dobrze. Tyle tylko, że nic a nic nie pomagało.

Lauren miała w nosie jego reakcję, spała twardo, nawet nie drgnęła. Jak widać, to nie ona powinna narzekać na wspólne spanie, lecz on, gdyż wyszedł na tym znacznie gorzej. Również był zmęczony, w końcu telefon od Harveya Weissa wyrwał go ze snu w środku nocy, a mimo to nie

mógł zasnąć i leżał, wpatrując się w ogień i zastanawiają się, co dalej począć.

Musiał wydobyć ją z tych gór, zabrać w bezpieczne miejsce, i to tak szybko, jak się da, co oczywiście nie będzie takie proste, szczególnie że miał do czynienia z rozpieszczoną, wychuchaną kobietą, która nie potrafiła sobie poradzić poza miastem i w ogóle nie posiadała żadnych umiejętności. No, może poza łózkowymi...

W tym momencie byli bezpieczni, ale gdy tylko śnieżyca ustanie, sytuacja prawdopodobnie się zmieni, być może bardzo szybko, z czego Lauren nie zdawała sobie sprawy. Sądziła, że awaria silnika nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego przypadku, zaś Sam jak dotąd nie wyprowadził jej z błędu.

Nie wierzył w żaden przypadek. W kwestii bezpieczeństwa jego przyjaciel był absolutnym maniakiem, zawsze wszystko sprawdzał po dziesięć razy, samolot Boba przewyższał sprawnością szwajcarski zegarek. Skoro zepsuły się jeden po drugim oba silniki, jakąś godzinę od startu, gdy znajdowali się akurat nad górami, to nie mogło być mowy o żadnym przypadku, tylko o celowym sabotażu. Co więcej, sprawca zapewne zadbał również o to, by podrzucić na pokład nadajnik, dlatego Sam dałby głowę, że gdy tylko pogoda na to pozwoli, ktoś zjawi się na miejscu katastrofy, by sprawdzić, czy wszyscy zginęli. Nie podzielił się

z Lauren swoimi przypuszczeniami, ponieważ nie wynikłoby z tego nic dobrego, jedynie mogłoby ją bardziej przerazić. Lepiej, żeby przynajmniej na razie nic nie wiedziała.

Zupełnie bezwiednie potarł brodą o czubek jej głowy, zaczepiając szorstkim zarostem o jedwabiste kosmyki. Gdy tylko śnieżyca ustanie, będzie musiał wrócić, zejść do samolotu, odnaleźć i zniszczyć nadajnik, zanim ludzie Giovesiego zdołają namierzyć miejsce katastrofy. Jeśli nie zdąży przed nimi, znajdą we wraku tylko dwa zwęglone ciała i dowiedzą się, że on i Lauren przeżyli.

A wtedy zaczną ich ścigać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego ranka Sam swoim zwyczajem obudził się tuż przed świtem. Nim jeszcze otworzył oczy, poczuł jakiś ciężar na piersi. Czyżby dach zapadł się w nocy i przygniótł ich do podłogi? Bojąc się poruszyć, ponieważ w tej sytuacji mógł mieć coś złamane, ostrożnie otworzył jedno oko - i gwałtownie wciągnął powietrze.

Leżał na wznak, zaś na nim leżała Lauren.

Opierała policzek dokładnie na wysokości jego serca, lśniące włosy rozsypały się na torsie Sama. Otaczała go jednym ramieniem, jej lewa noga była zgięta w kolanie, podciągnięta wysoko i wygodnie oparta na biodrze Sama, prawa spoczywała dokładnie między jego nogami. A on miał taką poranną erekcję, że powinna trafić do księgi rekordów.

- Jezu!

Jednocześnie przeszył go gniew, pogarda i po-

żądanie. To ostatnie starał się zwalczyć, ale zważywszy prowokacyjną pozę Lauren, ten wysiłek był z góry skazany na niepowodzenie.

- Dobra, niech ci będzie - warknął. - Skoro odgrywasz seksownego kociaka, to musisz pogodzić się z konsekwencjami.

Oczywiście wiedział, że nie położyła się na nim z premedytacją, wciąż spała jak zabita i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, a mimo to był na nią wściekły za doprowadzenie go do stanu, którego sobie nie życzył.

- Hej, obudź się!

Sądząc po reakcji, równie dobrze mógłby mówić do ściany. Zaklął, obrócił się na bok, bezceremonialnie zrzucając z siebie Lauren. Tylko westchnęła, zwinęła się w kłębek i spała dalej. Sam rozpiął śpiwór, wyturlał się z niego, podniósł się zwinnie, przez chwilę z niechęcią patrzył na śpiącą, a potem podszedł do plecaka i zaczął w nim szukać czegoś na śniadanie. Zamierzał zrobić jajecznicę z gotowej mieszanki, ale jeden rzut oka na Lauren spowodował, że zmienił zdanie. Wziął z plecaka to, co było mu potrzebne, dołożył do ognia i czym prędzej wyszedł z chaty, czując, że nie może w niej zostać ani chwili dłużej.

Godzinę później ogień zgasł prawie zupełnie i Lauren obudziła się z zimna. Usiadła, ziewnęła, rozejrzała się zaspianym wzrokiem, szukając

Sama, lecz nie było go. Przeciągnęła się, odgarnęła z twarzy potargane włosy, zerknęła na zegarek i oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki. Wielkie nieba, spała przez bite trzynaście godzin.

Wygramoliła się ze śpiwora, włożyła buty, przyklękła przy kominku, wzięła pogrzebacz i próbowała poruszyć przyprószone popiołem węgle - w taki sposób, jak robił to Sam. Modliła się w duchu, by udało się ponownie podsyć ogień, gdyż nie umiałyby go rozpalić od zera. Na szczęście na skraju jednego z poruszonych węgli zapełgał płomień, Lauren szybko przysunęła do niego drobne gałązki, a potem, gdy te już się zajęły, nieco większe, aż wreszcie ogień palił się znowu. Ogromnie dumna z siebie, wyjęła ze swojej torebki paczkę chusteczek higienicznych oraz niedużą buteleczkę z żelem antybakteryjnym, włożyła je do kieszeni i podeszła do drzwi. Przywiązując linkę do suwaka kurtki, zastanawiała się, gdzie też podziewa się Sam. Zaczynała się niepokoić, podobnie jak poprzedniego wieczoru. Gdyby coś mu się stało...

Nie, nie będzie się o niego bała, on potrafi o siebie zadbać, da sobie radę. Na pewno poszedł zrobić coś, co było konieczne, by przetrwali w tej lodowatej głuszy. Niedługo wróci.

Wydawało jej się, że w chacie jest straszliwie zimno, ale to było jeszcze nic w porównaniu z temperaturą panującą na zewnątrz. Zamieć szalała dalej, mroźne powietrze aż paliło w płucach,

widoczność spadła do paru metrów, śnieg sięgał po kolana. Lauren brodziła w nim z trudem, odchodząc tak daleko od chaty, na ile pozwoliła jej lina. Rozejrzała się i schowała się za rachitycznym drzewkiem, gdyż nic lepszego w pobliżu nie było.

Potem umyła ręce śniegiem oraz żelem i wróciła do chaty, po czym kilkakrotnie poszła po śnieg, gdyż z tego, który przyniosła poprzedniego wieczoru, zrobiło się tylko trochę wody. Nieco czasu upłynęło, nim wreszcie miała pełen garnek wrzątku, w którym można by coś ugotować. W żołądku burczało jej coraz głośniejsze, a Sam nie wracał.

Zdecydowała, że poradzi sobie bez niego. Sięgnęła po leżący obok plecaka pakiecik z jajkami w proszku, starannie przeczytała przepis. Niedługo potem zdjęła patelnię z ognia i skrzywiła się na widok żółtawej brei. To chyba nie powinno tak wyglądać? Zdobywając się na odwagę, nabrała na łyżkę nieco obrzydliwej papki i spróbowała. Hmm, wcale nie aż takie złe. Albo więc zdołała przyrządzić coś całkiem jadalnego, albo była tak głodna, że smakowałoby jej wszystko. Zjadła trochę jajecznicy i kawałek suszonego mięsa, resztę postawiła blisko ognia, by Sam miał coś ciepłego do jedzenia, gdy wróci.

Starą się czekać na niego cierpliwie, lecz wbrew własnej woli co kilka minut zerkała na zegarek. Wyszorowała swoją menażkę, przyniosła więcej śniegu, opiłowała złamany paznokieć,

przeczytała instrukcje na wszystkich torebkach z jedzeniem, porządnie ułożyła śpiwór, a potem wszystko, co tylko dało się porządnie ułożyć i przez cały czas powtarzała sobie, że nie ma się co martwić, ale w miarę upływu czasu denerwowała się coraz bardziej, więc kiedy Sam w końcu wrócił, była już tylko kłębkim nerwów i krążyła po małej chacie niczym zwierzę w klatce.

- Gdzie byłeś? - zaatakowała, ledwie uchylił drzwi i wślizgnął się do środka.

Spojrzał na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- Zastawiałem sidła. - Popatrzył uważnie, zauważył malujący się w jej oczach przestach.

- Coś się stało?

- Nic. To znaczy, owszem, stało się! Nie wiedziałam, gdzie jesteś. Mogłeś mi powiedzieć, że wychodzisz i ile czasu ci to zajmie.

Zamknął drzwi i podparł je drągiem.

- Kiedy wychodziłem, spałaś jak małe bobo. Zresztą wspominałem wczoraj wieczorem, że rano pójde zastawić wnyki. - Wzruszył ramionami, ściągnął rękawice i wetknął je do kieszeni kurtki, stanął przy kominku i zaczął sobie ogrzewać dłonie nad ogniem.

- Ale przecież na zewnątrz dalej szaleje śnieżyca! Nie było cię tak długo, że już myślałam, że coś ci się stało.

Obrzucił ją wymownym spojrzeniem.

- Rozumiem. Tak naprawdę bałaś się o siebie,

a nie o mnie. Martwiłaś się, co się z tobą stanie, jeśli z jakiegoś powodu nie zdołam wrócić.

Zawstydzona i zagniewana, zarumieniła się po same uszy, gdyż powiedział to w taki sposób, jakby była małostkową egoistką. Na szczęście sen w dużym stopniu zregenerował jej siły i pozwolił nieco dojść do siebie po traumatycznych wypadkach, więc Lauren przynajmniej częściowo odzyskała rezon. Dumnie uniosła głowę, ignorując fakt, że płoną jej policzki.

- Mylisz się. Byłoby mi naprawdę bardzo przykro, gdyby spotkało cię coś złego, podobnie jak jest mi przykro z powodu śmierci twoich przyjaciół. Żal mi każdego, kto umiera. I nie dam się wpędzić w poczucie winy. - Im dłużej mówiła, tym większą czuła złość. Jej ton stawał się coraz ostrzejszy. - A w ogóle jakim prawem mnie krytykujesz? Nie znalazłam się tutaj dlatego, że chciałam. Nie miałam zamiaru być świadkiem morderstwa, nie ja jestem przestępcą, nie ja podjęłam decyzję, żeby lecieć nad Górami Skalistymi w samym środku zimy malutką, zawodną awionetką, i to nie przeze mnie się rozbiła. Pozwolę sobie też przypomnieć, że nie prosiłam o to, żeby po raz drugi całe moje życie zostało przewrócone do góry nogami i żebym straciła wszystko, co zdołałam osiągnąć. I z całą pewnością nie jest moim zamiarem zamarznąć na śmierć w tej głuszy! A jeśli to czyni mnie egoistką, to proszę bardzo!

- Nic podobnego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. Niech cię diabli, mam prawo troszczyć się o własne bezpieczeństwo! Ty też byś to robił, będąc na moim miejscu. Nie znam żadnych sposobów na przetrwanie w podobnych warunkach, nie wiem, gdzie jesteśmy, nie potrafię zdobyć pożywienia ani go ugotować, nie umiem rozpalić ognia i nie mam bladego pojęcia, w którym kierunku należałoby iść, żeby się stąd wydostać!

Ostatnie słowa praktycznie wykrzyczała. Zdawała sobie sprawę z tego, że część jej gniewu jest spóźnioną reakcją na koszmarnie wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin, ale nie dbała o to. Po tamtym wypadku samochodowym nauczyła się, że musi się bronić i walczyć o swoje prawa, gdyż nikt inny tego nie zrobi, a ponieważ miała po czubek głowy arogancji i opryskliwości agenta Rawlinsa, postanowiła położyć im kres.

Kiedy skończyła, przygotowała się w duchu na niezłą kłótnię, nawet po cichu na nią liczyła, lecz cała jej perora najwyraźniej nie zrobiła wrażenia na Samie, gdyż nawet okiem nie mrugnął, a jego twarz pozostała doskonale niewzruszona.

- Akurat tym nie musisz się przejmować, bo nic mi się nie stanie.

Odwrócił się, jakby znudziła go ta rozmowa, połamał na kawałki dwie grube gałęzie i dorzucił do ognia.

- Nie możesz być tego pewien.

- Jestem tak pewien, jak to tylko możliwe.
- Odłożył pogrzebacz, którym przez chwilę poruszał węgle i obrócił się z powrotem do Lauren, a tym razem na jego twarzy malowała się lekka niecierpliwość. - Słuchaj, urodziłem się niedaleko stąd, znam te rejony i wiem, jak przetrwać w dzikiej głuszy. Od małego chodziłem po tych górach, łowiłem ryby, polowałem, mieszkałem tu całymi tygodniami razem z ojcem i krewnymi matki. Dlatego martwienie się o to, jak nas stąd bezpiecznie wydostać, zostaw mnie, a sama po prostu rób, co ci powiem.

Prawie zgrzytnęła zębami, słysząc ostatnie słowa. Bezczelny łajdak, pomyślała. Doskonale wiedział, że musiała go słuchać, przecież nie miała żadnego wyboru.

- W porządku - warknęła. Usiadła na pościeli, sięgnęła po torebkę i zaczęła udawać, że czegoś w niej szuka. - Aha, jeśli jesteś głodny, zrobiłam jajecznicę. Część zjadłam, część zostawiłam ci na patelni.

Spojrzał na wyjątkowo nieapetyczną breję, potem na Lauren.

- Ugotowałaś coś? - zdumiał się.

- Tak, ugotowałam - odparła z urazą, po czym sama też zerknęła na nieudaną jajecznicę i skrzywiła się. - Przynajmniej starałam się. Nie wiem, czemu nie do końca wyszło, zrobiłam dokładnie według przepisu.

Podniósł patelnię i bez słowa wbił wzrok w zawartość.

- Smakuje lepiej, niż wygląda - zapewniła.
- Naprawdę.

Posłał jej spojrzenie, które mówiło, że lepiej, by miała rację, a potem sięgnął po widelec. Zjadł zostawione dla niego śniadanie, nie komentując jej wysiłków kulinarnych, Lauren zaś próbowała odgadnąć po wyrazie twarzy, co o nich myślał, ale bezskutecznie.

- Następnym razem dodaj mniej wody - skomentował tylko, gdy zjadł i zaczął czyścić patelnię.

Łypnęła na jego plecy, gdyż odwrócił się od niej. Sama na to wpadła, nie musiał jej mówić. Miał ją za idiotkę, czy jak?

- Dziękuję bardzo. Będę pamiętać - wycedziła.

Oczywiście nie oczekiwała podziękowań ani pochwały za to, że postarała się coś zrobić, ale nie przemęczyłby się chyba, gdyby zdobył się chociaż na odrobinę grzeczności?

Ignorując ją kompletnie, Sam zaczął szukać czegoś w stosie drewna na opał, sprawdzając giętkość i wytrzymałość poszczególnych gałęzi, a te, które z jakiegoś powodu mu odpowiadały, rzucał na jedno miejsce, gdzie zresztą potem usiadł - tak daleko od Lauren, jak tylko się dało, ale jednocześnie wciąż w miarę blisko ogniska.

Zacisnęła usta. Nie, on chyba jednak prędzej by umarł, niż okazał choćby elementarną grzeczność.

Przypomniała sobie, jak poprzedniego ranka wszedł do pokoju przesłuchań na policji w Denver. Miała wtedy wrażenie, że jego twarz została wykuta z granitu i jeszcze nigdy nie zagościły na niej ludzkie uczucia.

Rozzłoszczona, wyjęła z torebki plastikową tubę i gwałtownie wycisnęła krem nawilżający na dłonie i twarz. Co chwilę rzucała na Sama pełne urazy spojrzenia, co nie przyniosło żadnego efektu, gdyż on skupił się bez reszty na swoim zajęciu. Przyciął dwie gałęzie do długości około metra, oczyścił z drobnych gałązek, mocno związał je razem sznurkiem na obu końcach, potem przeciął inną gałąź na dwa krótsze kawałki po jakieś dwadzieścia parę centymetrów i na końcu każdego zaczął żłobić płytkie nacięcia.

Lauren była ciekawa, co on robi, ale ponieważ konsekwentnie ją ignorował, postanowiła odpłacić mu pięknym za nadobne. Ona też miała coś do roboty. Po opuszczeniu szpitala regularnie chodziła na rehabilitację, a gdy odkryła, jak zbawiennie wpływa na nią gimnastyka i jak znakomicie się po niej czuje, wdrożyła codzienny program ćwiczeń, co przyszło jej o tyle łatwo, że od dzieciństwa przywykła do narzucania sobie dyscypliny.

Siedząc na śpiworze, odwróciła się plecami do Sama, rozsunała szeroko nogi w V i zaczęła rozgrzewkę: skłony do przodu, obroty tułowia, skłony w bok, krążenie głową, barkami, ramionami.

Potem wstała, wykonała trzydzieści skłonów, dotykając podłogi czubkami palców, następnie chwyciła się za kostkę, przyciągnęła stopę do pośladka, powtórzyła kilkanaście razy, to samo zrobiła z drugą nogą.

- Jezu, czy ty przez minutę nie możesz usiedzieć spokojnie? Co ty, do diabła, wyczyniasz?

- spytał z irytacją, gdy zaczęła truchtać w miejscu.

- To chyba... oczywiste... Ćwiczę... regularnie... na siłowni - wysapała, nie przestając biec.

- Żeby zachować... sprawność... nie można... przerywać.

Parsknął kpiącym śmieszkiem.

- Na twoim miejscu w ogóle bym się o to nie martwił. Wczoraj miałaś więcej ruchu niż przez cały miesiąc na tej twojej siłowni dla japiszonów.

Zignorowała tę uszczypliwą uwagę i dalej robiła swoje. Sam mógł się z niej nabijać do woli, a ona i tak wiedziała, że jeśli mają iść przez góry, to musi być w tak dobrej kondycji, jak tylko możliwe. Poprzedniego dnia miała przedsmak tego, ile wysiłku należy włożyć w podobną wędrówkę. Będzie potrzebowała naprawdę dużo sił.

Przez godzinę uprawiała jogging w miejscu, pobiegała też trochę od ściany do ściany. Za brudnym okienkiem dalej szalała zamieć, wiatr wpadał przez szpary w ścianach, czasem wiewał też trochę śniegu, zwłaszcza przez dziurę w dachu, którą Sam przyrzucił świerkowymi gałęzmi. Z wy-

jątkiem bezpośredniego otoczenia paleniska w chacie było tak zimno, że oddech zmieniał się w parę, lecz kiedy po skończonej gimnastyce Lauren z powrotem usiadła na śpiworze, nareszcie nie czuła chłodu.

Zamierzała traktować Sama równie obojętnie, jak on ją, lecz im dłużej przyglądała się jego poczynaniom, tym bardziej zżerała ją ciekawość. Gdy ćwiczyła, zdołał jakoś rozsunać w środku związane końcami gałęzie, nie łamiąc ich przy tym, i zaklinować między nimi jeden z krótszych patyków, teraz to samo robił z drugim. Wreszcie Lauren nie wytrzymała.

- Co to jest?

Ledwie na nią zerknął, zajęty przeplataniem sznurka pomiędzy gałęźmi.

- Rakiety śnieżne. Będziemy się stąd zbierać, gdy tylko zamieć się skończy. Potrzebujemy raket, żeby poruszać się po świeżym śniegu.

- Naprawdę? Nigdy nie chodziłam na raketach śnieżnych.

- Ciekawe, skąd wiedziałem?

Drwiący ton jego głosu przeważył szalę. Odkąd się spotkali, zachowywał się wobec niej szorstko, chwilami nawet z praktycznie nieskrywaną wrogością. Do tej pory starała się chodzić wokół niego na paluszkach, częściowo dlatego, że nie byłoby mądrze denerwować swojego wybawcę, od którego zależało, czy ona przeżyje w tych

ekstremalnych warunkach, a częściowo dlatego, że w obecności tego zimnego i twardego mężczyzny czuła się dziwnie wytrącona z równowagi.

Cała ta sprawa z Carlem Giovesim nauczyła ją przynajmniej jednej rzeczy, mianowicie, by nie chować głowy w piasek, ignorując nieprzyjemną prawdę. Od tej pory zamierzała stawiać czoła kłopotom, zaś w tej chwili jej problemem było niechętnie nastawienie agenta Sama Rawlinsa. Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się, gdy równo wypłatał środek rakiety mocnym sznurkiem.

- Ty mnie chyba nie za bardzo lubisz, prawda?

- Prawda.

Aż się roześmiała z zaskoczenia.

- Przynajmniej szczerze.

Spodziewała się, że on zaprzeczy lub przynajmniej dokona jakiegoś dyplomatycznego uniku typu: „Czemu tak myślisz?” lub „Coś ci się wydaje”, czy też „Nie znam cię wystarczająco dobrze, by cię lubić albo nie”. Z całą pewnością nie oczekiwała tak otwartego przyznania się do niechęci, aczkolwiek, znając już trochę Sama Rawlinsa, mogła przecież wiedzieć, że choćby śladowa uprzejmość jest mu najzupełniej obca. Ten człowiek pewnie nawet nie znał takiego pojęcia jak kłamstwo z grzeczności.

- A czy zechciałbyś mi wyjaśnić powód? Przecież ledwie mnie znasz i nie wydaje mi się, żebym zrobiła coś, czym mogłabym zasłużyć na twoją antypatię. Co ci aż tak we mnie przeszkadza?

- Jakie to ma znaczenie? Moim zadaniem jest chronić cię, żebyś mogła zeznawać przeciw Giovesiemu, a nie zostanie twoim przyjacielem.

- W porządku, ale niezależnie od wszystkiego przyjdzie nam spędzić sporo czasu razem, więc myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy traktowali się wzajemnie jakoś w miarę miło. Ale jak mogę naprawić sytuację, skoro nie chcesz mi powiedzieć, co cię tak we nie irytuje?

- Nie możesz. Rzecz w tym, że nie mam żadnych względów dla kobiet, które handlują własnym ciałem, oddając się starszym facetom. Szczególnie gangsterom.

- Słucham? - Aż potrząsnęła głową, przekonana, że się przesłyszała.

- Jesteś kochanką Carla, czyli, krótko mówiąc, dziwką.

- Że co?!?

- Daruj sobie te demonstracje niewinności, dobrze?

- Nie, nie dobrze! Nie jestem kochanką pana Giovesiego! Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy, ale się mylisz!

- Nie sądzę.

- Przyznaję, że to on pomógł mi stanąć na nogi, gdy wyszłam ze szpitala. To on wyszukał dla mnie mieszkanie i samochód, na który mogłam sobie pozwolić, ponadto zarekomendował mnie w college'u, dzięki czemu dostałam pracę, a parę

miesiący temu dał mi możliwość grania w jego klubie, ale uczynił to wszystko z czystej przyjaźni. Będąc prawdziwym miłośnikiem muzyki, ma wiele szacunku i zrozumienia dla muzyków, zdawał więc sobie sprawę z tego, że wypadek, który przerwał moją karierę pianistyczną, był dla mnie prawdziwą tragedią. Starał się mi pomóc, jak tylko mógł. Wyjaśniłam to wszystko już na policji. Pan Giovesi nie utrzymywał mnie i nie był moim kochankiem!

- Wybacz, ale podobne wybuchy świętego oburzenia nic ci nie pomogą, ponieważ fakty mówią za siebie.

- Fakty? Jakie fakty? To, że przez dwa wieczory w tygodniu pracowałam w jego klubie, nie czyni mnie jeszcze jego kochanką.

- A jak wyjaśnisz, że twój pracodawca odwiedzał cię regularnie co tydzień w środę wieczorem? Słucham...

- Skąd... skąd wiesz? - wyrwało jej się.

- Albo czym wyjaśnisz, że po zamknięciu klubu zostawaliście tam razem przez parę godzin tylko we dwoje? - ciągnął, ignorując jej pytanie.

- To też już zeznałam na policji. Grałam wtedy tylko dla niego, również w tym celu przychodził do mnie co środę, dawałam coś w rodzaju prywatnych koncertów. Och, nie mogę w to uwierzyć! - Zamknęła powieki i przycisnęła palce do skroni. - Po prostu nie mogę!

Zbyt zdenerwowana, by usiedzieć na miejscu, zerwała się z posłania i zaczęła chodzić od ściany do ściany.

- Przez dwa lata walczyłam o to, by wreszcie stać się w pełni niezależna, a ty mnie teraz oskarżasz, że byłam czyjąś... utrzymanką! A oskarżasz mnie wyłącznie na tej podstawie, że starałam się zrobić trochę przyjemności miłemu starszemu panu... To jest, wydawało mi się, że miłemu.

- O, na pewno starałaś się zrobić mu przyjemność. Nie wątpię.

- Nie taką, o jakiej myślisz - warknęła, piorunując go wzrokiem. - Grałam dla niego, nic poza tym.

- Jasne. I co jeszcze powiesz? Że Giovesi nie finansuje tych wszystkich luksusów?

- Jakich luksusów? Muszę mieć dwie prace, a i tak ledwie mi starcza na życie.

- Ciekawe... A co z twoim mieszkaniem?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nie rozumiem.

- Blok, w którym mieszkasz, należy do Carla.

- Co? Nie wiedziałam o tym. - Przez chwilę wpatrywała się w twarz Sama, tknęło ją jakieś nieprzyjemne przeczucie, lecz odegnała je od siebie i dumnie uniosła brodę. - Mylisz się, sądząc, że mieszkam tam za darmo. Normalnie płacę czynsz. Ja, a nie pan Giovesi.

- Z całą pewnością. Oczywiście to po prostu

tylko czysty przypadek, że każda z jego kolejnych kochanek zajmuje właśnie to mieszkanie.

Zatkało ją na moment.

- Oczywiście, że przypadek. Tak, to musi być przypadek, nie ma innego wyjaśnienia.

- Ile?

- Słucham?

- Przecież pytam wyraźnie. Jak wysoki czynsz płacisz?

- Nie twoja s...

- Ile?

Zacisnęła usta, lecz zrozumiała, że on nie popuści, dopóki nie uzyska odpowiedzi.

- Trzysta dolarów miesięcznie, skoro już koniecznie musisz wiedzieć. Ale to naprawdę nie twoja sprawa.

- Trzysta dolarów! - Sam parsknął drwiąco.
- Otóż dowiedz się, moja damo, że czynsz najtańszego mieszkania w tym budynku wynosi dziesięć razy więcej.

- Dzie... - Urwała, czując się coraz bardziej nieswojo. Zaczynało jej być niedobrze. Z determinacją potrząsnęła głową. - Musiało ci się coś pomylić.

- Daj spokój, Estes Arms to luksusowy apartamentowiec, jeden z najlepszych adresów w całym Denver, jest długa kolejka chętnych do zamieszkania w nim. Nie udawaj naiwnej, która myślała, że może w takim miejscu płacić podobny czynsz,

musiałaś wiedzieć, że siedzisz w tym gniazdku na koszt Carla. Nie rozumiem tylko, czemu w ogóle pozwolił ci płacić cokolwiek.

- O Boże, ja... ja nie wiedziałam. - Oszołomiona, z powrotem usiadła na posłaniu. - Według Carla ten blok był objęty kontrolą czynszów i stąd ta okazyjna opłata.

- Sprytnie kombinujesz, ale akurat w Denver nie istnieje system kontroli czynszów.

- Nie miałam pojęcia! - Zapatrzyła się w przeciwległą ścianę, chociaż i tak nie wiedziała, na co patrzy. Było jej niedobrze, czuła się, jakby ktoś przyłożył jej w brzuch, i to taranem.

- Oczywiście. A jak wytłumaczysz fakt posiadania tego sztywnego samochodziku, którym sobie jeździłaś po mieście?

- Pan Giovesi utargował go dla mnie za nieduże... - Urwała na widok miny Sama. - Czy chcesz mi powiedzieć...?

- To bardzo luksusowy wóz, moja damo.

Kiedy ją poinformował, ile naprawdę kosztuje nowy lexus, jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Ależ ja byłam głupia! Kompletna idiotka! Nic dziwnego, że myślałaś... O Boże!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sam patrzył, jak Lauren przewraca się na bok, zwija w kłębek na śpiworze, przybierając pozycję embrionalną i leży tak, zapatrzona w ogień. Wyglądała jak wcielenie rozpacz. Potrząsnął głową, zupełnie niewzruszony i wrócił do swojego zajęcia. Jeśli zamierzała takimi teatralnymi popisami wzbudzić jego współczucie, tylko marnowała czas.

Przez następną godzinę żadne nie odezwało się ani słowem. On pracował dalej, ona poruszyła się tylko raz, by otworzyć śpiwór i wejść do środka, poza tym leżała bez jednego nawet drgnienia. Gdyby nie mrugała powiekami, pomyślałby, że umarła.

W południe Sam miał już gotowe dwie rakiety i zabrał się za trzecią, lecz głód zmusił go do zrobienia sobie przerwy, wstał więc, dołożył do

ognia, a potem zabrał się za przygotowanie posiłku z liofilizowanej żywności. Kiedy kręcił się po chacie, Lauren nadal wpatrywała się w płomień i nie reagowała na nic. Starał się ją ignorować, ale nawet jego cierpliwość miała swoje granice, więc oderwał się od mieszania w garnku, spojrzał na Lauren i z dezaprobatą zacisnął wargi.

- I co? Będziesz tak leżeć cały dzień, użalając się nad sobą?

- Może. Nie powiesz mi, że cię to obchodzi.

- Masz rację, nie obchodzi mnie to zupełnie, ale czas coś zjeść.

- Nie jestem głodna.

- Tym gorzej, bo i tak zjesz. Musisz mieć jak najwięcej sił.

Przez moment wyglądało na to, że zacznie się z nim sprzeczać, lecz potem westchnęła, usiadła, odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. Sam nałożył jedzenie do menażek, podał jej jedną.

- Nie rozumiem, czemu tak to przeżywasz, postanowiłaś związać się z Giovesim z własnej nieprzymuszonej woli, więc możesz winić tylko siebie.

Posłała mu mordercze spojrzenie, lecz nic nie odpowiedziała i dalej jadła w milczeniu.

- Daj spokój. Myślałaś, że skoro pracujesz w jego klubie, nikt nie odgadnie, co was łączy? On zawsze zatrudnia u siebie swoje kochanki.

- Mówiłam ci już... Och, po co ja się wysilam?

Rozmowa z tobą na ten temat nie ma najmniejszego sensu. - Zacisnęła usta i odwróciła głowę w bok, ukazując przy tym nieskazitelny profil.

Powiedziała to lodowato i z taką godnością, że niemal się uśmiechnął. Siedziała po turecku na podłodze w tej nędznej ruderze, ubrana w workowaty sweter i grube spodnie od dresu, potargana, bez śladu makijażu, a mimo to nadal miała w sobie coś królewskiego. Co po raz kolejny udowodniało, jak pozory potrafią być mylące.

- Rozumiem, że czujesz się niezręcznie, skoro twój sekret się wydał, ale czemu tak się przejmujesz, co ja sobie myślę?

- Nie przejmuję się tym ani trochę, zapewniam cię.

- No to w czym problem?

Rzuciła mu wymowne spojrzenie,

- A niby czemu miałabym ci wyjaśniać? Przecież i tak mi nie uwierzysz, bo już sobie wyrobiłeś zdanie na mój temat.

- W takim razie przekonaj mnie, że się mylę. Aż przewróciła oczami.

- Jasne. Już widzę, jak zdołam cię przekonać.

Wróciła do jedzenia, Sam również. Kiedy skończyli, wzięła obie ich menażki, zaniósła do paleniska, nalała do nich trochę gorącej wody i zaczęła je szorować za pomocą gałązki. Przyglądał jej się z lekkim zaskoczeniem, ponieważ wzięła się za zmywanie z własnej inicjatywy, nie musiał jej do

tego zaganiać. Nie spodziewał się po Lauren żadnego przejawu samodzielności ani chęci do pracy.

- Zdradzisz mi w końcu, czemu tak się nad sobą użalasz? - powiedział do pleców Lauren, zaintrygowany wbrew swojej woli.

Zerknęła na niego przez ramię.

- Wcale się nie użalam. Skoro już musisz wiedzieć, to jestem na siebie wściekła. - Oszczędnie polała łyżki i menażki wodą, by je opłukać, potem wzięła patelnię. - A teraz przepraszam, muszę iść to wyczyścić śniegiem.

- Zostaw, ja to później zrobię. Dokończ to, co mówiłaś. Czemu jesteś na siebie wściekła?

Westchnęła, lecz odstawiła patelnię i z powrotem usiadła na śpiworze.

- Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać? Musiałabym cofnąć się daleko w przeszłość, jeśli masz mnie zrozumieć.

Zerknął na małe, brudne okienko, za którym wciąż wściekle wirował śnieg, sięgnął po niedokończoną raketę.

- Mamy mnóstwo czasu. Dawaj.

Zaczęła nerwowo skubać spodnie od dresu.

- Jak ci już mówiłam, byłam cudownym dzieckiem, całe moje życie upływało pod znakiem muzyki, kiedy nie występowałam na scenie, ćwiczyłam.

- Ponieważ ojciec ci kazał - wtrącił Sam,

nawet nie starając się ukryć niedowierzania, za co został po raz kolejny spiorunowany wzrokiem.

- Tak, ale nigdy nie miałam nic przeciw temu, zawsze kochałam grać, nadal Kocham, chociaż teraz... - Potrząsnęła głową. - Nieważne. Chodzi o to, że tata zajmował się wszystkim, ja miałam poświęcić się wyłącznie graniu. Dosłownie wszystkim. On płacił rachunki, umawiał moje występy, organizował mi życie zarówno w trasie koncertowej, jak i podczas tych krótkich okresów, gdy mieszkaliśmy w domu.

- To znaczy gdzie?

- W Nowym Jorku.

- A co z twoją matką? Też z wami podróżowała?

- Nie. Zmarła przy porodzie.

- Przykro mi. Niepotrzebnie spytałam.

- Nie ma sprawy, przecież nie mogłeś wiedzieć. Znacznie bardziej przeżyłam utratę ojca, kiedy trzy lata temu zmarł na zawał. Byłam w kompletnej rozsypce, ale wtedy jego asystent przejął obowiązki taty i od tej pory to on dbał o wszystko.

- Mówisz o Collinie Williamsie, tak?

Zerknęła na niego, po czym znowu zaczęła nerwowo skubać nogawkę od dresu.

- Tak.

- Był kimś więcej niż twoim menedżerem, prawda?

Gwałtownie poderwała głowę.

- Czemu tak myślisz?

- Ponieważ masz dziwny wyraz twarzy, ilekroć padnie jego imię.

Szybko spuściła wzrok, lecz nie dość szybko, więc Sam zdążył zauważyć wyraz cierpienia w oczach Lauren. Czekał, przyglądając jej się, milczała jednak tak długo, że postanowił przynaglić ją do dalszych zwierzeń.

- Czyli mam rację? Był twoim kochankiem?

- Był moim narzeczonym - odparła ledwie słyszalnym głosem. - Oświadczył mi się tuż po śmierci mojego ojca. Trzy tygodnie przed ślubem miałam wypadek samochodowy.

- Jeśli ta historia ma mnie przekonać, że nie byłaś utrzymanką Giovesiego, to muszę cię rozczarować. Z tego, co słyszę, nieustannie przechodzisz z rąk do rąk, od jednego opiekuna do drugiego.

- Nieprawda! Nic podobnego nie miało miejsca. Kochałam Collina i on mnie ko... To znaczy, myślałam, że on też mnie kocha.

- Co się więc stało? Przecież chyba nie zerwał zaręczyn tylko dlatego, że po wypadku nie mogłaś już koncertować?

- Cóż... Dokładnie tak się stało. Wycofał się, bo straciłam na atrakcyjności, skoro nie byłam w stanie zapewnić mu życia na poziomie, do jakiego aspirował.

- To znaczy?

- Collin chciał jeździć po świecie, być częścią sceny muzycznej, świecić odbitym światłem jako mąż i menedżer wschodzącej gwiazdy. Widzisz, koncerty muzyki klasycznej często przyciągają ludzi zamożnych, wpływowych, sławnych, krótko mówiąc, śmietankę towarzyską, zaś on uwielbiał obracać się wśród elit. Po występie zazwyczaj wydawano przyjęcie na moją cześć, podejmowano nas w domach najbogatszych rodzin, zapraszano nas do wiejskich posiadłości, na rejsy jachtem... Mogło się zakręcić w głowie od takiego stylu życia.

Zapatrzyła się w ogień.

- Collin właściwie nie zerwał naszych zaręczyn, on po prostu... zniknął. - Wzruszyła ramionami, co miało pokazywać, jak niewiele ją to obeszło, lecz w rzeczywistości ujawniło, jak bardzo czuła się zraniona. -I zabrał ze sobą wszystkie moje pieniądze. No, nie wszystkie, zostawił mi tysiąc dolarów, widać sumienie nie pozwoliło mu porzucić mnie w obcym mieście bez centa przy duszy.

- Wyczyścił ci konto bankowe i zwinął się, gdy byłaś w szpitalu?

Skinęła głową.

- Wniosłaś sprawę przeciw niemu?

- Nie. Ponieważ pracował jako mój menedżer, podpisywał umowy, płacił rachunki i zajmował się wszystkim, miał pełnomocnictwo do dysponowa-

nia moimi pieniędzmi. W tej sytuacji nie mogłam nic zrobić.

- Zgadzam się, że to utrudniało sprawę, lecz i tak powinnaś była podać go do sądu, może odzyskałabyś przynajmniej część pieniędzy. Ile tego było?

- No więc właśnie... nie wiem. - Skrzywiła się. - Tak, zgadzam się, że to brzmi idiotycznie, ale do wypadku w ogóle nie zwracałam uwagi na kwestie finansowe. Nie musiałam, ponieważ najpierw zajmował się nimi ojciec, potem Collin. Pieniądze po prostu... były. Kiedy czegoś potrzebowałam, używałam kart kredytowych albo zwracałam się do taty lub Collina, a oni zdobywali to dla mnie. A tu nagle znalazłam się zupełnie sama w obcym mieście, pozbawiona środków do życia, pozbawiona możliwości zarabiania. Moja kariera legła w gruzach. Nie mogłam liczyć na niczyją pomoc, ponieważ nie miałam żadnych krewnych. Oczywiście miałam mnóstwo znajomych na całym świecie, ale nigdy nie zagrzaliśmy długo miejsca w żadnym mieście, więc nie zdołałam nawiązać żadnych przyjaźni. Zostałam nagle kompletnie sama i byłam przerażona.

Nie dziwię się, pomyślał Sam. Pierwszy raz była zdana na własne siły, podczas gdy do tej pory praktycznie noszono ją na rękach. To faktycznie musiało być dla niej straszne. Oczywiście, o ile mówiła prawdę.

Lauren spojrzała na niego, a w jej zielonych oczach widniała niema prośba, by zechciał ją zrozumieć.

- Nie wiedziałam, co zrobić, ani nawet od czego zacząć. Nie umiałam nic poza dawaniem koncertów. Nigdy nie zapłaciłam rachunku ani nie wypisałam czeku. Wszystkie normalne czynności, takie jak sprzątanie, gotowanie, robienie zakupów czy obsługa pralki, których ludzie uczą się, dorastając, były mi zupełnie obce. Dlatego chętnie przyjął pomoc pana Giovesiego, gdy mi ją zaproponował. Już na samym początku uprzedziłam, że nie przyjmę od niego żadnych pieniędzy, a on uszanował moją decyzję. Nigdy nie wzięłam od niego ani centa, lecz nie widziałam nic złego • w tym, by skorzystać z innych form pomocy.

- Potrząsnęła głową. - Co za naiwność z mojej strony!

Milczała przez chwilę.

- Jeszcze zanim wyszłam ze szpitala, znalazł dla mnie pracę w college'u, mieszkanie do wynajęcia oraz samochód. Nie miałam pojęcia, ile może wynosić czynsz ani kosztować samochód, nigdy się tym nie zajmowałam, więc podane przez niego kwoty nie wzbudziły moich podejrzeń. Do głowy mi nie przyszło, że wprowadził mnie w błąd i sam pokrył lwią część kosztów. Gdybym wiedziała... Kiedy ochłonęłam z pierwszego szoku po tym, co się stało, przysięgam sobie, że odtąd nie będę od

nikogo zależna i nie pozwolę nikomu kierować moim życiem. W porządku, powiedziałam sobie, późno zaczynam, ale jestem inteligentna, więc nauczę się wszystkich niezbędnych rzeczy, potrzebuję tylko trochę czasu. - Aż sapnęła ze złości. - I pomyśleć, że ostatnio zaczęłam sobie gratulować, jaka samodzielna się zrobiłam. Byłam przekonana, że sama to wszystko osiągnęłam, a tymczasem zawdzięczam wszystko panu Giovesiemu!

Z urazą spojrzała na Sama.

- Jakby tego jeszcze było mało, na domiar złego jestem teraz skazana na ciebie i kompletnie od ciebie zależna, gdyż o własnych siłach nie zdołam tutaj przeżyć. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że jestem na siebie wściekła?

- Jeśli to cię pocieszy, ja też wolałbym mieć inne towarzystwo.

- Doprawdy? Nigdy bym się nie domyśliła.

Sam zignorował gryzącą ironię w głosie Lauren i bacznie wpatrywał się w jej twarz, szukając choćby najdrobniejszej oznaki fałszu, która potwierdziłaby jego przypuszczenia, lecz nie dostrzegł niczego, poza wyrazem urażonej godności.

Cholera. Albo rzeczywiście mówiła prawdę, albo była jednym z najwytrawniejszych łgarzy, jakich kiedykolwiek spotkał, a w ciągu lat pracy w FBI spotkał ich wielu, za to osoby prawdomówne trafiały się rzadko, dlatego też nie był skłonny wierzyć w tę deklarowaną przez nią niewinność.

Lauren przez jakiś czas znosiła jego przeszywające spojrzenie, ale w końcu nie wytrzymała.

- Nadal mi nie wierzysz, tak?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

- Powiedzmy, że na razie wstrzymam się z jednoznaczną opinią.

Sięgnął po odłożoną na bok raketę śnieżną i wrócił do pracy.

Lauren zacisnęła usta.

- Dzięki za okazanie zrozumienia. - Zerwała się na równe nogi, złapała patelnię i ruszyła ku drzwiom. - Wiedziałam, że rozmowa z tobą to czysta strata czasu.

- Nie zapomnij o linie bezpieczeństwa - rzucił.

Nie podniósł głowy, lecz widział kątem oka, jak Lauren obraca się, mierzy go wściekłym wzrokiem i aż drży ze złości. Wiedział, że przez moment zastanawiała się, czy nie zdzielić go patelnią.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego
- ostrzegł cichym głosem.

Była na zewnątrz dłużej, niż wymagało tego umycie patelni, więc albo dalej się dąsała i specjalnie nie wracała, żeby zrobić mu na złość, albo poszła „do łazienki”, jak to elegancko określała. Kącik jego ust drgnął. Kimkolwiek była, z całą pewnością nie była malowaną lalą, pozbawioną klasy i inteligencji. Nawet w tak skrajnie prymitywnych warunkach zachowywała nienaganne ma-

niery osiemnastowiecznej damy. Sama idea, że Lauren mogła rozważać, czy przyłożyć mu patelnię, była nieodparcie komiczna.

Cień uśmiechu znikł z jego twarzy. Carlo miał staroświecki stosunek do kobiet, w jego oczach dzieliły się na święte i grzesznice, Lauren należała do tych, które był gotów wynieść na piedestał i wielbić, a jeśli mówiła prawdę co do swojego talentu muzycznego, to mógł ją wielbić w dwójnasób, gdyż muzyka klasyczna stanowiła jego prawdziwą namiętność. Gdy zaś chodziło o kobiety przeznaczone do zupełnie innych celów, stary dobry Carlo zawsze wybierał superatrakcyjne modele, kojarzące się jednoznacznie.

Sam zmarszczył brwi, gdyż wcale mu się nie podobało, że jego myśli zmierzają w kierunku, który potwierdzał niewinność Lauren. Nie za bardzo wierzył w tę jej opowieść, mogła ją zmyślić, żeby zachować twarz. Całe jej zachowanie, sposób mówienia, trzymanie głowy, gesty - wszystko to od razu zdradzało prawdziwą klasę, więc może po prostu była rozkapryszoną dziewczyną z bardzo dobrej rodziny, zeszała na złą drogę, a teraz bała się, że jej krewni i przyjaciele dowiedzą się, jak nisko upadła?

To była dość naciągana teoria, ale Sam pozostał przy niej, ignorując jej słabe punkty. Popracował trochę, potem podciągnął rękaw kurtki i spojrzał na zegarek. Gdzie ona się podziewała? Do licha,

spędziła już na zewnątrz wystarczająco dużo czasu. Czyżby stała na tym mrozie, bocząc się i odmrażając sobie cztery litery tylko po to, żeby dać mu nauczkę?

Postanowił dać jej jeszcze trzydzieści sekund, a jeśli w tym czasie nie wróci, to on pójdzie po nią. Wcale by się nie zdziwił, gdyby ta gapa zaplątała się z powodu linki w jakichś krzakach i nie mogła się wydostać. Już zaczynał się podnosić, gdy drzwi uchyliły się, więc czym prędzej usiadł z powrotem, udając, że nigdzie się nie wybierał. Lauren wślizgnęła się do chaty, wyglądając niczym zjawa, gdyż cała była pokryta śniegiem. Ustawiła drzwi na miejscu, podparła drągiem, otrzepała ubranie, potupała trochę, gdyż do podeszew przywarło jej mnóstwo śniegu, postawiła patelnię na palenisku, zdjęła rękawice i wyciągnęła dłonie do ognia, by je ogrzać. I przez cały czas nawet nie spojrzała na Sama.

- Jak już tam jesteś, to wrzuć kilka garści fasoli do wody, żeby się namoczyła. Ugotujemy ją potem na kolację.

Kątem oka widział, jak Lauren obrzuciła go gniewnym wzrokiem, lecz po chwili wahania podeszła do plecaka, wyjęła torebkę z fasolą i zrobiła, co jej polecił. Sam starał się nie patrzeć w stronę ognia, skupił się na tym, by równo wypleść środek rakiety. Kiedy skończył, odciął nożem długi wąski pasek z brzegu plandeki, potem przeciął go na cztery paski równej długości, jeden

z nich przeciągnął przez oka uplecionej ze sznurka siatki, potem stanął jedną nogą na środku rakiety i mocno przywiązał sobie raketę do mokasy na.

- Ta śnieżycy raczej nieprędko się skończy, a zaczyna nam brakować opału. Pójdę zbierać zapas, póki jest jeszcze widno - oświadczył.

- Idę z tobą.

Wyprostował się gwałtownie.

- Co?

- Pomogę ci.

- Ty?

W charakterystyczny dla siebie sposób uniosła brodę.

- Może nie jestem świetną kucharką, ale drewno nosić umiem. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś robić wszystko sam.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Chcę sprawiedliwie dzielić się obowiązkami.

Już miał powiedzieć, żeby dała sobie spokój, lecz zawahał się na widok tej dumnie uniesionej głowy. Jeśli Lauren z nim pójdzie, raczej będzie dla niego dodatkowym obciążeniem niż pomocą, z drugiej strony poczucie dumy było czymś, co Sam doskonale rozumiał.

- Dobrze, ale włożysz rakiety. I tak musisz poćwiczyć chodzenie w nich, więc załatwimy to przy okazji. - Zaczął odwiązywać dopiero co przywiązaną raketę.

- A ty w czym pójdziesz? Przecież dopiero jedna para jest gotowa.

- Poradzę sobie. Najważniejsze, żebyś ty nauczyła się sprawnie poruszać po śniegu, bo gdy tylko zawieja ustanie, natychmiast się stąd zwiżamy dalej. Podejdz i postaw tu nogę.

Przymocował najpierw jedną, potem drugą rakiętę do jej butów, zaś Lauren bacznie śledziła każdy jego ruch, by zapamiętać, jak się to robi. Kiedy skończył, wyprostował się.

- Czekaj, jeszcze jedno. - Wyjął z plecaka niewielki zwój nylonowej linki. - Zwiążę nas razem.

Znieruchomiła, zrobiła wielkie oczy.

- Słucham?

- Bądź tak miła i wyluzuj. Nie chodzi mi o żadne perwersje, tylko o bezpieczeństwo.

Przewiązał się linką w pasie, podszedł do Lauren i nachylił się, by przewlec drugi koniec przez uchwyt suwaka, zamykającego jedną z kieszeni w jej kurtce. Usłyszał, jak Lauren gwałtownie wciągnęła powietrze, wyczuł, jak zeszywniała. Podniósł głowę, spojrzał na nią i zamarł.

Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. Była blada z zimna, za to nos, brodę oraz policzki miała zaczerwienione od mrozu, lecz nawet to nie było w stanie zesześcić jej alabastrowej cery. Sam stał tak blisko, że widział każdą z bajecznie długich kasztanowych rzęs, każdą z cętek na jej mienia-

cych się odcieniami zieleni tęczęwówkach. Tak blisko, że czuł zapach jej skóry, widział pulsującą za lewym uchem żyłkę, słyszał, jak szybko i płytko oddychała.

Powoli przesunął wzrokiem po jej twarzy, a Lauren zadrżała leciutko. Jej oczy wydawały się wielkie i nieco nieprzytomne - zupełnie niczym oczy sarny, gdy na drodze zaskoczy ją samochód i oślepi reflektorami. Sam zrozumiał, że właśnie doświadczyła tego samego, czego on doświadczał, odkąd zobaczył ją na policji w Denver i że ją też, mówiąc krótko, wzięło. Sądząc po zdumionej minie, zareagowała na niego w ten sposób po raz pierwszy i nie wiedziała, co z tym począć.

Sam wcale sobie nie życzył, by Lauren aż tak go pociągała, lecz nie mógł nic na to poradzić, a w końcu był tylko człowiekiem. Odkrycie, że to działało w obie strony, napełniło go poczuciem satysfakcji. Spojrzał Lauren prosto w oczy i przez kilka sekund żadne nie potrafiło oderwać wzroku od tego drugiego. Coś między nimi zaiskrzyło niczym przeskakująca iskra, a może nawet cała błyskawica. Nagły podmuch wiatru podniósł gałęzie na dachu i sychnął do środka chaty śniegiem, prosto na nich, lecz w ogóle tego nie zauważyli.

Wzrok Sama przesunął się na lekko rozchylone wargi, przez chwilę spoczywał na nich, potem znów powędrował ku gwałtownie pulsującej żyłce za uchem. Chciał przycisnąć do niej usta, poczuć

smak delikatnej skóry Lauren, która przyciągała go niczym magnes. Czuł, jak jego powieki stają się coraz cięższe, jak jego głowa sama się nachyla...

Nie wiedział, co go właściwie otrzeźwiło - czy widok jej rozszerzających się źrenic, czy trzask pękającej w ogniu gałęzi, w każdym razie coś przełamało czar, spłoszyło magię chwili, a Sam był z tego powodu ogromnie zadowolony. Odsunął się i zajął się przywiązywaniem sznurka do suwaka jej kurtki.

- Bardzo łatwo stracić orientację w takiej zamieci - odezwał się szorstkim tonem. - Mogłabyś się zgubić, gdybyś odeszła ledwie dwa metry ode mnie, dlatego wolę cię mieć na smyczy.

- J-ja... - Odkaszlnęła, próbując odzyskać w miarę normalne brzmienie głosu. - Rozumiem. A... A co z tobą? Ty przecież też możesz się zgubić.

Odetchnął z ulgą, kiedy ona również postanowiła udawać, że tamtych parę chwil napięcia w ogóle się nie zdarzyło.

- Ale nie tak łatwo jak ty, bo mam bardzo dobrą orientację w terenie. Może częściowo dlatego, że jestem półkrwi Indianinem. W dodatku w dzieciństwie ojciec zabierał mnie czasem na polowania i uczył, jak dawać sobie radę w trudnych warunkach.

- Jesteś półkrwi Indianinem? Naprawdę?
- Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się,

jakby należał do jakiegoś fascynującego gatunku.

- Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo, kto ma w sobie indiańską krew. Z jakiego szczepu?

Łypnął na nią, spodziewając się ujrzeć na jej twarzy kpinę lub pogardę, albo - co jeszcze gorsze - protekcyjną tolerancję. Od lat doskonale znał te wszystkie reakcje, bo nawet w obecnych czasach, niby takich nowoczesnych, wciąż wielu ludzi miało go za „mieszaińca”. Podejrzywał, że rodzony ojciec myślał o nim w ten sposób.

Tymczasem Lauren przypatrywała mu się z zaskoczeniem i z czymś w rodzaju dziecięcej ciekawości. W jej zielonych oczach nie dostrzegł nawet śladu poczucia wyższości.

- Moja matka była Nawaho - rzucił prawie opryskliwie, mocno zacisnął supeł na lince, odstawił drzwi na bok i pomaszerował prosto w śnieżycę.

- Zaczekaj na mnie! - zawołała Lauren, pośpiesznie drepcząc za nim na raketach śnieżnych. Gdyby tego nie zrobiła, przewróciłby ją.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez następne dwie godziny pracowali wytrwale, prawie nie odzywając się do siebie, gdyż było na to zbyt zimno, już samo oddychanie sprawiało im trudność. Sam parł do przodu w głębokim śniegu, zdając się nie zważać na mróz i oślepiającą zamieć. Przechodził od drzewa do drzewa, ścinał gałęzie niedużą siekierą znaną w plecaku przyjaciela, zaś Lauren układała je na jednym miejscu wraz z uschłymi gałęziami, które udało jej się zbierać. Dyszała ciężko, mięśnie drżały jej z wysiłku, miała wrażenie, że ma do stóp przywiązane dwie ciężkie łodzie, które straszliwie utrudniały jej chodzenie i zbierały śnieg.

Nie raz i nie dwa w duchu pobłogosławiła Sama za pomysł związania ich linką, gdyż rzeczywiście traciła go z oczu, ilekroć oddaliła się więcej niż o dwa metry. Co jakiś czas zanosili zbierane

drewno do chaty, potem szli do następnej kępy drzew. Każdy taki uskładany stos wymagał kilku ładnych wycieczek w tę i z powrotem, więc kiedy wreszcie Sam orzekł, że mają dość opału, Lauren była przemarznięta na kość i tak wykończona, że ledwie stawiała jedną nogę przed drugą. Gdy tylko znalazła się w chacie, otrzepała śnieg z kurtki i spodni, a potem runęła jak długa na pośłanie.

- Zanim się wygodnie umościsz, ściągnij rakiety i daj mi, będą mi potrzebne.

Otworzyła jedno oko.

- Wychodzisz? Przecież mówiłeś, że drewna nam wystarczy.

- Tak, ale chcę sprawdzić, czy coś się nie złapało we wnyki. Kto wie, czy na kolację nie będzie świeżego mięsa?

Westchnęła, usiadła, spróbowała wstać.

- Pójdę z tobą i pomogę ci.

- Nie trzeba.

- Chcę dzielić się obowiązkami.

- Doceniam, ale naprawdę nie musisz mi pomagać przy wszystkim. Zresztą szybciej obrócę, gdy będę miał rakiety. Powinno mi to zająć nie więcej niż godzinę. - Już otwierała usta, gdy powstrzymał ją gestem. - Jeśli to ma uspokoić twoje sumienie, pozwolę ci ugotować, co udało mi się złapać.

Widząc jej pełną zgrozy minę, uśmiechnął się - po raz pierwszy naprawdę uśmiechnął się do niej,

i to zupełnie szczerze, a wtedy jego surowa twarz odmieniła się i stała się tak atrakcyjna, że Lauren aż zaparło dech. Śnieżnobiałe zęby błysnęły wśród czarnego zarostu, w kącikach smolistych oczu pojawiły się wesołe zmarszczki.

- Nie obawiaj się, pokażę ci, jak to się robi. To w sumie nic trudnego. Możesz zacząć od postawienia garnka z fasolą przy ogniu, żeby się zagotowała.

- D-dobrze...

Miała wrażenie, jakby ktoś przyłożył jej w ucho i ogłuszył ją. Czym prędzej schyliła głowę i zabrała się za rozwiązywanie pasków od rakiet. Kiedy Sam wyszedł, siedziała jeszcze przez jakiś czas, patrząc na drzwi. Dobry Boże, co się z nią działo? Od dwóch lat, czyli od chwili, gdy Collin ją porzucił, traktowała mężczyzn z zupełną obojętnością, nie będąc nimi zainteresowana w najmniejszym stopniu. Dostała nauczkę, wystarczy jej na resztę życia, przynajmniej tak sobie powtarzała. Tymczasem tego dnia w ciągu zaledwie paru godzin dwa razy doznała wrażenia, jakby raził ją piorun, a powodem tego wstrząsu był Sam. Sam! Okropny człowiek bez odrobiny serca, który jej ani trochę nie lubił!

Tak więc nic z tego. Nawet gdyby miała ochotę na jakiś romantyczny związek - a wcale jej nie miała - z całą pewnością nie rozpatrywałaby kandydatury agenta Rawlinsa. To wszystko przez

ten stres, tłumaczyła sobie. Niedawno czytała, że ludzie, którzy znaleźli się w traumatycznej sytuacji, reagują inaczej niż zazwyczaj. Widać spotkało to również ją, po tych ostatnich dwóch dniach czuła się tak, jakby cierpiała na coś w rodzaju nerwicy frontowej.

Również dlatego nie mogła odpocząć, chociaż zamierzała to zrobić, ledwie Sam wyjdzie. Dołożyła do ognia, przysunęła do niego garnek z fasolą, a potem postanowiła zająć się tym, co umiała najlepiej i tym, co sprawiało jej największą radość i przynosiło ukojenie.

Chociaż nie miała pod ręką instrumentu, nadal mogła ćwiczyć. Usiadła po turecku na śpiworze, położyła przed sobą spory kawał drewna i wtedy nagle uświadomiła sobie, że nie grała od całych dwóch dni, co stanowiło rekord - oczywiście wyjąwszy okres bezpośrednio po wypadku. W przeszłości ćwiczyła po kilka godzin dziennie nawet wtedy, gdy była chora, ta dwudniowa przerwa udowadniała więc ponad wszelką wątpliwość, że jej życie stanęło na głowie.

Dotknęła drewna rozpostartymi palcami, zamknęła oczy i... zaczęła grać. Utwory przechodziły płynnie jeden w drugi, dłonie Lauren tańczyły po kłodzie, czasem wolno i z wdziękiem, czasem gwałtownie i z mocą, w jej głowie cały czas brzmiała muzyka.

Kiedy Lauren grała, nawet tylko w taki sposób,

zapominała o wszystkim, o upływie czasu, o tym, gdzie jest i co się naokoło niej dzieje. Zanurzając się w świecie dźwięków, zapominała o realnym, dlatego też nie zauważyła, że Sam wrócił.

- Co ty, u licha, robisz?

Podskoczyła, słysząc jego głos, gwałtownie otworzyła oczy

- Sam! Już wróciłeś?

- Już? Zajął mi to godzinę dłużej, niż myślałem, więc spieszyłem się z powrotem, bo myślałem, że ty znów będziesz się denerwować, że mnie nie ma, tymczasem ty... Co to miało być?

Zakłopotana się trochę.

- Ćwiczyłam granie. Och, nie patrz tak na mnie, jeszcze nie zwariowałam. To się nazywa wizualizacja, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że siedzę przy Steinwayu.

- No, skoro tak twierdzisz...

- Mówię poważnie. Naprawdę czuję klawisze pod palcami i słyszę muzykę. W przeszłości, gdy lataliśmy z miasta do miasta, z jednego koncertu na drugi, często ćwiczyłam właśnie w ten sposób.

- Inni pasażerowie musieli mieć niezły ubaw.

- Nie musisz być taki uszczypliwy. To naprawdę działa, oczywiście nie jest tak dobre jak ćwiczenia na realnym instrumencie, ale zawsze lepsze niż nic. Codzienna praktyka jest dla mnie ogromnie ważna, a od wypadku odgrywa kluczową rolę, bo

gdyby nie ona, moja lewa dłoń byłaby jeszcze mniej sprawna i w ogóle nie mogłabym grać.

Przyglądał jej się przez długą chwilę, z jego twarzy jak zwykle nie dawało się nic wyczytać.

- A to dla ciebie takie ważne? Nawet teraz, kiedy nie możesz już marzyć o zrobieniu kariery pianistycznej?

- Oczywiście. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym nie grać. Gdybym z jakiegoś powodu musiała przestać, chyba wolałabym umrzeć.

Patrzył na nią bez słowa tak długo, że aż poczuła się nieswojo, wreszcie skinął głową, podszedł do paleniska i coś przy nim położył.

- Mamy szczęście, w sidła złapały się dwa zające. Sprawilem je na zewnątrz, upieczemy je dzisiaj, jednego zjemy, a drugiego powieszę w kąciku, żeby mięso zamarzło. Będzie na później.

- Zające? Miałabym zjeść ślicznego, puchatego zajączka? Nie mogę. Zrobię sobie coś z torebki.

- Zjesz zająca, i to bez dyskusji. Po pierwsze powinniśmy oszczędzać zapasy, po drugie taki zając to znakomite źródło białka i tłuszczu, a będziesz potrzebowała jednego i drugiego, gdy tylko ruszymy w dalszą drogę. Jesteś taka szczupła, że nie masz czego spalać. Chodź tutaj, pokażę ci, jak się piecze mięso.

Podeszła z ociąganiem i starała się nie zwymiotować, kiedy Sam nadziewał wypatroszone zające na zastrzony drąg. Oparł go potem na rozwidlonej

gałęzi, której koniec wbił w szczelinę przy palenisku. Lauren drgnęła, gdy ściągnął jej rękawiczkę, mocno ujął jej dłoń i zacisnął na końcu draga. Nawet jeśli coś zauważył, nie dał po sobie poznać.

- Trzymaj zające tuż nad płomieniami i wolno je obracaj, o tak. - Zademonstrował, cały czas trzymając dłoń na dłoni Lauren. - Najważniejsze, żeby opiekały się równomiernie, więc cały czas trzeba nimi poruszać. Wiesz już, jak to robić?

Miała pustkę w głowie, ledwie słyszała, co mówił, gdyż skupiła całą uwagę na jego dotyku.

- Chyyy...ba... tak.

- To dobrze. Piecz je, aż ci nie powiem, że wystarczy.

Przez następną godzinę Sam robił ostatnią rakiętę śnieżną, a Lauren powoli obracała prymitywny rożen. Starła się przy tym nie patrzeć na Sama, lecz i tak zerkała na niego co chwilę, zwłaszcza na jego ręce.

Były naprawdę piękne, aż dziwne, że wcześniej tego nie zauważyła. Może to przez te rękawice, które oboje ciągle nosili. Miał szerokie, mocne dłonie o długich palcach, które poruszały się zwinnie i pewnie, gdy splotał równą siatkę ze sznurka na ramie z gałęzi. Czy to intymność sytuacji, w jakiej się znaleźli, kazała Lauren zauważać podobne rzeczy i stawać się coraz bardziej świadomą jego ciała, jego fizyczności? Opuszczona chata w górach, uwięzieni w niej przez śnieżycę mężczyzna i kobieta...

Do tej pory tylko z Collinem spędziła tyle czasu i tylko z Collinem dzieliła łóżko, z nikim innym. A jednak jej były narzeczoncy i jej obecny towarzysz różnili się od siebie tak, że bardziej by się chyba nie dało.

Jasnowłosa i niebieskooki Collin był drobny i szczupły, podczas gdy Sam był wysoki i muskularny, zaś jego miedziana cera, czarne oczy oraz niemal granatowe włosy zdradzały indiańskie pochodzenie. Do różnic w wyglądzie dochodziły też różnice w charakterze. W elitarnym świecie wielbicieli muzyki klasycznej Collin czuł się jak ryba w wodzie, błyskotliwość oraz wyrafinowanie pozwalały mu doskonale radzić sobie w towarzystwie, jednak gdyby to on znalazł się z Lauren w tych górach, byłby absolutnie bezużyteczny, ponieważ nie tylko nie wiedziałby, co zrobić, ale nawet nie umiałby niczego zdziałać, choćby objawił mu się jakiś dobry pomysł. Nigdy nie pokalał się żadną fizyczną pracą, potrafił tylko pstrykać palcami na kelnerów, szoferów i służbę hotelową. To inni byli od wykonywania przyziemnych obowiązków, nie on.

Tymczasem Sam posiadał ogromne doświadczenie i wiedzę, w dodatku bez chwili wahania zakasywał rękawy, gdy trzeba było coś zrobić. Był twardy, zamknięty w sobie, czasem aż boleśnie oschły, ale można było na nim absolutnie polegać. Lauren nie mogłaby powiedzieć o sobie, że żywi do

niego sympatię, jednak uświadomiła sobie ze zdumieniem, że mu bezgranicznie ufa. Skoro już los zechciał ją rzucić w tak koszmarną sytuację, to nie mógł dać jej lepszego towarzysza niż Sam Rawlins. Ten człowiek zapewne nie tylko by przeżył, ale też i całkiem wygodnie by się urządził, gdyby trafił na bezludną wyspę, mając przy sobie jedynie kłębek sznurka, agrafkę i paczkę gumy do żucia.

Do czasu, gdy Sam oznajmił, że pora zdejmować mięso z rożna, po chacie zdążył rozejść się wspaniały zapach, a Lauren zgłodniała straszliwie i zapomniała o swoich obiekcjach w kwestii jedzenia ślicznych puchatych zajaczków. Sam pokroił jednego z nich, nałożył mięso do menażek, usiedli przy ogniu i zabrali się za jedzenie.

Przez długi czas panowała cisza, przerywana jedynie brzękiem aluminiowych sztućców, lecz Lauren znosiła ją z coraz większym trudem, gdyż przywykła do tego, że podczas wspólnego posiłku prowadzi się miłą konwersację. Może dlatego - a może z czystej ciekawości - nie wytrzymała wreszcie i spytała:

- Wspominałeś, że dobrze znasz te góry. Dorastałeś gdzieś niedaleko?

Widać zaskoczyła go tym pytaniem, ponieważ przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, a potem ukroił sobie kolejny kawałek mięsa.

- Na zachód stąd, na ranchu niedaleko Monticello.

- Monticello? Gdzie to jest?
- W Utah.
- Czyli udało nam się opuścić Kolorado?
- Jeszcze nie.

Czekała z rosnącą niecierpliwością na dalszy ciąg. Była miła i rozpoczęła konwersację, więc Sam przynajmniej powinien ją podtrzymywać, tymczasem on znowu wrócił do jedzenia, nie zdradzając chęci do dalszej rozmowy.

Lauren zacisnęła wargi. W porządku, nie chciał po dobroci, to trzeba spróbować inaczej.

- Opowiedz mi o twoich rodzicach.

Gwałtownie poderwał głowę, jego ciemne oczy zwięzły się, widniała w nich podejrzliwość.

- A niby czemu miałbym to robić?

Lauren aż się roześmiała, tak komiczne wydało jej się jego zachowanie.

- Nie reaguj w taki sposób, jakbym próbowała wyciągnąć z ciebie tajemnice państwowe. Po prostu jestem ciekawa, w dodatku rozmowa wypełni nam czas i pozwoli poznać się lepiej. Ponadto ty wiesz o mnie wszystko, więc i ja powinnam wiedzieć coś o tobie, tak będzie sprawiedliwiej.

- Nie porównuj tego, ja pracuję w FBI, a ty jesteś cywilem, zamieszany w morderstwo.

- Zmiłuj się, jestem świadkiem, a nie oskarżoną, cały czas wydajesz się o tym zapominać! Chcę porozmawiać, mam dość tego ciągłego milczenia. Wiem, że uprzedziłeś się do mnie i,

szczerze mówiąc, ja też za tobą nie przepadam, ale skoro już jesteśmy na siebie skazani, może zawrzyjmy rozejm i zacznijmy się zachowywać po ludzku? Czy to za duże wymagania?

Obrzucił ją jednym z tych swoich przeszywających spojrzeń, potem znów zajął się jedzeniem. Kiedy Lauren doszła do wniosku, że wszystkie jej wysiłki na nic, Sam odezwał się znienacka:

- Co chcesz wiedzieć?

- Na początek powiedz mi o twojej matce. Jak ma na imię? Jaka jest?

- Nazywała się Mary Poranna Gwiazda Zah. Była niewysoka i delikatnej budowy. - Podniósł wzrok na Lauren, przez jego twarz przemknął wyraz lekkiego zaskoczenia. - Tak jak ty.

- Mówisz w czasie przeszłym. Czy to znaczy...?

- Tak. Zmarła, kiedy miałem siedemnaście lat. Wracając do opisu... Była drobna, nieśmiała, łagodna. Widać przeciwieństwa rzeczywiście się przyciągają, ponieważ mój ojciec jest wysoki, bardzo silny oraz tak twardy i nieustępliwy, jak tylko możliwe.

To wiele wyjaśnia, pomyślała. Jaki ojciec, taki syn. Intuicja podpowiedziała jej jednak, by zachować tę uwagę dla siebie.

- Jak się poznali?

- Wtedy rodzinne ranczo prowadził dziadek, pewnego lata zbiory były kiepskie z powodu suszy

w okolicach Monticello, ale dalej na południe było dość opadów, więc dziadek wysłał mojego ojca, żeby kupił siano u Johna Zaha z plemienia Nawaho, który też miał ranczo. Do Zaha akurat przyjechała w odwiedziny jego siostrzenica, córka wodza.

- Czyżby to jeden z przypadków miłości od pierwszego wejrzenia?

- Nie wiem, nie było mnie przy tym.

- Bardzo śmieszne. - Skarciła go wzrokiem, lecz nie dała się zniechęcić jego kpiącą uwagą. - Ja nadal myślę, że to bardzo romantyczne, w końcu nie co dzień ktoś się żeni z indiańską księżniczką i wie dzie z nią szczęśliwe życie.

Sam aż prychnął.

- Zgaduj dalej.

- Co masz na myśli? Coś było nie tak? - zaniepokoiła się. - Chyba ich rodziny nie miały obiekcji? A może jednak?

- Owszem, miały. Obie. I to diabelnie dużo.

- To okropne.

- Nie do końca. I dziadek ze strony ojca, i krewni matki martwili się, że nie będzie szczęśliwa, kiedy odejdzie do świata białych ludzi. No i mieli rację.

- O nie! Czyżby twoi rodzice się rozwiedli?

- Mama starała się wytrwać przy ojcu jak najdłużej, ale tęskniła za swoim plemieniem i za życiem w rezerwacie. Rozstali się, gdy miałem cztery lata.

- Co za szkoda... Rozumiem, że dorastałeś w rezerwacie?

- Tak miało być, zwłaszcza, że Nawahowie to społeczność matriarchalna, w której dzieci należą do matek. Ale mój stary nie chciał mnie puścić od siebie, a raczej wypuścić z rancza, które miałem odziedziczyć jako jego jedyny syn. Było w rękach Rawlinsów od ponad stu lat i tak już miało pozostać na zawsze.

Jego widelec zazgrzytał o dno pustej menażki, a wtedy Sam podniósł się jednym płynnym ruchem, wrzucił sztuce i naczynie do patelni, przykucnął, by wyszorować je gałęzią.

- Zostaw, ja potem pozmywam, ty dokończ swoją historię - poprosiła Lauren.

On jednak nie przerwał pracy, potem sięgnął po jej menażkę oraz sztuce.

~ Właściwie nie ma już o czym gadać. Oboje walczyli o opiekę nade mną, ale ponieważ sprawa toczyła się w sądzie dla białych i przed białym sędzią, wygrał mój ojciec.

Chociaż jak zwykle mówił w bardzo opanowany sposób, jego głos przybrał trochę ostrzejszy ton niż zazwyczaj, co zdradzało, że Sam żywił gniew i urazę.

- Nie byłeś szczęśliwy z ojcem? - spytała ostrożnie Lauren.

- Nie byłem nieszczęśliwy. - Zerknął na nią i zrobił nieco cierpką minę. - Nie próbuj nigdy grać w pokera, z taką twarzą nie masz szans, wszystko

jest na niej wypisane drukowanymi literami. Nie, ojciec mnie nie bił ani też nie zaniedbywał. Po prostu nie dogadywaliśmy się, co zresztą trwa do tej pory. Wzruszył ramionami. - Zdarza się. To nic wielkiego.

- Często się kłóciliście?

- Codziennie. Walczyliśmy ze sobą, nie przy-
mierając, jak dwa byki, każdy chciał wziąć
drugiego ma rogi.

- I o co tak walczyliście?

- O co tylko chcesz. Nie potrafiłbym dojść do
zgody nawet w najdrobniejszych sprawach, do
tego nigdy nie mogłem go zadowolić, zawsze coś
mu nie pasowało, no więc w końcu przestałem
się starać. Szczerze powiedziawszy, zacząłem sta-
wać na głowie, żeby go wkurzyć. Nie cierpiało,
kiedy jeździłem do matki, więc przesiadywałem
w rezerwacie jak najczęściej, nawet po jej śmier-
ci. Zacząłem chodzić w mokasynach i zapuś-
ciłem włosy, żeby splatać je w warkocz na złość
ojcu.

- I złościł się?

- Pewnie. Kazał mi je ściąć, ale nie posłucha-
łem, chociaż sam też wolę krótkie włosy. Cóż, obaj
jesteśmy konsekwentni w swoich poczynaniach.

Raczej uparci jak dzikie osły, skorygowała
w myślach, starając się nie uśmiechnąć. Sam
skończył czyścić naczynia, ale nie wyszedł na
zewnątrz, by przetrzeć patelnię śniegiem, tylko

usiadł i zabrał się za dokończenie rakiety. Lauren przyglądała mu się, przechyliwszy głowę na bok, a kobieca intuicja bezbłędnie podpowiedziała jej, w czym rzecz.

- Według ciebie twój ojciec nie może znieść twojej indiańskiej krwi.

Wcale nie zamierzała powiedzieć tego na głos, jakoś samo jej się wyrwało, nim zdążyła się zreflektować. Trafiała w dziesiątkę, gdyż Sam znieruchomiał, przeszył Lauren lodowatym spojrzeniem, jego twarz stała się jak wykuta z granitu. Przez nieznośnie długi czas panowało milczenie, potem Sam bez słowa wrócił do swojego zajęcia.

Powinna była w ogóle dać spokój albo przynajmniej zmienić temat, ale z jakiegoś powodu nie mogła.

- Wspomniałeś, że twój ojciec chciał, byś przejął po nim ranczo, ale ewidentnie tak się nie stało. Czemu? Nie pociąga cię taki tryb życia? Czy to w tym tkwi problem?

- Do licha, aleś ty wścibska! I uparta.

- Pewnie masz rację. - Odczekała chwilę, a gdy się nie odzywał, zaczęła naciskać: - To jak to jest z tym twoim stosunkiem do życia na ranczu?

- Uwielbiam je. Zawsze chciałem odziedziczyć ranczo Rawlinsów. Ale nie na warunkach mojego ojca.

- Co się więc stało?

- Niedługo po tym, jak skończyłem college, pożarliśmy się tak, że miałem dość i zwinąłem manatki. Po tygodniu zgłosiłem się do FBI. To było szesnaście lat temu. Podjąłem decyzję i od tej pory nie oglądałem się za siebie.

- Ale pewnie przez ten czas pogodziłeś się z ojcem? Proszę, powiedz, że jesteście w dobrych stosunkach.

- Nie skaczemy sobie do gardeł, jeśli o to ci chodzi, ale to pewnie dlatego, że nie kontaktujemy się ze sobą zbyt często.

Lauren zdumiała się.

- Nie rozmawiasz ze swoim ojcem?

- Tego nie powiedziałem. Dzwonię do niego dwa, trzy razy w roku, zazwyczaj na jego urodziny i na święta.

- A kiedy go ostatni raz odwiedziłeś?

- Słuchaj, mówiłem przecież, że nie dogadujemy się, więc po co mamy się widywać, skoro to i tak zakończy się kłótnią?

- Ale... ale przecież on nie jest już najmłodszy. Jak możesz...

- To nie twoja sprawa. Uważam temat za zakończony. - Chociaż powiedział to spokojnie, w jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

- Przepraszam. Masz absolutną rację. Zapewniam cię jednak, że nie zamierzałam nikogo osądzać, po prostu byłam tak zżyta z moim ojcem i tak mi go brakuje, że nie potrafię sobie wyobrazić...

- Nie wszystkie rodziny są takie same.
- Oczywiście. Naprawdę cię przepraszam, nie powinnam była wtykać nosa w twoje sprawy. Wybacz mi.

Najwyraźniej nie spodziewał się przeprosin. Przez chwilę przyglądał się Lauren, próbując odgadnąć, czy mówiła szczerze, wreszcie skinął głową, milcząco przyjmując przeprosiny i wrócił do pracy.

- Niedługo trzeba będzie się kłaskać, więc jeśli potrzebujesz wyjść, to idź.

- Dobrze - zgodziła się potulnie.

Wstała, obwiązała się w talii nylonową linką, przymocowała rakiety do butów. Miała wyrzuty sumienia, nie powinna była poruszać tak bolesnego tematu. Sam co prawda próbował bagatelizować problem, lecz stało się dla niej jasne, że konflikt z ojcem dotknął go bardzo głęboko. Wyszła z chaty, czując się dziwnie przybita i ruszyła w kierunku kępy drzew.

Jednak człowiek potrafi przywyknąć do wszystkiego, pomyślała. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej bała się oddalić od chaty, gdyż wyobrażenia kazała jej widzieć czające się dookoła wygłodniałe drapieżniki, teraz zaś w ogóle o to nie dbała. Może dlatego, że miała co innego na głowie.

Gdy wróciła, Sam rzucił jej fiolkę z witaminami i kazał wziąć jedną tabletkę, potem zabrał patelnię i wyszedł. Lauren posłusznie łyknęła pastylkę,

umyła zęby, wyszczotkowała włosy, posmarowała twarz i dłonie kremem, ściągnęła buty i wczółgała się do śpiwora. Położyła się na boku i zapatrzyła w ogień, czując bolesny ucisk w piersi.

Oczywiście Sam miał rację - jego relacja z ojcem to nie jej sprawa, w końcu nie byli przyjaciółmi, tylko obcymi ludźmi, z których jedno miało chronić drugie, to wszystko. Nie powinna się wtrącać. Nie powinna, a mimo to nie potrafiła przestać myśleć o tym, co jej opowiedział, ani przestać się tym martwić.

Podobnie jak ona, Sam dorastał praktycznie tylko pod opieką ojca, więc już samo to powinno wytworzyć między nimi silną więź, przynajmniej w przypadku Lauren i jej ojca właśnie tak się stało. Nie potrafiła sobie wyobrazić sytuacji, w której miałyby dosyć i odeszła, praktycznie zrywając kontakt. Owszem, tata potrafił być szalenie wymagającym perfekjonistą, ale ogromnie kochał swoją córkę, a ona jego. Na myśl o tym, że między Samem a jego jedynym żyjącym rodzicem ziała emocjonalna przepaść, dosłownie bolało ją serce. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca, pomyślała, ziewając szeroko.

Dla większej wygody wsunęła sobie pod policzek złączone dłonie, i zamknęła oczy, gdyż wreszcie dopadło ją zmęczenie całego dnia. Już zasypiała, gdy podmuch zimnego wiatru, oznaczający powrót Sama, uświadomił jej, że on zaraz położy się przy niej i będą spali razem.

Oprzytomniała natychmiast. Poprzedniego wieczoru leciała z nóg, więc w sumie nie przejęła się zbyt mocno tą perspektywą, jednak teraz prawie podskakiwała z nerwów, gdy słyszała, jak on krząta się po chacie, zapewne szykując się do snu.

Niemądra jesteś, powiedziała sobie stanowczo. Przecież w tym wspólnym spaniu nie ma żadnego erotycznego podtekstu, to zwykła konieczność, podyktowana warunkami, jeśli nie chcą zamarznąć, muszą się wzajemnie ogrzewać w nocy. Sam nie był nią zainteresowany, ani jej nie lubił, ani jej nie pragnął, okazał to już wystarczająco jasno. On tylko wykonywał swoją robotę jako agent FBI, który chroni świadka koronnego. Naprawdę nie istniały żadne powody do obaw.

Tłumaczyła tak sobie i tłumaczyła, a mimo to nadal leżała cała spięta, gdy tak czekała, aż on wślizgnie się do śpiwora. Słyszała, jak otworzył fiolkę z witaminami, wytrząsnął tabletkę, parę chwil później słyszała, jak mył zęby. A potem... potem tylko trzaskał ogień, wył wiatr i coś jednostajnie, cichutko szurało. Co to mogło być? Zaintrygowana, otworzyła oczy, odwróciła głowę i ujrzała, że siedzący nieopodal Sam znowu pracuje nad ostatnią rakieta.

- Chyba mówiłeś, że pora się kłaść?

- Najpierw chcę to skończyć. Jeśli szczęście nam dopisze, śnieżycy ustanie, a wtedy będziemy potrzebować rakiet z samego rana. - Łypnął na nią

i skrzywił się. - A ty czemu nie śpisz? Śpij - zakomenderował szorstko.

Widział, że poczuła się urażona. Później swoim zwyczajem dumnie uniosła brodę, a umiała to uczynić nawet na leżąco.

- Rozkaz, sir! W tej chwili, sir!

Odwróciła się plecami do niego, zaś Sam zaklął w duchu, zły na siebie. Wcale nie chciał odezwać się do niej w taki sposób. W ogóle mówił jej rzeczy, których nie planował powiedzieć. Nie pojmował, czemu zwierzył jej się ze swoich rodzinnych problemów, nigdy tego nie robił.

No, prawie nigdy, poprawił się w myślach, przypominając sobie długą, męczącą noc, gdy jemu i Toddowi przydzielono szczególnie niewdzięczne zadanie, mianowicie mieli po prostu siedzieć w samochodzie i obserwować pewien budynek. Rozmawiali, żeby zabić nudę i senność, i nie wiedzieć kiedy ta niezobowiązująca gadka przerodziła się w zwierzenia. Ten jeden jedyny raz Sam był mniej czujny niż zazwyczaj, więc zdradził, że kompletnie nie układa mu się z ojcem. Żałował tego potem, co zresztą Todd odgadł, będąc jednym z jego najlepszych przyjaciół. Taktownie nigdy więcej nie rozmawiał z Samem na ten temat.

Przed Lauren otworzył się z zupełnie innych powodów. Po pierwsze miała rację, jeśli uda mu się wydostać ich z tych gór, to spędzą ze sobą najbliższych parę miesięcy, faktycznie więc

byłoby dobrze zacząć się jakoś dogadywać. Po drugie, powoli kiełkowała w nim myśl - czy może raczej przecucie - że ona rzeczywiście jest osobą, za którą się podaje. Głowy byjeszcze za to nie dał, ale nie obstawał już przy swojej wersji.

Zaklął pod nosem. Uznał ją za kochankę Carla, gdyż wszystko na to wskazywało, tymczasem jako dobry agent powinien był wiedzieć, że trzeba brać pod uwagę różne możliwości, a nie tylko te, które wydają się oczywiste.

Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym mniej prawdopodobna stawała się jego pierwotna koncepcja, gdyż Lauren była inteligentna, bystra, chętna do uczenia się i robienia różnych rzeczy, a nade wszystko chciała być tak samodzielna i niezależna, jak tylko się da. Mocno nietypowy zestaw cech jak na utrzymankę.

W dodatku miała nienaganne maniery, Sam z łatwością potrafił sobie wyobrazić Lauren obracającą się swobodnie wśród ludzi z najwyższych sfer, premierów, księżniczek i licho wie, kogo jeszcze. Byle dziewczyna, i to łatwa, tego nie potrafiła. Ani byle pianistka z nocnego klubu. Sęk w tym, że on wcale nie życzył sobie, by Lauren mówiła prawdę, bronił się przed tą jej wersją rękami i nogami, gdyż przekonanie, że ta kobieta jest zwykłą dziwką, pozwalało mu trzymać w karchach gwałtowny pociąg fizyczny, jaki do niej odczuwał - a nie powinien, zważywszy sytuację.

Czekały ich tygodnie, a nawet miesiące spędzone tylko we dwoje, zaś Sam nie był pewien, jak sobie z tym poradzi, jeśli będzie miał do czynienia z porządną kobietą, a nie z jakąś puszczalską. Ta druga nie stanowiłaby dla niego najmniejszego zagrożenia, natomiast ta pierwsza...

W ciągu kilkunastu lat pracy w FBI nigdy nie doświadczał żadnych trudności z zachowaniem zawodowego dystansu wobec podejrzanych, oskarżonych czy świadków, pierwszy raz przydarzył mu się podobny problem. Ale dlaczego? Czym ta kobieta różniła się od pozostałych? Nie znajdował żadnej racjonalnej odpowiedzi i to frustrowało go jeszcze bardziej, bo zawsze był świetny w rozwiązywaniu wszelkich zagadek, jego analityczny umysł lubił rozważać fakty, poszlaki, możliwości, motywacje i składać je w logiczną całość. Jego reakcja na Lauren nie miała jednak nic wspólnego z logiką.

Westchnął. Licho wie, czy nie czekały go poważne kłopoty.

Ostatni raz przeciągnął sznurek przez ramę z gałęzi, zawiązał, mocno zaciągnął supeł, potem położył skończoną raketę razem z innymi, dorzucił drew do ognia i obejrzał się na Lauren. Zmęczenie okazało się silniejsze niż gniew, gdyż spała już kamiennym snem. Sam ściągnął mokasyny, położył przy ogniu filcowe wkładki, potem wślizgnął się do śpiwora i przytulił do Lauren tak samo jak

poprzedniej nocy. Niesforny kosmyk połaskotał go w nos, więc założył jej włosy za ucho. Westchnęła przez sen i umościła się wygodniej, mocniej wtulając pupę w zagłębienie, utworzone przez podgięte nogi Sama.

Jęknął cicho. Popatrzył na lśniące w blasku płomieni włosy, poczuł ich zapach - kwiatowy, bardzo kobiecy. Zacisnął zęby, wbił wzrok w ogień. Tak, zdecydowanie znalazł się w poważnych tarapatach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obudził się gwałtownie.

Podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać tak czujnie jak jeleń w środku lasu. Coś się zmieniło.

Ogień przygasł, na palenisku ledwie żarzyło się kilka głowni, po których leniwie pełgały niewielkie płomyki. Lauren spała twardo, znowu leżąc na Samie niczym na materacu, lecz wiedział, że tym razem obudziło go coś innego.

Leżał nieruchomo, tylko jego wzrok przebiegał wszystkie kąty, próbując przebić czający się w nich mrok. Naraz Sam uświadomił sobie, że przez małe brudne okienko wpada światło księżycy i wszystko zrozumiał.

Przestało padać.

v

- Cholera!

Zepchnął z siebie Lauren, czym prędzej rozsunał suwak śpiwora, zerwał się na równe nogi,

wepchnął ciepłe wkładki do mokasynów. Jezu, od jak dawna już nie padało?

Schylił się, potrząsnął Lauren za ramię.

- Wstawaj!

Skacząc na jednej nodze, a potem na drugiej, wciągnął mokasyny, tymczasem zaspana Lauren uniosła głowę i spojrzała na niego półprzytomnie.

- Co...? Co się stało? - Odgarnęła włosy w oczu, rozejrzała się. - Przecież jest jeszcze ciemno - wymamrotała. - Czemu wstałeś?

- Ty też wstawaj, przestało padać, musimy się stąd zbierać.

Usiadła, szeroko otwierając oczy, w których pojawił się niepokój.

- Ruszamy w drogę? Teraz?

- Nie w tej chwili, ale niedługo. Najpierw muszę zejść do samolotu.

- Zamierzasz wracać taki kawał drogi? Po co?

- Zapomniałem czegoś.

W pośpiechu przywiązywał rakiety do mokasynów. Musiał znaleźć i zniszczyć ten przeklęty nadajnik, nim sabotażysta i jego kumple zdołają namierzyć miejsce katastrofy.

- Ale to ci zajmie parę godzin.

- Nie. W pojedynkę będę poruszał się szybciej. Kiedy mnie nie będzie, spakuj wszystkie zapasy i nasze rzeczy. No, rusz wreszcie tylek i bierz się do roboty!

- Dobrze, już wstaję, nie musisz odzywać się

do mnie w taki sposób. - Drżąc z zimna, wyczołgała się ze śpiwora i włożyła buty.

- Co robisz? - spytał ostro Sam, gdy schyliła się po gałęzie.

- Nie widać? Chcę dołożyć do ognia.

- Żadnego ognia. Ten, co jest, niech się wypali do końca, ale nic już do niego nie dokładaj.

- Dlaczego?

- Rób, co ci mówię. Mam swoje powody.

- Ale przecież tu można zamarznąć! I na czym ugotujemy śniadanie?

- Nie mamy czasu bawić się w gotowanie, zjedz kawałek suszonego mięsa. - Tupnął parę razy, by sprawdzić, czy wiązania raket dobrze się trzymają, potem wyjął z papierowej torebki kilka kawałków suszonego mięsa i włożył je sobie do kieszeni kurtki.

- Nie będzie cię przez kilka godzin, mam tu siedzieć cały czas w takim zimnie?

- Przyzwyczajaj się - uciał. Chwycił strzelbę i ruszył ku drzwiom. - Będzie jeszcze zimniej, gdy będziemy szli przez góry. Zresztą kiedy zajmiesz się pakowaniem, rozgrzejesz się i nic ci nie będzie. Kobietom pakowanie zawsze zajmuje długie godziny.

- Ale śmieszne. Cały czas jednak nie rozumiem, czemu nie mogę rozpalić ognia, mamy wystarczająco dużo opału, a skoro ciebie tak długo nie będzie, to mogłabym zagotować dużo wody i porządnie się umyć.

Sam znieruchomiał na moment, potem odwrócił się gwałtownie.

- Zwariowałaś? Do licha, kobieto, przecież metr od paleniska można zamarznąć. Dostaniesz hipotermii, zanim zdążysz się wytrzeć.

- Gdybym rozpaliła naprawdę duży...

- Nie! Nie ma mowy!

- Ale ja muszę się umyć! -jęknęła.

Pomimo całego pośpiechu i zdenerwowania omal się nie uśmiechnął. Po raz pierwszy jęczała o cokolwiek i niech go diabli porwą, jeśli nie wyglądała przy tym jak słodko nadaśaną dziewczynka, kiedy tak mierzyła go gniewnym spojrzeniem spod grzywy potarganych włosów.

Od samego początku przewidywał, że będzie mu kulą u nogi, tymczasem Lauren zacięła zęby, słuchała poleceń i nie narzekała pomimo warunków cięższych niż spartańskie. Ba, nawet starała się na coś przydać. Każdy jednak ma swój słaby punkt i wyglądało na to, że czymś, co może złamać Lauren, są dwa dni bez prysznic.

- Ja też, to jednak może poczekać - oświadczył z mocą.

- Ale...

- Powiedziałem „nie”. Koniec dyskusji. Masz mnie słuchać i już. -Podszedł do drzwi, odstawił je na bok, lecz nim znikł w coraz bardziej szarzącym mroku, zatrzymał się jeszcze na chwilę

i ostrzegawczym gestem wycelował palec w Lauren. - Pamiętaj, co powiedziałem. Żadnego ognia, żadnego gotowania, a przede wszystkim żadnego mycia. Dotarło?

- Dotarło. Głucha nie jestem.

- To dobrze. Wrócę tak szybko, jak się da. Bądź gotowa do drogi.

Wyszedł, ustawił drzwi z powrotem i pośpieszył ku miejscu katastrofy, na poły idąc, na poły biegnąc, a raczej skacząc, gdyż w rakietach nie dało się biec normalnie. Przez całą drogę myślał o Lauren. Żałował, że potraktował ją tak surowo, lecz naprawdę nie dało się inaczej, gdyż musieli się spieszyć, a ponadto zachować najwyższą ostrożność. Nie wiadomo przecież, jak dawno przestało padać i czy sabotażysta - bądź jego zleceniodawca - nie wysłał już za nimi pościgu. Dym natychmiast zdradziłby miejsce pobytu Sama i Lauren, nie należało ryzykować.

Przestępcy prędzej czy później i tak przybędą, Sam nie miał co do tego cienia wątpliwości, ponieważ potrzebowali się upewnić, czy udało im się usunąć niewygodne osoby. Kiedy znajdą we wraku awionetki tylko dwa ciała, rozdzielią się i zaczną szukać uciekinierów. Sam do tej pory nie uprzedził o tym Lauren, żeby dodatkowo jej nie przerazić, i tak była wystarczająco przestraszona. Od razu zauważył błysk niepokoju w jej oczach,

gdy powiedział, że muszą wyruszyć jak najszybciej, nie umknął też jego uwadze fakt, że trochę pobladała.

Nie dziwił jej się. Niezależnie od tego, jak nędzna i prymitywna była chata, w której znaleźli tymczasowe schronienie, Lauren czuła się w niej bezpiecznie, gdyż znajdowała się daleko od swoich prześladowców, ukryta głęboko w górach, odcięta od świata. Do tego wierzyła, że nikt nie wie, gdzie ich szukać, a Sam nie chciał pozbawiać jej tej wiary, dopóki nie będzie miał innego wyboru. Ponieważ Lauren była bystra, zdążyła już zrozumieć, że wydostanie się z gór i powrót do cywilizacji niosą ze sobą ogromne zagrożenie i potencjalnie są bardziej niebezpieczne niż pobyt w tej dzikiej głuszy, gdyż ktoś mógł ją rozpoznać i ludzie Giovesiego mogli ją łatwiej znaleźć.

Nie zwalniając kroku, sięgnął do kieszeni, wyciągnął kawałek suszonego mięsa i zaczął je żuć, pamiętając podświadomie, że musi dostarczyć mięśniom paliwa. Ani na chwilę nie przestał rozważać sytuacji. Oczywiście główny cel morderców stanowiła Lauren, lecz on też lepszy był dla nich martwy niż żywy, gdyż najprawdopodobniej sabotażu dokonał człowiek z FBI, siedzący u Giovesiego w kieszeni. Sam czuł przez skórę, że znajdował się coraz bliżej odgadnięcia, kto to jest - i ten ktoś też pewnie to przeczuwał. Rozwiązanie

zagadki było już tylko kwestią czasu, dlatego zdrajca postanowił wykorzystać doskonałą sposobność i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jednocześnie pozbywając się depczącego mu po piętach Sama oraz świadka, którego zeznania obciążąłyby Giovesiego.

Jeśli katastrofa awionetki rzeczywiście nastąpiła w wyniku sabotażu, jak podejrzewał Sam, zawężyło to krąg podejrzanych do pięciu pozostałych mężczyzn, którzy wraz z nim brali udział w nocnej naradzie zwołanej przez Harveya.

Sam z miejsca wykluczył Dave'a, gdyż ten nie tylko był zbyt młody i idealistycznie nastawiony, by dać się skorumpować, ale przede wszystkim nie wszedłby na pokład samolotu, który miał się rozbić. Pozostawał więc Harvey Weiss, Charley Potter, Todd Berringer i Roy O'Connor.

Nie znał O'Connora aż tak dobrze, lecz zawsze uważał go za wyjątkowo uczciwego faceta. To samo mógł powiedzieć o swoim bezpośrednim zwierzchniku, Charleyu. Todd był strasznie wyszczekany i miał tendencję do latania za spółniczkami, ale w sprawach zawodowych postępował absolutnie bez zarzutu, stosując się do wszystkich możliwych reguł, co zresztą Sam uważał za podejście pozbawione inicjatywy i nie zawsze skuteczne. Nie wykluczał jednak, że przyjacielowi

przyświecała chęć zdobycia awansu, zaś awansowali ludzie przewidywalni, a nie takie samotne wilki jak Sam, kierujące się własnym instynktem.

Pomimo tych różnic - a może właśnie dzięki nim - przyjaźnili się z Toddem od wielu lat. Tak więc zostawał już tylko Harvey.

Sam chętnie uznałby go za głównego podejrzanego, ponieważ nie znosił faceta, ale właśnie dlatego postanowił zachować ostrożność, nie pozwalając, by kierowały nim uprzedzenia. Dopóki nie zdobędzie dowodów, jednoznacznie wykazujących czyjąś winę, wszyscy czterej będą tak samo podejrzani.

Powoli robiło się coraz jaśniej. Na wschodzie złocista poświata obrysowała poszarpane granie, niebo nad nimi stało się perłowe, ale oczywiście słońce miało się ukazać zza gór dopiero za parę godzin.

Panowała kompletna cisza, nic się nie poruszało, ciężki oddech Sama oraz chrzęst jego kroków na świeżym śniegu brzmiały nienaturalnie głośno. Wytrwałę parł do przodu, tylko raz czy dwa zatrzymał się, by napić się wody z manierki i sprawdzić kierunek na kompasie.

Marsz zabrał mu trochę ponad godzinę. Sam dotarł do skraju lasu, dalej rozciągała się otwarta przestrzeń, kończąca się urwiskiem, z którego zsunęła się awionetka i roztrzaskała na dnie wąwozu. Sam przystanął pod drzewami i rozejrzał się

bacznie. Nadal nic się nie działo i było tak cicho, że gdyby nie jego własny dość głośny oddech, dałoby się usłyszeć, jak borsuk kicha z zimna w swojej norze.

Upewniwszy się, że dookoła nie ma żywej duszy, Sam ostrożnie wyszedł na otwartą przestrzeń. Zrobił ledwie dwa kroki, gdy naraz usłyszał za plecami zbliżający się charakterystyczny odgłos wirujących łopat helikoptera.

- O kurwa!

Rzucił się do tyłu i skoczył szczupakiem pod gałęzie najbliższego świerka akurat w momencie, gdy helikopter wynurzył się zza czubków drzew. Sam przeturlał się dalej, by ukryć się pod nisko zwisającymi gałęziami, potem przyczołgał się na brzuchu do samego pnia, rozpląszczył się na śniegu i znieruchomiał, oddychając ciężko. Serce waliło mu jak młotem. Zauważyli go czy nie?

Silnik helikoptera hałasował dokładnie nad jego głową, drzewa kołysały się wściekle, zrzucając czapy śniegu, a Sam jeszcze głębiej wcisnął się w zaspę. Po chwili ogłuszający hałas zaczął się oddalać.

Sam odważył się unieść głowę, podpełzł trochę do przodu i zerknął pomiędzy gałęziami w stronę wąwozu, nad którym helikopter właśnie zaczynał krążyć. Pilot nie odważył się zejść niżej, gdyż rozpadlina była zbyt wąska, więc ludzie na

pokładzie mogli obserwować miejsce katastrofy jedynie z góry. Sam czekał w napięciu, licząc na to, że widok rozbitej i spalonej awionetki przekona ich, że nikt nie uszedł z życiem.

- Jasne. Za dobrze by było - mruknął pod nosem, gdy helikopter zawrócił i usiadł na polanie, wzbijając w górę tumany śniegu.

Chociaż z takiej odległości nie dałoby się go zauważyć, odruchowo zniżył głowę, kiedy drzwi kabiny otworzyły się. Wyskoczył z nich jakiś człowiek i z miejsca przyjął pozycję obronną na lekko ugiętych nogach, z karabinem przyciśniętym do ramienia. Omiótł lufą okolicę. Czterech następnym mężczyznom zrobiło dokładnie to samo, potem pilot zgasił silnik i dołączył do pozostałych.

Sam przyglądał im się i czekał, zaciskając dłoń na strzelbie. Mięśnie miał napięte jak postronki. Nie mógł rozpoznać nikogo, był zbyt daleko, ale jedno nie ulegało wątpliwości - śmigłowiec należał do FBI.

Człowiek, który wyskoczył pierwszy, sprawiał wrażenie dowódcy. Kilka razy uważnie zlustrował najbliższe otoczenie, a potem podniósł wzrok nieco wyżej, patrząc w stronę lasu. Sam przestał oddychać, gdyż wydało mu się, że tamten wpatruje się dokładnie w miejsce, gdzie on się ukrywał. Trwało to kilka sekund.

Jeden z mężczyzn coś powiedział, a wtedy dowódca odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozka-

zy. Jego ludzie opuścili broń i wrócili do helikoptera po liny i sprzęt do wspinaczki. Sam znowu zaczął oddychać. Zobaczył już wystarczająco dużo, więc poczołgał się do tyłu, potem wstał ostrożnie i zaczął wycofywać się pomiędzy drzewami, cały czas obserwując tamtych. Dopiero wtedy, gdy gałęzie zupełnie zasłoniły widok, odwrócił się i popędził przed siebie na tyle szybko, na ile pozwalały mu rakiety.

Niech to szlag! Gdyby przyszedł o godzinę wcześniej! Niestety, nie wyszło, więc teraz będą musieli gnać na złamanie karku.

I modlić się o szczęście.

Pokonał drogę powrotną w rekordowym tempie, nie dając sobie nawet chwili wytchnienia, zabrało mu to pół godziny, a gdy wreszcie dopadł chaty, dyszał ciężko jak kowalski miech, nogi prawie odmawiały mu posłuszeństwa. Wpadł do środka, przewracając drzwi.

- Sam! - Lauren aż podskoczyła, blednąc ze strachu. - Jak szybko wróciłeś! Rozmyśliłeś się po drodze?

Zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech. Lauren siedziała po turecku na podłodze, tak blisko ledwie żarzących się węgli, jak się dało. Gołe dłonie opierała na leżącej przed nią kłodzie.

- Nie... byłem tam... Koniec... z granie. Bierzemy dupy w troki... i spadamy stąd, ale to już.

Rozejrzał się, zadowolony i zaskoczony jedno-

cześnie, gdyż plecak i torba stały spakowane, przy nich leżała druga para rakiet. Chwycił je i rzucił w stronę Lauren.

- Szybko, wiąż je, nie mamy czasu.

- Na litość boską, po co taki pośpiech?

- Rób, co ci każe! - huknął. Wyszedł na zewnątrz, przyniósł tyle śniegu, ile zdołał nabrać w ręce, rzucił go na palenisko, od razu poszedł po więcej.

- Dobrze, już idę. - Wstała, postawiła stopy na rakietach, zaczęła wiązać paski, a tymczasem Sam kilkakrotnie obracał w tę i z powrotem, aż wreszcie zupełnie zasypał palenisko śniegiem, zacierając ślady świeżego ognia.

- Znalazłeś to, po co poszedłeś?

- Nie. Tam na dole jest sześciu ludzi. - Zarzucił plecak.

- Co? - Poderwała głowę, jej twarz rozjaśniła się. - Jesteśmy uratowani? Jak cudownie! I dopiero teraz mi to mówisz? - Błyskawicznie przywiązała rakiety, wzięła torbę i pospieszyła ku drzwiom. - Chodźmy! Już się nie mogę doczekać, kiedy się wreszcie wykapię i wyśpię w normalnym łóżku.

- Nawet o tym nie myśl. Wydostaniemy się stąd na własną rękę.

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby co najmniej wyrosła mu druga głowa.

- Co ty wygadujesz? Czemu mamy przedzierać

się przez góry, skoro ktoś przyleciał nam na ratunek? Nie rozumiem cię.

- I nie musisz. Przypomnij sobie, co ustaliliśmy w Denver. Robisz to, co ci mówię, bez żadnych pytań i dyskusji. Kiedy każę ci skakać, skaczesz i basta. - Chwycił ją za ramiona, obrócił i pchnął w stronę wyjścia. - A teraz idziemy. Jazda!

- Nie! - Chwyciła obiema rękami za framugę i zaparła się nogami z całej siły. - Nie pójdę w żadne góry, skoro na dole czekają ludzie z helikopterem, żeby nas stąd zabrać.

- Idiotko, oni nie przylecieli nas uratować, tylko nas zabić!

Obejrzała się, oczy miała wielkie jak spodki, widniała w nich zgroza.

- C-co?!

Widząc, jak zbladła, puścił jej ramiona.

- Przylecieli upewnić się, czy aby na pewno zginęliśmy - rzekł już trochę mniej surowym tonem. - A kiedy odkryją, że nie, zaczną nas szukać, żeby dokończyć swego dzieła. Pewnie już odkryli.

Lauren zaczęła dygotać, oparła się więc o ścianę, zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do piersi.

- Ludzie Carla - wyszeptała. - Nawet tutaj. O Boże... - Nagle otworzyła oczy. - Chwileczkę. Jak to możliwe? Skąd wiedzieli o katastrofie i o tym, gdzie nas szukać?

Była bystra, musiał jej to przyznać.

- A jak myślisz?to był sabotaż?- Odgadli, że prawdopodobnie skierujemy się tam, gdzie będzie najmniej ludzi, czyli na zachód, wyliczyli, kiedy znajdziemy się nad górami i w odpowiedni sposób uszkodzili samolot, żebyśmy musieli rozbić się w tej dzikiej głuszy, i to w samym środku zimy. Nawet gdyby ktoś cudem przetrwał nie mógłby liczyć na niczyją pomoc. Przelecieli się upewnić, a znaleźli wrak, bo zapewne zamontowali w nim nadajnik, właśnie to chciałem odszukać i zniszczyć. Niestety, nie zdążyłem- Zjawili się gdy tylko mogli gdyby nie śnieżyca byłiby tu już dwa dni temu.

-Wiesz to czy tylko podejrzewasz?Rozpoznałeś kogoś z nich?

- Nie.

- Skąd więc ta pewność, że ci ludzie przylecieli bić? Może to ktoś, kto naprawdę chce nas uratować?

Słuchaj, w tej kwestii musisz mi po prostu zaufać. Nie mam czasu tłumaczyć ci teraz wszystkiego.Idziemy.

- Ale...

-Do diabła, kobieto, mamy najwyżej godzinę, zanim oni znajdą moje ślady i przyjdą tu za mną, więc nie zamierzam tracić cennych minut na głupie kłótnie- Rusz wreszcie tyłek!

-Ale ja nadal nie...

Nachylił się gwałtownie, przysunął twarz do jej twarzy. Lauren drgnęła, w zielonych oczach mignął przestrasz. No i dobrze. Może wreszcie zacznie się słuchać.

- Albo idziesz na własnych nogach, albo przetrucam cię jak worek przez ramię, w każdym razie za dziesięć sekund nas tu nie ma. Wybieraj.

Zawahała się, a potem uniosła brodę i fuknęła z urazą:

- W porządku, idę, ale wcale mi się to nie podoba.

- Trudno. - Bezceremonialnie wypchnął ją na zewnątrz.

- Hej, nie tak brutalnie!

- Tędy. - Nie zważając na protesty Lauren, pokierował ją w stronę kępy drzew rosnących na prawo od chaty. - Szybciej, szybciej!

Prawie gotowała się ze złości, przecież to było jakieś czyste wariactwo. Po co ryzykować życiem, przedzierając się przez góry? Na pewno ktoś w FBI wiedział, dokąd polecieli, a kiedy nie dotarli na miejsce przeznaczenia, rozpoczął poszukiwania. Logiczne, prawda?

Chętnie powiedziałyby to Samowi, lecz nie odważyła się, gdyż on wcale nie żartował, grożąc, że zastosuje wobec niej przemoc, jeśli będzie dalej się spierała. Za nic nie chciała, żeby poniosł ją niczym worek kartofli, jej duma nie ścierpiałyby podobnego upokorzenia.

Kiedy weszli między drzewa, grunt zaczął się stopniowo podnosić, przez co było trudniej iść, a raczej biec, gdyż Sam niestrudzenie poganiał i popychał przed sobą Lauren, zmuszając ją do truchtu. Nieustannie też sięgał na boki i strząsał z gałęzi świeży śnieg, by choć trochę zatrzeć ślady.

- Żwawo, jazda, ruszaj się!

- Już szybciej... nie mogę...

Zatrzymała się gwałtownie, gdyż drzewa skończyły się nagle, a przed nią wyrosła dość stroma skała. Lauren schyliła się, oparła dłonie na kolanach i starała się złapać oddech po tym szalonym biegu. Z irytacją łypnęła na Sama. Ale ich wyprowadził!

- I co... teraz?

- Teraz zaczniemy się wspinać. - Zaczął pospiesznie rozwiązywać paski swoich rakiet. - Zdejmij rakiety i przywiąż je do torby. Nie stój jak ten kołek, ruszaj się!

- Nie mówisz poważnie. Nie myślisz chyba, że... że ja wejdę po tym na górę?

- To nie jest aż takie trudne, jak się wydaje. Zobacz, tu jest wyciosany w skale stary szlak, który prowadzi do dawnej kopalni. A tam wyżej widać całkiem równy kawałek, którym bez trudu przejdziemy do tej przełęczy tam na zachodzie.

Wyprostowała się i zadarła głowę. Jakieś trzydzieści metrów nad nimi znajdował się barak dawnej kopalni, przerdzewiała rynna częściowo

oderwała się od ściany i smętnie zwiisała w powietrzu. Ten równy kawałek, do którego Sam zamierzał się dostać, znajdował się kolejnych trzydzieści metrów wyżej.

- Przecież to jest prawie pionowo do góry. W życiu tam nie wejdziemy.

- Wejdziemy, bo musimy. Przestań marnować czas niepotrzebnym zamartwianiem się, bierz się do roboty. Zdejmuj rakiety. Rękawiczki też, żeby mieć pewny chwyt.

- Ale po co w ogóle mamy to robić? Nie byłoby wygodniej pójść tamtędy? - Wskazała w południowym kierunku, gdzie zbocze góry opadało łagodnie, prowadząc ku wielkiej polanie.

- Byłoby. Oni też tak pomyślą i właśnie tam zaczną nas szukać, nawet zostawiłem dla nich fałszywy trop. Nie zwiedzie ich na długo, ale może da nam trochę cennego czasu. Zresztą ta polana jest dalej, niż ci się wydaje, zanim zdołalibyśmy ją przeciąć, już mieliby nas na celownikach.

Skrzywiła się, gdyż ta perspektywa nie należała do najprzyjemniejszych.

- Nie będą się spodziewać, że pójdziemy tędy, w dodatku trudniej jest wytropić czyjeś ślady na skale, nawet gdy jest pokryta śniegiem. W końcu pewnie rozgryzą nasz podstęp, lecz zanim to się stanie, zdołamy się kawałek oddalić.

Lauren zagryzła wargi, wciąż nie do końca

przekonana, lecz posłuchała go. Kiedy zdjęła rakiety, Sam przyczepił je do torby, którą niosła, a potem wyciągnął z plecaka zwój nylonowej linki, przewiązał nią Lauren w talii, zaś drugim końcem obwiązał siebie.

- Dobra, idziemy.

Stary szlak do kopalni dawno już zarósł rachitycznymi krzakami, częściowo zasypały go obsuwające się głazy, ponadto pokrywał go śnieg, więc Lauren chwilami w ogóle nie widziała żadnej drogi, lecz Sam nie miał z tym żadnego problemu, prowadził pewnie, wspinając się szybko i zręcznie niczym kozica. Przywiązana do niego Lauren nie miała wyboru, musiała za nim nadażać - choć nieporównanie bardziej niezdarnie.

Sapiąc jak miech, zmuszała się do wysiłku, przełaziła przez głazy i wspinała się po stromej ścieżce, w której przed wieloma laty jakiś górnik zrobił płytkie nacięcia siekierą, od biedy służące za stopnie. Lauren zdarzyło się kilkakrotnie pośliznąć na lodzie lub na obluzowanym kamieniu, za każdym razem wydawała przerażony okrzyk, ale też za każdym razem udawało jej się chwycić gałąź jakiegoś krzewu. W pewnym momencie Sam obejrzał się, marszcząc brwi.

- Cicho bądź. W górach głos niesie się daleko.
- Nic na to nie poradzę. Perspektywa, że spadnę i zabiję się, cokolwiek mnie przeraża.
- Nie spadniesz, jesteśmy związani i lina cię

utrzyma. Po prostu patrz, gdzie ja stawiam stopy, rób to samo, a wtedy nic ci nie będzie.

Odwrócił się, nim zdążyła odpowiedzieć. Zaciśnięta zęby i wbiła morderczy wzrok między jego łopatki. Za kogo on ją miał? Za głupią, która nie patrzy, co on robi? Oczywiście, że od samego początku starała się dokładnie naśladować jego ruchy, ale różnica wzrostu, a co za tym idzie długość stawianych kroków, stanowiła poważną przeszkodę.

Kiedy dotarli wreszcie do opuszczonej kopalni, Lauren sapała jak lokomotywa, piekły ją poobcierane dłonie, liczyła na chwilę odpoczynku, lecz Sam nawet nie zwolnił, zaś duma nie pozwoliła Lauren zaprotestować. Duma oraz obawa przed reakcją Sama. Dalsza wspinaczka okazała się jeszcze trudniejsza, zrobiło się bardziej stromo i zabrakło nawet tej nikłej pomocy, jaką były prymitywne stopnie wycięte w skale. Co jakiś czas musieli podciągać się do góry, czepiając się krzewów i drzew, Samowi szło to znacznie lepiej, gdyż miał wprawę, a w dodatku dzięki mokasynom mógł się poruszać po skale w miarę pewnie i zwinnie, podczas gdy grube traperki o sztywnej podeszwie nie dawały Lauren wystarczająco dobrego wyczucia.

Tak się skoncentrowała na pokonywaniu kolejnych centymetrów, że nie zauważyła nawet, kiedy Sam się zatrzymał. Dotarła na wąską półkę, na

której stał, a on wtedy zadarł głowę i popatrzył na dalszą część drogi.

- Tędy nie wejdziemy - oświadczył.

Przywarła do skały, kurczowo zacisnęła palce na niewielkim granitowym występie i ostrożnie zerknęła do góry. Ujrzała zupełnie pionową ścianę, pozbawioną czegokolwiek, czego dałoby się przytrzymać.

- Musimy to obejść po tej półce i poszukać lepszej drogi.

- Co?

Półka, na której stali, była szeroka zaledwie na długość stóp Lauren, więc pięty mokasynów Sama wisały już w powietrzu. Na myśl o tym, że mieliby przesuwac się bokiem wzdłuż gładkiej ściany, gdzie nie było się czego złapać, krew zmroziła jej się w żyłach.

- Nie. Wykluczone. To samobójstwo.

- To konieczność. Niedługo możemy mieć towarzystwo, które nas wystrzela jak kaczkę, bo jesteśmy na widoku. Chodź.

Wyciągnął lewą rękę w bok, starannie obmacał skalną ścianę, aż znalazł niewielką nierówność, której mógł się uchwycić, a wtedy ostrożnie zrobił krok w lewo, spychając butem śnieg z wąskiej półki. Lauren przywarła do skały, jakby chciała w nią wrosnąć i patrzyła ze zgrozą, jak Sam systematycznie oddala się od niej, lecz za nic nie mogła się ruszyć.

Kiedy linka naprężyła się, Sam odwrócił głowę i ujrzał ze zdumieniem, że Lauren nawet nie drgnęła.

- Co tak stoisz? - zdenerwował się. - Rusz się wreszcie.

- Nie... nie mogę.

- Owszem, możesz, do cholery! - warknął, ale widać w końcu zobaczył śmiertelne przerażenie w jej oczach, gdyż po chwili odezwał się znacznie łagodniej. - Jesteś silną, inteligentną kobietą. Kobieta, która się nie poddaje. Uda ci się. - Jego głos stawał się coraz niższy, głębszy, bardziej przekonujący.

- Nie...

- Lauren, posłuchaj mnie. W ciągu tych kilku dni zrobiłaś bardzo wiele rzeczy, których nigdy dotąd nie robiłaś i pewnie nawet nie podejrzewałaś, że jesteś do nich zdolna. Tak samo będzie i teraz. Uda ci się. Po prostu wyciągnij lewą rękę, poszukaj czegoś, by cię uchwycić i przesuń lewą stopę wzdłuż półki. Uda ci się - powtórzył po raz - kolejny.

Wyciągnął ku niej prawą dłoń, zatopił wzrok w oczach Lauren, starając się na nią wpłynąć siłą woli.

- Chodź, dziecko - wyszeptał.

Może zadziałała ta niespodziewana czułość, może to hipnotyzujące spojrzenie, a może pewność i siła, jakie emanowały z Sama - Lauren nie

wiedziała, co okazało się decydujące, w każdym razie coś w niej odpowiedziało na wezwanie. Drżąc ze strachu, zrobiła, co jej powiedział.

- Bardzo dobrze. Właśnie tak. Powoli, bez pośpiechu. Dzielna dziewczynka.

Przesuwała się w bok niemal po milimetrze, klejąc się do skały, serce waliło jej jak młotem, miała lodowaty supeł w żołądku. A do tego popełniła błąd i spojrzała w dół. Zobaczyła pod sobą wierzchołki drzew, a dalej chatę, w której spędzili dwa dni - z tej odległości wyglądała niczym dziecinna zabawka.

Lauren zakręciło się w głowie, żołądek podjechał jej do gardła. Z krzykiem przywarła do skały, zaciskając powieki.

- O Boże, o Boże!

- Nie patrz w dół! Nigdy nie patrz w dół!

Teraz mi to mówisz, pomyślała z wyrzutem i ugryzła się w język, żeby nie lamentować dalej.

- Popatrz na mnie. Lauren, słyszysz? Otwórz oczy i popatrz na mnie. Dobrze, bardzo dobrze - pochwalił, gdy z ociąganiem spełniła jego prośbę. - Patrz tylko na moją twarz, nie odwracaj oczu i nie myśl o tym, gdzie jesteś. No chodź - nakłaniał aksamitnym głosem.

Zdobyła się na odwagę i nie odrywając wzroku od tych niezwykłych czarnych oczu, przesunęła się odrobinę w lewo.

- Znakomicie. Świetnie ci idzie. Jeszcze trosz-

kę. To niedaleko. Tylko parę kroków - mówił, jednocześnie odsuwając się dalej. - Bardzo dobrze. Właśnie tak. Jeszcze kawałeczek. Nie patrz w dół, patrz na mnie! Grzeczna dziewczynka.

I tak trwało to w nieskończoność niczym najbardziej koszmarny z koszmarnych snów, z którego nie sposób się obudzić. Sam nieustannie zachęcał Lauren do dalszego wysiłku i dodawał jej odwagi, lecz szło się coraz trudniej, gdyż półka robiła się bardziej stroma. Wreszcie obeszli wybrzuszenie skały, a wtedy półka urwała się nagłe, zaczął się zaś wąski komin, stromy, ale na szczęście nie pionowy, w dodatku oferujący sporo punktów podparcia.

- Tędy powinniśmy dać radę wejść na górę - uznał Sam i spojrzał na Lauren. - Gotowa?

Gotowa? Za milion lat nie będę na to gotowa, pomyślała Lauren, która znajdowała się na granicy hysterii. Rozpłaszczyła się na ścianie i za nic nie chciała się ruszyć, a w głowie tłukło jej się przerażone: O Boże, o Boże, o Boże. Ale przecież nie mogła tak zostać - zawieszona pomiędzy niebem a ziemią. W dodatku nagle zerwał się wiatr, uderzając z taką siłą, jakby chciał oderwać Lauren od ściany. Dyndające z tyłu rakiety zaczęły tłuc o jej uda.

Ponieważ nie miała żadnego wyboru, zebrała się na odwagę i niemal niezauważalnie skinęła głową.

- G-gotowa.
- No to idziemy.

Sam sięgnął do góry, chwycił za poszarpaną krawędź komina, podciągnął się i zaczął się wspinać, najpierw uważnie badając kolejne punkty podparcia. Kiedy znalazł się kilka metrów nad Lauren, linka znowu zaczęła się napinać.

- Chodź, już prawie jesteśmy u celu. To już tylko kawałeczek. Wyciągnij do góry prawą rękę, masz nad głową wystającą skałę, której możesz się pewnie uchwycić.

Głęboko wciągnęła powietrze w płuca, ale poza tym nawet nie drgnęła, dalej stojąc z szeroko rozpostartymi ramionami, przyklejona do gładkiej ściany, od której bała się oderwać choć na milimetr.

- No, dalej, Lauren. Nie ma innej drogi.

Pisnęła cichutko i zacisnęła powieki, ale po chwili powolutku wyciągnęła rękę do góry i rzeczywiście jakieś trzydzieści centymetrów nad głową wymacała ostrą krawędź, wygodną do uchwycenia, pewniejszą niż cokolwiek innego, za co mogła się złapać od samego początku wspinaczki. Zacisnęła na niej palce tak mocno, że aż pobieleały. Ostrożnie podniosła drugą rękę i znalazła równie pewny uchwyt.

- Podciągnij się i znajdź oparcie dla nóg. - Sam z wyczuciem pociągnął za linę, żeby pomóc Lauren.

Zrobiła, jak jej powiedział, wkładając w to całą

swoją siłę. Moment, w którym przestała czuć pod stopami wąską półkę, był naprawdę straszny.

- Świetnie, teraz chwyć za ten występ po lewej.

Powolutku posuwała się do góry, wykonując kolejne polecenia Sama, a tak bardzo koncentrowała się na każdym ruchu, że nawet nie zauważyła, jak blisko celu się znajdowali. W którymś momencie Sam sapnął głośno, zadarła wtedy głowę i ujrzała, jak on podciąga się po raz ostatni i znika za krawędzią skały.

W chwili, gdy została sama, ogarnęła ją panika, lecz on zaraz wyrzał i uśmiechnął się z typowo męską satysfakcją.

- Udało się. Teraz ty. Wsuń palce w tamtą szczelinę, postaw nogę na tamtej wystającej skale, a potem złap za pień tego świerczku.

Zrobiła, jak kazał, lecz choć wyciągała się do góry, jak mogła, nie była w stanie dosięgnąć do drzewka.

- Nie... mogę... złapać.

- Spróbuj jeszcze raz.

Wspięła się na palce, ale i to nie pomogło.

- Nic... z tego. Jestem... za niska.

- Psiakrew.

Lauren mocniej wbiła palce w szczelinę i popatrzyła na dwa metry skały, dzielące ją od Sama. Akurat na tym ostatnim kawałku jedyną rzeczą, jakiej dało się przytrzymać, był ów wątyły świerczek. Wiatr dął cały czas, Lauren czuła, jak coraz

bardziej grabieżą jej palce, nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zdoła utrzymać się w takiej pozycji. Z jej gardła wydarł się szloch, wbiła błagalne spojrzenie w Sama.

- Nie panikuj - przykazał. - Nic złego ci się nie dzieje. Zastosujemy plan B.

Wychylił się nad krawędzią przepaści, mocno zacisnął dłonie na linie i pociągnął, by ją naprężyć.

- Chwyć oburącz za linę na wysokości ramion, zaprzyj się stopami o skałę i odchyl się do tyłu.

- Mam się odchylić? - Ze zgrozą zerknęła przez ramię. - Oszalałeś?

- Obiecuję, że nic ci się nie stanie. Będę cię ciągnął, a ty wejdiesz po ścianie, jakbyś szła po podłodze.

- Przecież ta lina mnie nie utrzyma!

- Utrzyma. Zaufaj mi, mała. Nie pozwolę ci spaść.

Nie miała wyboru. Zamknęła oczy, szybko pomodliła się w duchu, potem zaczęła odliczać. Raz. Dwa. Głęboki wdech. Trzy.

Chwyliła oburącz linę i aż krzyknęła ze strachu, gdy poleciała do tyłu, ale jakimś cudem jej stopy znalazły oparcie na skale. Potem poczuła, jak Sam ciągnie ją do góry. To chodzenie po prawie pionowej ścianie wcale nie było takie łatwe, Lauren myślała, że ręce wyskoczą jej ze stawów, lina wrzynała się w zlodowaciałe i obolałe dłonie,

zdawała się niemal palić. Lauren zacisnęła zęby i zmuszała się do stawiania kolejnych kroków.

- Świetnie sobie radzisz. Jeszcze trochę - zachęcał Sam, również zaciskając zęby. Żyły wyszły mu na szyi, jego twarz poczerwieniała z wysiłku, lecz kawałek po kawałeczku podciągał Lauren do góry.

Kiedy znajdowała się mniej niż metr od celu, jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy - lina zaczęła puszczać, a Lauren poślizgnęła się. Zdażyła tylko gwałtownie wciągnąć powietrze, gdy Sam już chwycił ją za nadgarstek. W następnej chwili wisiała nad przepaścią, trzymana za jedną rękę.

- Spokojnie - rozkazał. - Nie wierzgaj. Trzymam cię. - Ściągnął brwi. - Jezu, kobieto, jaka ty jesteś lekka! To cud, że cię nie zwiało z tej ściany.

Podciągnął ją jednym ruchem, jakby ważyła tyle, co worek pierza i przeturlał się z nią, by znaleźć się dalej od krawędzi.

Gdy się zatrzymali, Lauren znalazła się na wierzchu. Przez chwilę leżała tak na Samie, wtulając twarz w jego pierś, dygocząc i ciężko łapiąc powietrze. Uspokajająco pogładził ją po plecach.

- Już dobrze. Już jesteś bezpieczna. Udało ci się. No już, no już... Już dobrze, mała. Już po wszystkim.

Zadziałała prawie bez ostrzeżenia, Sam usłyszał jedynie narastający pomruk, który najpierw przy-

pominał mruczenie kota, ale błyskawicznie zmienił się w pomruk budzącego się wulkanu, potem nastąpił wybuch.

Lauren zerwała się z Sama i zdrowo mu przyłożyła.

- Ty draniu!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Hej! - wrzasnął.

Lauren okładała go pięściami.

- Idiota! Kretyn skończony! Przez ciebie omal nie zginęłam! Znowu!

- Do cholery, przestań i posłucha... Au!

- Nie, nie będę cię słuchać! To ty mnie w to wpakowałeś! Ty i twoi durni kumple z Denver! - Grzmotnęła go prosto w brzuch, zbyt roztrzęsiona, by móc się pohamować. - Ryzykowałeś moim życiem, i po co? Po nic! Ci ludzie pewnie przylecieli... nas uratować. Tak, jak... mówiłam. - Okładała go dalej, dysząc, nie bacząc na nic, wyrzucając z siebie cały strach i stres, jakie nagromadziły się w niej w ciągu ostatnich dni. - Mogliśmy stąd... bezpiecznie się wydostać... helikopterem, gdybyś tylko słuchał... głosu rozsądku. Ale nie! Ty nikomu... nie ufasz i dlatego musieliśmy wejść... na tę głupią górę.

- Przestań, bo inaczej będę musiał ci przyłożyć. Uspokój się!

- Ha! Tylko spróbuj!

Chwycił ją za nadgarstki, lecz zaczęła wtedy wierzgać i kopać. Gdy jej kolano znalazło się niebezpiecznie blisko najbardziej czułego punktu, Sam mocno oplótł nogami jej nogi, by je unieruchomić, przewrócił Lauren na plecy, przygniótł do ziemi ciężarem swojego ciała i przygwoździł dłonie do ziemi po obu stronach głowy.

- Ty wściekła mała kotko, uspokoisz się na sekundę i dasz mi powie...

- Nie! - Próbowwała się wygiąć, żeby go z siebie zrzucić. - Zejdź ze mnie, ty prostaku! Nie życzę sobie, żeb...

Pocałował ją, przerywając tę gniewną tyradę.

Lauren zamarła, wstrząśnięta do głębi, jakby dotyk jego warg spowodował jakieś zwarcie w jej umyśle, lecz ta reakcja trwała zaledwie sekundę, zaraz potem furia znowu wzięła górę i Lauren odpowiedziała równie gwałtownym pocałunkiem, karząc go tak samo jak on ją.

To był gorący, chciwy, nienasycony pocałunek, żadne z nich nie miało zmiłowania dla drugiego, każde brało, co chciało i jeszcze żądało więcej. Sam puścił nadgarstki Lauren, jedną dłoń przycisnął do jej policzka, drugą przesunął na pierś, lecz gruba kurtka w dużej mierze udaremniła jego zamiary, więc wydał z siebie sfrustrowany odgłos.

Lauren zrzuciła Samowi kaptur i czapkę z głowy, zanurzyła palce w ciepłych, przyjemnie miękkich włosach.

Żadne z nich nie rozumiało, co się dzieje, oboje poddali się czemuś instynktownemu, nieodpartemu, niemal rozpaczliwemu. Czemuś wręcz pierwotnemu.

Pierwsze gwałtowane emocje wypaliły się szybko, potem ich miejsce zajęło coś głębszego i silniejszego, pocałunek stał się intensywniejszy i dawał taką przyjemność, że Lauren aż dech zaparkło z wrażenia. Czuła się tak, jakby topniała z rozkoszy. Przywarła do Sama, chociaż jednocześnie była bardzo wstrząśnięta i przerażona tym, co się działo.

Nie spodziewała się takiego rozwoju sytuacji. I oczywiście wcale go nie pragnęła - co szybko dodała w myślach. Przecież Sam nawet jej nie lubił! Ona też niespecjalnie o niego dbała, chyba że z czysto praktycznych powodów, gdyż w sytuacji, w której się znalazła, trudno byłoby o lepszego towarzysza. Z drugiej strony Sam był nieprzyjemny, oschły, trzymał się na dystans, czasem otwarcie manifestował niechęć, w dodatku miał o Lauren opinię najgorszą z możliwych.

A mimo to... Mimo to nie potrafiła przerwać pocałunku, przyjemność była zbyt wielka, pragnienie zbyt obezwładniające.

Sam jęknął bezwiednie, gdyż odniósł wrażenie,

że wszystko stanęło na głowie, co więcej - już nigdy nie wróci do poprzedniego stanu. Ta myśl go przerażała. Pocałował Lauren, powodowany czystym impulsem, to była jedna z tych rzeczy, które człowiekowi się przydarzają, nim zdąży im zapobiec. Wszystko zaczęło się w gniewie, miało być karą i upokorzeniem dla Lauren i w sumie nic nie znaczącym epizodem dla niego, tymczasem sytuacja zupełnie wymknęła się spod kontroli już w pierwszej sekundzie i zmieniła w coś, czego nie przewidywał.

Jej dotyk, miękkość warg, emocje, jakich doznawał - wszystko to wstrząsnęło nim do głębi. Czuł się dziwnie słaby, bezradny, pokonany... i chciał więcej.

Przecież to czysty obłąd, przemknęło mu przez głowę, kiedy ich języki poznawały się nawzajem. Znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji, musieli czym prędzej uciekać, więc nie mieli czasu na podobne rzeczy. Wiedział o tym, a mimo to pogłębił pocałunek, nie potrafiąc oprzeć się pokusie, nie potrafiąc oprzeć się słodyczy jej ust ani temu czemuś, co się między nimi działo.

W końcu jednak rozsądek przeważył i Sam jakoś znalazł w sobie siłę do tego, by się odsunąć, ale podniesienie głowy o kilka centymetrów sprawiło mu ogromną trudność, gdyż ich usta wyraźnie nie chciały oderwać się od siebie. Popatrzył na

twarz Lauren - wyglądała diabelnie seksownie, zadowolona, zaróżowiona, z wilgotnymi ustami nabrzmiętymi od pocałunków. Skrzywił się lekko, gdy zauważył, że jej delikatna skóra zaczerwieniła się wokół warg, widać musiał podrapać ją zarostem. A niech to...

Oboje oddychali ciężko, ich oddechy natychmiast zmieniały się w białą parę i mieszały ze sobą w mroźnym powietrzu. Wreszcie Lauren powoli uniosła powieki, zielone oczy wciąż miała zamglone z pożądania, półprzytomne, a na ten widok Sam omal znowu nie stracił głowy. W ostatniej chwili zacisnął zęby. Czekał.

- Dla... - Głos odmówił jej posłuszeństwa, więc odchrząknęła cicho i bezwiednie zwilżyła językiem wargi, nie wiedząc, jak bardzo w tym momencie torturuje Sama. - Dlaczego to zrobiłeś?
- wyszeptała.

Przypatrywał jej się w milczeniu przez kilka naprawdę długich chwil, a potem wzruszył ramionami.

- Potrzebowałem cię jakoś uciszyć.

Pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział, gdyż ewidentnie zranił Lauren. Zaklął w duchu, wymyślając sobie od idiotów, aczkolwiek głos rozsądku podpowiadał mu, że właściwie dobrze się stało, ponieważ ona była świadkiem, a on chroniącym ją agentem FBI i nie miał prawa pchać się do niej z łapami. Patrzył, jak Lauren

zaciska wargi, jak z jej oczu znika namiętność. Odsunął się, usiadł.

- Ruszamy. Już dość czasu zmarnowaliśmy.

- Ty bezczelny...

Usiadła również, ale Sam nagle chwycił ją za ramię i pchnął z powrotem na ziemię.

- Co...

- Zamknij się i leż! - warknął, przytrzymał Lauren za kark, gdyż wiała się i próbowała się wyrwać, przydusił ją twarzą do śniegu i sam wyciągnął się obok niej.

Lauren zdołała minimalnie unieść głowę, wypluć śnieg z ust, obetrzeć twarz.

- Co ty wyprawiasz? - spytała gniewnie. - Puszczaj!

Ignorując to żądanie, ostrożnie zerknął ponad krawędzią przepaści.

- Myślałaś, że przesadzam i niepotrzebnie ciągnę nas na tę górę. No to popatrz na dół.

Uwolnił ją, zsunął plecak z jednego ramienia i wyłowił z niego lornetkę, podczas gdy Lauren przyglądała się, jak z lasu wynurzają się trzej mężczyźni z karabinami i ruszają przez polanę w stronę opuszczonej chaty.

- Nadal uważasz, że przybyli nam na ratunek?

- W porządku, mają broń, ale to jeszcze niczego nie przesądza - odparła, lecz jej głos nie brzmiał do końca pewnie.

- To patrz, co dalej zrobią.

Założył sobie na szyję pasek od lornetki, podniósł ją do oczu i przyjrzał się kolejno każdemu z mężczyzn. Nosili narciarskie gogle i mieli głęboko naciągnięte kaptury, więc nie mógł zidentyfikować żadnego z nich. Przywódca dał znak pozostałym, a ci odbiegli na boki, by utworzyć tyralierę. Skradali się ku chacie, trzymając broń gotową do strzału. Przywarli plecami do ścian po obu stronach wejścia, dowódca znowu wykonał gest dłonią i wraz z jednym z podwładnych wskoczył do środka, a w tym samym momencie rozległ się terkot karabinów maszynowych.

Lauren wydała zdławiony okrzyk i czym prędzej odczołgała się od krawędzi, jednocześnie podświadomie starając się być blisko Sama.

- O mój Boże!

Serie wystrzałów brzmiały jeszcze przez dobrych kilka sekund. Sam zacisnął wargi w wąską kreskę. Gdyby nie zdążyli uciec, zostaliby właśnie naszpikowani kulami, nie mieliby żadnych szans.

Strzały ucichły równie gwałtownie, jak się rozpoczęły, zaraz potem mężczyźni wybiegli na zewnątrz, rozejrzeli się dookoła, odbyli krótką naradę, a potem rozdzielili się i zaczęli przeszukiwać otoczenie, by znaleźć ślady zbiegów.

Lauren ukryła twarz w zgięciu ramienia, zaczęła dygotać.

- Znaleźli mnie. Nawet tutaj, w tej dzikiej głuszy. Boże, zabiją nas!

- Akurat!

- Tak? A niby co możesz zrobić, żeby ich powstrzymać?

- Na początek spróbujemy im uciec. Minie trochę czasu, zanim znajdą właściwy trop. Pomiędzy miejscem katastrofy a chatą nie ma żadnego miejsca, gdzie helikopter mógłby bezpiecznie wylądować, więc ci trzej albo muszą wspiąć się tu za nami, albo wrócić do śmigłowca i polować na nas z powietrza. W obu przypadkach znowu zyskujemy trochę czasu i wyprzedzamy ich o kilka godzin, zrobimy wszystko, by tę przewagę wykorzystać. Jeśli dotrzemy do zamieszkałych obszarów, zdołamy ich zgubić. Chodź, zbieramy się stąd.

- Polować na nas z powietrza? -jęknęła. - Już po nas, nie mamy żadnych szans.

Nie zwracając uwagi na jej lamenty, poczołgał się do tyłu i usiadł dopiero wtedy, gdy znalazł się na tyle daleko od krawędzi, by mogła go już zasłonić. Odwiązał od plecaka rakiety śnieżne i z niezadowoleniem łypnął na Lauren.

- Rób to samo, co ja. Ruszaj się, żywo!

Posłuchała, ponieważ nie miała wyboru.

- To kompletnie bez sensu. Jeśli polecą za nami helikopterem, to wystrzelają nas jak kaczki.

- Spokojnie. Zauważenie kogoś z powietrza nie jest aż takie łatwe, jak się wydaje. Będziemy trzymać się blisko drzew, a gdy tylko usłyszymy odgłos wirnika, damy nura pod gałęzie. - Ukłakł

najpierw na jedno kolano, potem na drugie, by starannie przywiązać rakiety do mokasynów. - Ponadto długo sobie nie polatają, bo zabraknie im paliwa, więc zapewne zrobią rundkę czy dwie, a później pilot zostawi resztę, żeby gonili nas na piechotę, sam zaś wróci do bazy.

Wstał, tupnął parę razy, by upewnić się, czy rakiety mocno się trzymają. Lauren zrobiła podobnie. Sam obserwował ją, z zadowoleniem skinął głową, odwrócił się i ruszył w stronę gęstego sosnowego lasu, pokrywającego sporą część równiny, na którą się wspięli.

- Chodź, idziemy.

- Dokąd? Po co? Skoro wytropili nas tutaj, znajdą nas i gdzie indziej.

Przystanął i posłał Lauren to swoje nieodgadnione spojrzenie, od którego przebiegał ją dziwny dreszcz.

- Błędem jest niedocenianie przeciwnika, ale takim samym błędem jest przecenianie go. Carlo to gangster, mający na swoje usługi mniejszą lub większą bandę płatnych zabójców, co oczywiście czyni go człowiekiem niebezpiecznym, ale nie wszechmogącym. Jego ludzie znaleźli nas tutaj tylko dlatego, że ma co najmniej jednego informatora w naszym biurze w Denver.

- Co takiego? Wiedziałaś o tym? Na jakiej podstawie więc przypuszczałaś, że zdołasz mnie ochronić?

- Poza mną oraz Dave'em o całej sprawie wiedziało tyłko czterech agentów i to takich, których uczciwości byłem zupełnie pewien. Myliłem się. Jeden z nich został skorumpowany przez Carla. Pytanie zresztą, czy tyłko jeden.

Aż go coś ścisnęło w żołądku, gdy o tym mówił. Niech to szlag, jeszcze parę dni temu każdemu z nich bez wahania powierzyłby własne życie w głębokim przekonaniu, że kompletnie nic mu nie grozi. Nawet Harveyowi.

- A jak...

- Nie możemy sobie teraz pozwalać na rozmowy. Owszem, masz prawo wiedzieć, co się dzieje i odpowiem na twoje pytania, ale w bardziej stosownym czasie. Teraz musimy stąd zwiewać.

- Dokąd? Przecież tu nie ma żadnego bezpiecznego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć.

- Znam bezpieczne miejsce. Zaufaj mi, zrobię wszystko, by nic ci się nie stało. Daję ci na to moje słowo.

- No tak, jak mogłam zapomnieć? Przecież jestem potrzebna po to, żeby dało się wnieść oskarżenie przeciw panu Giovesiemu.

- To też - przyznał. - Ale teraz to również sprawa osobista.

- Ponieważ omal nie zabili również ciebie, próbując wyeliminować mnie?

- Nie. To normalne ryzyko, które człowiek podejmuje, zgłaszając się do pracy w FBI. - Pat-

rzył na nią, nie mrugając oczami. - Nie byłem z tobą szczerzy. Nie pocałowałem cię po to, żeby cię uciszyć. Pocałowałem cię, ponieważ chciałem to zrobić od momentu, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając oniemiałą z wrażenia Lauren, która stała z otwartymi ustami. Dosłownie osłupiała, nie potrafiła wykonać żadnego ruchu, ba, nawet nie mogła myśleć, miała zupełną pustkę w głowie. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy Sam znikł pomiędzy drzewami.

- Hej, zaczekaj na mnie!

Równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Sam zignorował jej wołanie i dalej parł do przodu, zaś Lauren starała się nadążyć za nim, przy czym dobrych kilka razy potknęła się w niewygodnych rakietach, nim wreszcie złapała rytm i dostosowała się do narzuconego przez Sama tempa. Co i raz obrzucała plecy idącego przed nią mężczyzny takim spojrzeniem, jakby chciała przewiercić go wzrokiem na wylot. Niech go licho! Co za nieznośny, irtujący, zagadkowy człowiek! Jak mógł powiedzieć coś takiego, a potem odwrócić się i odejść, jakby nigdy nic?

Oczywiście zmyślił to na poczekaniu, by odwrócić uwagę Lauren od grożącego im śmiertelnego niebezpieczeństwa, a najgorsze było to, że podstęp znakomicie zadziałał. Znowu na niego łypnęła. Sprytny jesteś, agencie Rawlins. Bardzo sprytny.

Sam wyciągał nogi, a kiedy tylko mógł, przechodził w rodzaj dziwnego, skaczącego biegu, gdyż na raketach nie dało się biec normalnie. Gdy się na niego patrzyło, wydawało się to całkiem łatwe, lecz Lauren musiała włożyć niewiarygodny wysiłek w podobny bieg, gdyż z powodu niższego wzrostu musiała robić więcej kroków - na każde dwa kroki Sama przypadały trzy albo nawet cztery jej. W dodatku było straszliwie zimno, a robiło się jeszcze zimniej. Przy każdym oddechu Lauren miała wrażenie, że łapie w płuca ogień, gdyż mroźne powietrze zdawało się aż parzyć.

Sam nie zwalniał, ani nie przystawał, a gdy poprosiła o wodę, po prostu podał jej manierkę i dalej parł naprzód. Lauren szybko zapomniała o jego zadziwiającym stwierdzeniu, zapomniała o ścigających ją mordercach, zapomniała nawet o straszliwym zimnie i surowych górach dookoła, cała jej uwaga skupiła się wyłącznie na tym, by podążać dalej tak szybko, jak się dało, bez wracania się.

Do tej pory sądziła, że znajduje się w znakomitej kondycji fizycznej, lecz po prawie dwóch godzinach takiego marszobiegu była już u kresu sił. Właśnie otwierała usta, by powiedzieć, że nie zdoła zrobić ani jednego kroku więcej, gdy dobiegł ich charakterystyczny odgłos wirujących łopat śmigłowca.

Sam zatrzymał się gwałtownie, odwrócił, wyciągnął rękę do Lauren.

- Nadlatują! Szybciej, szybciej!

To niewiarygodne, jak strach i adrenalina potrafią człowieka uskrzydlić. Znajdująca się dobrych sześć czy siedem metrów za Samem Lauren wystrzeliła do przodu jak rakieta, z miejsca zapominając o całym zmęczeniu. Ledwie znalazła się w zasięgu Sama, chwycił ją za rękę, pociągnął na ziemię i przeturlał się z nią pod zwisające gałęzie najbliższego drzewa.

Kiedy znaleźli się przy samym pniu rozłożystej jodły, Lauren wylądowała na plecach, zaś Sam leżał na niej, starając się zakryć ją swoim ciałem najlepiej, jak się dało. Warkot nadlatującego helikoptera stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie przeszedł w ogłuszający hałas, gdy maszyna znalazła się dokładnie nad nimi. Drzewa dookoła kołysały się, zrzucając czapy śniegu.

Lauren mocniej objęła Sama, zacisnęła powieki i pomodliła się w duchu, gdyż wydawało jej się, że helikopter wisi nad nimi i nie odlatuje, widać tamci coś dostrzegli. Wstrzymała oddech, spodziewając się, że zaraz przesyją ich kule, lecz w rzeczywistości śmigłowiec leciał dalej zygzakowatym kursem, zabójcy kontynuowali metodyczne poszukiwania zbiegów.

Sam i Lauren leżeli kompletnie nieruchomo, obejmując się i słuchając cichnącego odgłosu silnika, a kiedy stał się tylko odległym pomrukiem, Sam uniósł głowę.

- Myślisz, że już nie wróca? - spytała cicho Lauren.

- Przez jakiś czas nie wróca. Wszystko w porządku?

- Tak. Jestem trochę wytrącona z równowagi, ale najważniejsze, że ciągle jeszcze żyjemy.

- Tak, żyjemy... - zgodził się nieco chrapliwym, zmienionym głosem.

W jednej chwili zapomnieli o wszystkim innym, gdyż to jedno słowo przeskoczyło między nimi jak iskra, uświadamiając, w jak intymnej pozie leżą, jak blisko siebie znajdują się ich twarze. Mogli czuć ciepło swoich oddechów.

Lauren na moment stanęło serce, gdy spojrzenie Sama powoli przesunęło się po jej rysach. Po raz pierwszy zauważyła jego źrenice, minimalnie ciemniejsze od tęczówek. Widziała każdy włos na brodzie, każdą z rzęs ocieniających czarne jak noc oczy, pełne żaru, na który to widok przebiegł ją rozkoszny dreszcz. Chociaż oboje byli grubo ubrani, wyraźnie czuła, jak odmiennie są zbudowani - Sam był wysoki, gibki, o stalowych mięśniach, zaś ona była nieduża, jej ciało było miękkie i delikatne. Za to serca waliły im obojgu tak samo.

Zatopił spojrzenie w jej oczach, tak żarliwe, tak intensywne, tak hipnotyzujące, że nie zdołałaby odwrócić wzroku, choćby nawet jej życie miało od tego zależeć. Sam nie próbował ukrywać pożądania, na jego twarzy malowało się napięcie, od

którego surowe indiańskie rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły.

Lauren leżała pod nim, drżąc, i czuła, jak kłębią się w niej sprzeczne uczucia, z wrażenia prawie nie mogła oddychać, mimo dotkliwego mrozu jej ciało zdawało się płonać. Wzrok Sama przesunął się na rozchylone delikatne wargi, na jego skroni zaczęła pulsować mała żyłka.

- Sam... My... My nie...

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Na moment zaniemówiła z wrażenia. W głowie miała kompletną pustkę.

- Ja... - zaczęła bezradnie i równie bezradnie urwała, odetchnęła głęboko i zwilżyła czubkiem języka dziwnie suche wargi.

To przesądziło sprawę. Źrenice Sama rozszerzyły się, potem zaczął się nachylać, jednocześnie jego powieki opadły ciężko, zaś Lauren zamknęła oczy i cichutko westchnęła.

Ledwie ich wargi zetknęły się, Sam poderwał głowę do góry i znieruchomiał.

- Co...? - zaczęła Lauren, lecz nim zdążyła dać wyraz swemu oburzeniu z powodu podobnego traktowania, znów usłyszała złowieszczy odgłos.

- O Boże, wracają! Jednak nas zobaczyli.

- Leż spokojnie - przykazał, kiedy w panice próbowała wydostać się spod niego, by rzucić się do nieprzytomnej ucieczki.

Podniósł się nieco na łokciu, drugą rękę oparł na

torsie Lauren i przytrzymał ją mocno, przekrzywił głowę i nasłuchiwał czujnie. Hałas zbliżył się, drzewa dookoła znowu zafalowały, Lauren aż skurczyła się ze strachu, lecz śmigłowiec przeleciał nad ich głowami i zaczął się oddalać.

Sam spojrzał na nią surowym wzrokiem.

- Masz się nie ruszać, dopóki ci nie pozwolę.
- Cekał na odpowiedź, a kiedy Lauren dalej wpatrywała się w niego bez słowa, uniósł brwi.
- Zrozumiałaś, co powiedziałem?

Przełknęła z trudem, gdyż w krtani aż coś ją ścisnęło, skinęła głową.

- T-tak.

Zsunął się z niej, zdjął plecak, odczołgał się kawałek, ściągnął strzelbę z ramienia, ostrożnie zerknął pomiędzy gałęzmi, następnie podniósł do oczu lornetkę, którą wciąż miał na szyi i popatrzył za odlatującym helikopterem.

- W porządku, wciąż szukają. Kiedy wpadli na nasz trop, dowiedzieli się, w jakim kierunku poszliśmy i pewnie wyliczyli sobie, ile mogliśmy już ujść, więc teraz przeszukują obszar, na którym powinniśmy się znajdować. Nie mogą tego robić długo, wkrótce zaczną kończyć im się paliwo i będą musieli zawrócić do bazy. Na razie musimy tu siedzieć i przeczekać ich.

- Dzięki Bogu. - Lauren z ulgą zamknęła oczy.
- Kiedy sobie polecą, będziemy bezpieczni, na razie nikt nie będzie nas gonił.

- Niezupełnie. - Sam opuścił lornetkę i obejrzał się przez ramię. - W śmigłowcu jest tylko dwóch ludzi oprócz pilota.

- Dwóch? Przecież mówiłeś...

- Tak, brakuje jeszcze trzech. I ci trzej zostali i tropią nas na piechotę.

Lauren zbladła, zaś Sam ponownie zaczął śledzić przez lornetkę zygzakowaty lot helikoptera.

- Módl się, żeby pilot należał do ludzi przezornych i jak najszybciej poleciał uzupełnić zapas paliwa, ponieważ dopóki kręci się nad naszymi głowami, jesteśmy uziemieni pod tym drzewem, a tymczasem te zbiry są coraz bliżej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Każda kolejna sekunda zdawała się dłużyć niczym cała wieczność. Po dwudziestu minutach Lauren znajdowała się w stanie tak nieznośnego napięcia, że chciała wyskoczyć spod kryjącej ich jodły i biec co sił w nogach jak najdalej od ścigających ich przestępców, zamiast tkwić w śniegu i czekać, aż przyjdą i ją znajdą.

Sam nieustannie obserwował niebo przez lornetkę.

- Dobra, skończyli zabawę na dzisiaj, zwijają manatki i zwracają na wschód.

- Nareszcie!

- Idziemy.

Chwycił plecak i wyskoczył spod gałęzi, a Lauren pośpieszyła za nim, tym razem nie potrzebując żadnych zachęt. Nie miała pojęcia, ile czasu spędzili w sumie pod tą jodłą, marnując bezcenne,

z takim trudem zdobyte minuty. Z każdą sekundą tamci zbliżali się coraz bardziej. Co chwilę oglądała się przez ramię, nie mogła się powstrzymać.

- Teraz szybciej! - ponaglił Sam, gdy wynurzyli się na otwartą przestrzeń, na której byli doskonale widoczni.

Lauren z trudem za nim nadażwała, lecz ani myślała narzekać, nie pisnęła też ani słowem, gdy teren zaczął się podnosić i robiło się coraz bardziej stromo. Z dwojga złego wolała ryzykować upadkiem podczas kolejnej wspinaczki niż dostać kulą.

Przez kilka godzin wytrwale parli przed siebie, co jakiś czas musieli odwiązywać rakiety, gdy natrafiali na skaliste uskoki, potem zakładać je znowu, by móc sprawnie poruszać się po świeżym śniegu, głębokim blisko na metr. Lauren jeszcze nigdy nie musiała zdobyć się na podobnie morderczy wysiłek. Nogi miała jak z ołowiu, gardło i płuca ją paliły, ramiona i plecy bolały od dźwigania ciężkiej torby, lecz starała się ignorować ból oraz zmęczenie, przynaglana do jeszcze większego wysiłku wizją spieszących za nimi trzech mężczyzn z karabinami maszynowymi.

W południe zjedli posiłek składający się z płatów suszonego mięsa oraz wysokokalorycznych batoników, potem Sam znów narzucił poprzednie tempo, zatrzymując się tylko po to, by rozejrzeć się przez lornetkę i sprawdzić kierunek na kompasie. Lauren korzystała z tych krótkich przerw,

popijając wodę z manierki i opierając się o drzewo lub skałę, gdy tylko było to możliwe. Ani razu nie odważyła się usiąść, gdyż obawiała się, że potem nie da rady wstać.

Omijali głązy, szli krawędziami przepaści, przytrzymywali się gałęzi drzew, by się nie potknąć, aż wreszcie Lauren przestała już w ogóle myśleć i nawet cokolwiek odczuwać, zmieniła się w automat, którego jedynym celem było iść naprzód. Kiedy zaczął zapadać zmierzch, spodziewała się, że Sam poszuka miejsca, gdzie mogliby przenocować, lecz nic podobnego nie nastąpiło. W końcu nie wytrzymała.

- Kiedy... zatrzymamy... się na noc? - spytała, dysząc ciężko.

- Nie zatrzymamy się. Księżyc jest prawie w pełni, a światło księżyca odbite od śniegu daje całkiem sporo światła. Tamci za nami nie zatrzymają się na pewno, więc my też musimy iść dalej.

Rozejrzała się z niepokojem.

- Ale czy to bezpieczne wędrować po nocy?

- Niezbyt, lecz musimy podjąć ryzyko.

Niedługo potem dotarli do sporej kępy drzew, a Sam oznajmił, że pora na krótki odpoczynek. Lauren oparła się obiema dłońmi o pień drzewa, rozstawiła szeroko nogi i próbowała złapać oddech.

- Tam masz taki duży pień, który cię dobrze

zasłoni, gdybyś potrzebowała iść do łazienki. Lepiej skorzystaj, gdy jest okazja - doradził Sam.

Nawet nie miała siły, by odpowiedzieć, więc bez słowa schowała się we wskazanym miejscu. Gdy wróciła, Sam zdążył już rozpalić małe ognisko, na którym podgrzewał w garnku wodę ze stopionego śniegu, by wrzucić do wrzątku zawartość jednej z paczek z liofilizowaną żywnością.

Lauren z lękiem rozejrzała się dookoła.

- Mamy czas na gotowanie? Czy nie powinniśmy się zbierać?

- Potrzebujemy sił do dalszego marszu, a gorący posiłek rozgrzeje nas i pozwoli nam iść dłużej. Zresztą oni też muszą jeść.

Przyglądała mu się, gdy mieszał w garnku. Kiedy się spotkali, nie golił się od kilku dni, zaś teraz miał już zaczątki gęstej brody. Włosy też miał nieco przydługie, opadały mu na czoło, lśniące i granatowe niczym skrzydło kruka. W świetle płomieni twarz Sama przybrała zdecydowanie miedziany odcień, a szlachetny, jakby jastrzębi profil odcinał się wyraźnie od szarzejącej bieli śniegu. Wyglądał jak najprawdziwszy indiański wojownik, jakim cudem mogła dotąd tego nie zauważyć?

Przykuwał uwagę nie tylko wyglądem, ale też sposobem bycia - gdy tak siedział w kucki na śniegu przy ognisku, wydawał się pewny siebie, spokojny, twardy, trochę niebezpieczny. Stuprocentowy samiec alfa, dominujący i seksowny.

Poczuła ekscytujący dreszczyk, więc szybko odwróciła wzrok.

- Gotowe - oświadczył Sam. Wyjął z plecaka dwie łyżki, jedną podał Lauren, a garnek przytrzymał pomiędzy nimi dwojgiem. - Wiosłuj, tylko migiem. Za pięć minut ma nas tutaj nie być.

Gorący gulasz smakował wprost bosko, chyba jeszcze nigdy nie jadła czegoś równie wspaniałego. Kiedy tak oboje ze smakiem zjadali z jednego garnka, prawie zaczęła chichotać, gdyż przypominała sobie te wszystkie wykwintne obiady, jakimi ją podejmowano za czasów jej kariery pianistycznej.

- Co w tym śmiesznego?

Podniosła wzrok i napotkała uważne spojrzenie Sama.

- Nic, zupełnie nic.

Schyliła głowę, by ukryć wyraz twarzy, lecz miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem, ponieważ wyobraziła sobie, z jaką zgrozą i obrzydzeniem zareagowałiby dawni wielbiciele jej talentu, gdyby mogli ją teraz zobaczyć, kiedy przykucnęła w śniegu w samym środku dzikiej głuszy i wraz z zarośniętym jak rozbójnik mężczyzną jadła z biwakowego garnka jakąś breję z torebki.

Skończyli, Sam pobieżnie wytarł sztućce i garnek śniegiem, zasypał niewielkie ognisko, a potem kompletnie zaskoczył Lauren, gdyż pomógł jej

wstać. Przyjrzał jej się uważnie, wciąż trzymając ją za rękę.

- Wszystko w porządku?

Ta zdumiewająca troska dała równie zdumiewający efekt, gdyż Lauren nagle napłynęły łzy do oczu. Zirytowana na siebie, szybko pomruwała powiekami, starając się zapanować nad niechcianą reakcją.

- Oczywiście. Jestem gotowa, możemy iść - zadeklarowała, sięgając po torbę.

Wyruszyli, a niedługo potem zapadła ciemność, rozjaśniona blaskiem księżyca, odbijającym się w śniegu; wyglądało to niesamowicie i pięknie. Przez następnych kilka godzin szli bez wytchnienia, aczkolwiek nieco wolniej niż za dnia. Lauren dosłownie przysypiała w marszu, podążając za Samem niczym zombie, jej ruchy stawały się coraz bardziej sztywne i nieskoordynowane, więc w pewnym momencie wystarczył tylko jeden źle postawiony krok.

Nawet nie miała siły krzyknąć, jedynie wyrwał jej się z gardła jakiś dziwny odgłos, lecz Sam usłyszał go, odwrócił się i ujrzał, jak Lauren przelatuje głową w dół przez krawędź zbocza i stacza się po stromym stoku bezwładnie jak szmaciana laleczka, podskakując na kamieniach i nierównościach.

- Jezu! - Serce mu stanęło, a zaraz potem próbowało wyskoczyć z piersi. - Laaaureeeen!

Nie dbając o własne bezpieczeństwo, już pędził za nią długimi susami, wzbijając fontanny śniegu. Kilkanaście metrów poniżej krawędzi Lauren uderzyła w kępę drzewek i znieruchomiała, a wtedy Samowi wydało się, że jakaś lodowata łapa zacisnęła się na jego sercu.

- Trzymaj się, biegnę do ciebie!

Ostatnich parę kroków pokonał jak na skrzydłach i padł na kolana u jej boku. Leżała na wznak z zamkniętymi oczami, ręce miała rozrzucone na boki. Sam gorączkowo ściągnął rękawiczki, sprawdził, czy nie połamała sobie rąk, nóg ani żeber, lecz na szczęście nie znalazł żadnych uszkodzeń ani ran. Rozpiął jej kurtkę, rozsunał poły na boki, nachylił się, przycisnął ucho do piersi Lauren i ogarnęła go niewysłowioną ulgą, gdy usłyszał bicie serca.

- Dzięki Bogu... - rzekł cicho i wyprostował się. - Lauren, słyszysz mnie? Odezwij się do mnie. - Odgarnął jej włosy z twarzy i zdecydowanie poklepał po policzku. - Otwórz oczy.

Delikatne powieki drgnęły, trzepotały przez chwilę, potem uniosły się, a zielone oczy spojrzały nie do końca przytomnie.

- Co... co się dzieje?

- Spadłaś ze skały.

- Ach, tak. Prawda - wymamrotała. - Przypomina mi się... Chyba zawadziłam rakieta o jakiś duży głaz.

- Spróbuj się poruszyć i powiedz mi, czy nic cię nie boli.

Spełniła polecenie, powoli kręcąc głową, ruszając rękami i nogami.

- Chyba tylko się potłukłam, nic poza tym.

- Dobrze. Na razie zatrzymamy się i trochę odpoczniemy.

- Ale przecież...

- Nie mamy wyboru. Ty dosłownie lecisz z nóg, dalszy marsz byłby niebezpieczny. - Rozejrzał się dookoła. - Tam pod tym urwiskiem jest kilka dużych głazów, powinny ukryć ogień, a w najgorszym przypadku zapewnią nam ochronę, gdybyśmy musieli się bronić.

Lauren wolałaby nie rozważać podobnych ewentualności, ale ugryzła się w język.

- Dasz radę iść? - spytał z troską Sam.

- Myślę... że tak.

Wstał, wyciągnął rękę, pomógł jej się podnieść. Lauren najpierw ostrożnie zrobiła parę kroków, by przekonać się, czy naprawdę może chodzić bez przeszkód, a potem skierowali się ku skupisku kilku głazów. Szczęście im dopisało, gdyż u podnóża urwiska, ukryta za głazami, znajdowała się niewielka jaskinia, głęboka ledwie na dwa metry i tak niska, że nie dało się w niej stanąć, lecz dawała schronienie przed wiatrem.

Sam powiedział, że idzie nazbierać gałęzi na opał, więc Lauren natychmiast zadeklarowała

pomoc, co jednak nie spotkało się z jego zrozumieniem.

- Nie, ty zostaniesz tutaj i odpoczniesz.

- Ale...

- Do licha, Lauren, właśnie zaliczyłaś paskudny upadek!

Otworzyła usta, by zaprotestować, a wtedy Sam otoczył ją ramieniem za szyję i wycisnął na zimnych wargach mocny pocałunek, uciszając ją. Potem odsunął się nieco i zatopił spojrzenie w pełnych zdumienia zielonych oczach.

- Wiem, że chcesz sprawiedliwie dzielić się obowiązkami, lecz tym razem zrób mi przyjemność i posłuchaj mnie. Pozwól mi zadbać o ciebie, dobrze?

- D-dobrze - wyjąkała potulnie.

Nie wiedział, czy ustąpiła z powodu tego pocałunku, czy z powodu zmęczenia, ale było mu wszystko jedno, po prostu chciał jak najszybciej rozpalić ognisko i położyć ją spać. Wyjął z plecaka latarkę i dokładnie obejrzał jaskinię.

- Świetnie, żadnych nieprzyjemnych gości. Masz. - Podał jej zapaloną latarkę. - Wchodź do środka i siadaj. Zaraz wrócę.

Zebranie minimalnej ilości opału potrzebnego do rozpalenia ogniska zajęło mu pół godziny. Kiedy wrócił, Lauren spała, zwinięta w kłębek w najdalszym kącie jaskini, wciąż trzymając w dłoni zapaloną latarkę. Sam przykląkł obok,

przyjrzał się bladej twarzy i poczuł, jak budzi się w nim coś dziwnego. Nachylił się, odgarnął Lauren z czoła splecione włosy, wyjął jej z dłoni latarkę, potem wstał i szybko ułożył posłanie ze świerkowych gałęzi. Nie zdołał uzbierać ich tyle, ile powinien, ale priorytetem było ogrzanie Lauren. W dodatku nie chciał zostawiać jej samej dłużej, niż to konieczne.

Przeniósł śpiącą na materac z gałęzi, troskliwie zamknął ją w śpiworze, a ona nie drgnęła ani nawet nie mruknęła przez sen. Gdyby nie poczuł na policzku jej ciepłego oddechu, zaniepokoiłby się. Rozpalił niewielkie ognisko przy wejściu do jaskini, ułożył przy nim pozostały opał, wyjął z plecaka kłębek drutu i wyszedł.

Do jaskini prowadziła naturalna ścieżka pomiędzy głazami, Sam rozciągnął drut w poprzek niej kilka metrów dalej, jego końce umocował na kopczykach z kamieni i przycisnął kolejnymi kamieniami. Gdyby ktoś zaczepił o drut, kamienie spadłyby i narobiły hałasu, dzięki czemu zostaliby zaalarmowani. Co prawda zyskaliby tylko kilka sekund, ale to zawsze coś. Wrócił do jaskini, położył strzelbę Boba i swój służbowy pistolet tuż przy posłaniu, a potem wślizgnął się do śpiwora i spędził resztę nocy, trzymając Lauren w ramionach.

- Obudź się, śniadanie gotowe.

Próbowała odwrócić się tyłem i spać dalej, lecz Sam złapał ją za ramię i potrząsnął.

- Hej, wstawaj. Pora się zbierać.

Jęknęła, ponieważ miała wrażenie, że ledwie zdołała zamknąć oczy. Z wysiłkiem uniosła powieki o cały milimetr, ujrzała blask ognia, a dalej ciemność.

- Przecież jest środek nocy - zaprotestowała.

- Zaraz zacznie świtać. Kto wie, czy nasi przyjaciele nie są już znowu w drodze?

To podziałało jak kubeł zimnej wody, Lauren błyskawicznie wyskoczyła ze śpiwora, piętnaście minut później już byli gotowi do wyjścia. Bolał ją każdy mięsień i czuła się straszliwie znużona, lecz Sam znowu narzucił mordercze tempo, więc musiała za nim nadążyć. Po godzinie szybkiego marszu jej mięśnie rozruszały się i przestały boleć, a Lauren niczym sportowiec złapała drugi oddech. Wędrowało jej się nieco łatwiej, nawet zaczęła być dumna z tego, że całkiem nieźle sobie radzi.

Oczywiście nadal była kompletnie zależna od Sama, nie dało się temu zaprzeczyć, chociaż wcale jej się to nie podobało. Niestety, bez niego byłaby zgubiona. No, ale przynajmniej nie zachowywała się jak bezradna ofiara losu!

Dwie godziny po wschodzie słońca zeszli w wysoko położoną dolinę. Na skraju lasu Sam zatrzymał się i rozejrzał uważnie po wielkiej pustej połaci, na której tylko gdzieniegdzie sterczało

pojedyncze drzewko. Lauren uświadomiła sobie nagle, że dla niej otoczenie cały czas wygląda jednakowo, nie odróżniała jednej góry od drugiej, więc właściwie równie dobrze mogli chodzić w kółko.

- Mam nadzieję, że wiesz, gdzie jesteśmy.

- Wiem. - Wskazał przeciwległy kraniec doliny. - Tam jest przełęcz, a za nią następna dolina, leżąca niżej od tej i łatwiej dostępna od strony autostrady między Durango a Silverton. Jest tam co najmniej jeden letni domek, teraz może już nawet więcej, ponieważ od kilku lat nie polowałem w tym rejonie, więc nie wiem, czy coś się nie zmieniło. Jeśli przed zmierzchem dotrzemy do tego domu, przenocujemy w nim.

- A nie lepiej iść od razu do szosy i próbować złapać stopa? - Co prawda w życiu nie łapała stopa, ale chętnie by spróbowała. - Przez ten ostatni odpoczynek tamci pewnie są bliżej nas niż wczoraj, jeśli znowu zatrzymamy się gdzieś na noc, mogą nas dopaść.

- „Łatwiej dostępna” wcale nie znaczy „blisko położona”. W środku zimy również do tamtej doliny można się dostać tylko helikopterem lub przynajmniej trzeba mieć skuter śnieżny. Zresztą i tak nie mamy wyboru, z zachodu nadciąga kolejna śnieżycy, trzeba szukać schronienia, a nie otwartej autostrady.

- Śnieżycy? - Gwałtownie odwróciła głowę we

wskazany kierunku i ogarnął ją lęk, gdy ujrzała w oddali wał ciemnych chmur, nieubłaganie sunący w ich kierunku.

- Musimy się gdzieś schować, tamci zresztą też - ciągnął Sam, jak zwykle zupełnie niewzruszonym głosem. - Tylko że tym razem my odpocznemy w komfortowych warunkach, a oni odmrożą sobie tyłki w zaspach. Idziemy. Aha, trzymamy się cały czas skraju lasu - rzucił jeszcze przez ramię. - Oczywiście szybciej byłoby iść na skos przez dolinę, ale nie możemy ryzykować takiego wystawiania się na widok.

W południe zaczęło trochę sypać, lecz Sam wcale się tym nie zmartwił, przeciwnie.

- Śnieg będzie zasypywał nasze ślady, więc tamtym będzie trudniej odnaleźć trop, dzięki temu zyskamy trochę czasu.

Skończyli obchodzić dolinę już dobrze po południu i zaczęli wspinać się do przełęczy, znajdującej się jakieś trzysta metrów wyżej, a chociaż to wcale nie było dużo, Lauren znowu zaczęła lecieć z nóg. Zmęczenie dwóch dni morderczej wędrówki skumulowało się, bolały ją wszystkie mięśnie, bolał ją kręgosłup, miała pęcherze na obu stopach, czuła się przemarznięta do szpiku kości.

Im wyżej wchodzili, tym zimniej się robiło i tym mocniej padało, aż wreszcie góry znikły za białą zasłoną, lecz Sam bez wahania szedł dalej. Lauren wlokła się za nim, każdy krok zdawał się

jej czystą torturą. Kiedy dotarli na przełęcz i zaczęli schodzić, dosłownie zataczała się ze zmęczenia. Sam z troską obserwował jej bladą twarz i coraz bardziej niepewne kroki.

- Jak dotąd znakomicie sobie radzisz, więc nie padnij mi tu na samym finiszu - odezwał się, by zachęcić ją do dalszego wysiłku. - Domek stoi u dołu tego zbocza. Dasz radę.

- Nie... martw się... o mnie... Dam... radę.

- Pewnie, że dasz, twarda z ciebie dziew... Hej! Potknęła się, a on złapał ją w ostatniej chwili.

- Ostrożnie. Nie chcę znowu patrzeć, jak spadasz, nie zniósłbym tego po raz drugi. - Zabrał jej torbę, otoczył Lauren ramieniem, przyciągnął do siebie. - Oprzyj się o mnie.

- Nie ma... potrzeby - rzekła bełkotliwie, gdyż nie tylko nogi, ale i język plątał jej się ze zmęczenia. - Mogę... sama.

- Pewnie, że możesz. Niezależność to cecha godna pochwały, ale w tej chwili odpuść sobie.

- Nic mi... nie jest... Wcale... nie muszę...

Zupełnie wbrew swojej woli przytuliła policzek do piersi Sama, z jękiem ulgi zamknęła oczy i całym ciężarem ciała oparła się na nim.

- Co za uparta kobieta! - warknął, zaciskając zęby.

Chociaż dzielnie starała się nie zasnąć i przebierać nogami, prawie musiał ją nieść przez resztę drogi. Wiatr przybrał na sile i wył między skałami

niczym zwiastujący śmierć upiór, śnieg nie tyle padał, co walił na całego, skutecznie ograniczając widoczność. Sam jednocześnie przeklinał i błogosławił śnieżycę, która zacierała ich ślady. Tamci trzej nie mogli jeszcze dotrzeć na przełęcz, burza zatrzyma ich w poprzedniej dolinie. Z drugiej strony mogła uniemożliwić Samowi odnalezienie domku, zwłaszcza że zapadł już zmrok.

Ta perspektywa stawała się coraz bardziej realna, gdyż zeszli już na równy teren, a letniego domku nadal nie było. Sam modlił się, by go nie przeoczyć, ale w końcu uznał, że musi się poddać i zbudować szałas.

I w tym momencie zauważył coś na tle mocno już pociemniałego nieba.

- Bingo!

Kiedy znaleźli się na niewielkiej drewnianej werandzie, oparł Lauren o słupek podtrzymujący daszek, odwiązał jej rakiety, zdjął też swoje, potem wyjął z portfela coś niedużego i metalowego, przykucnął, zajął się zamkiem.

- Jesteśmy w domu - oznajmił po chwili.

Lauren uchyliła powieki.

- T-to świet-tnie - rzekła, szcękając zębami.

Wewnątrz było tylko odrobinę cieplej niż na zewnątrz i ciemno jak w grobie. Sam zapalił latarkę i rozejrzał się po niedużym domku. Główne pomieszczenie dzieliło się na coś w rodzaju pokoju dziennego, jadalnię i otwartą kuchnię, dalej znaj-

dowała się sypialnia i łazienka. Nad pokojem dziennym zbudowano małą antresolę z miejscem do spania.

Sam ucieszył się, gdy promień latarki padł na spory kominek i zgromadzone przy nim polana.

- Znakomicie, rozpalę ogień. Wytrzymaj jeszcze chwilę - rzucił przez ramię, układając drewno na palenisku. - Zaraz tu się zrobi ciepło.

Po kilku minutach w kominku buzował ogień, a Sam podniósł się, otrzepując ręce o spodnie.

- Za chwilę poczujesz... - Urwał, widząc, że Lauren go nie słucha.

Spała na kanapie, zwinięta w kłębek i nawet złocista poświata nie była w stanie ukryć jej straszliwej bladości, podobnie jak długie rzęsy nie mogły ukryć sinych podkówiek pod oczami. Kiedy Sam tak jej się przyglądał, poczuł, jakby coś rośło mu w piersi, coś, czemu robiło się za ciasno.

Przykucnął przy kanapie, delikatnie powiodł palcami po policzku Lauren, założył jej włosy za ucho.

- W porządku, mała, miałaś prawo zasnąć po takim dniu - szepnął, a potem poprawił się: - Dniu? Już od tygodnia jest ci ciężko.

Musiał przyznać, że wszystko to dzielnie znosiła, ba, dużo lepiej niż niejeden silny mężczyzna, gdyby znalazł się w podobnej sytuacji. Delikatna i krucha Lauren Brownley była w pewnym sensie kawałem baby.

- Chodź, mała, dzisiaj prześpisz się w prawdziwym łóżku.

Wstał, wziął ją na ręce i przyświecając sobie latarką, zaniósł Lauren do sypialni, którą musiała urządzić kobieta, sądząc po kwiecistej narzucie, stosie poduszek z falbankami, porozstawianych wszędzie świeczkach i suchych bukietach. Położył Lauren na wielkim łóżku, zapalił dwie świece i wyciągnął szufladę komody, słusznie zakładając, że znajdzie w niej jakąś damską nocną koszulę. Co prawda gdzieś w plecaku była nowa nocna koszula dla Lauren, lecz jej szukanie pewnie trwałoby dłużej.

Wyjął z szuflady coś, w co mogłaby się ubrać jego babcia - długą, białą, flanelową koszulę ze stójką haftowaną w różyczki i ozdobioną różową wstążeczką. W oczach mężczyzny wyglądało to równie wdzięcznie i seksownie jak worek po kartoflach, ale przynajmniej było ciepłe.

Sam ściągnął Lauren buty oraz skarpetki i aż się skrzywił na widok pęcherzy na jej stopach. Musiały ją bardzo boleć, ale nie zająknęła się na ten temat ani słowem. Pokręcił głową, po czym zdjął jej rękawiczki, kurtkę, dres, obie pary kalesonów, zaś ona przez cały ten czas spała jak kamień, nawet nie drgnęła.

Kiedy cztery dni wcześniej kupował dla niej bieliznę, specjalnie wybrał najbrzydszy stanik i bawełniane majtki z rodzaju tych, jakie noszą prak-

tyczne starsze panie, ponieważ liczył na to, że samo wyobrażenie sobie Lauren w takich rzeczach podziała na niego jak zimny prysznic. Kiedy jednak rozebrał ją do bielizny, aż znieruchomiał i patrzył niczym zahipnotyzowany. Chyba jeszcze nigdy żadna zabójcza laska w bikini nie zrobiła na nim podobnego wrażenia. To kruche maleństwo miało prześliczne krągłości.

Mrucząc przekleństwa pod nosem, obrócił ją na bok i rozpiął stanik. Chociaż bohatersko starał się nie patrzeć na jej piersi, to jednak kątem oka widział zarys drobnych, idealnie ukształtowanych wzgórków, od czego aż mu zaschło w gardle. Chwilę potem spochmurniał, zauważając na plecach i barkach Lauren otarcia od ciężkiej torby i od noszonego przez cztery doby stanika.

Przykrył ją kocem, pospieszył do łazienki, wrócił z apteczką i posmarował otarcia maścią z antybiotykiem. Potem ubrał ją w nocną koszulę, ułożył pod kołdrą i potem stał przez długą chwilę, przyglądając się śpiącej. Coś go ścisnęło w piersi, jakby wkręceno mu serce w imadło. Co się z nim działo, u licha?

Zły na siebie, odwrócił się gwałtownie i wyszedł z sypialni, dołożył dREW do kominka, pod drzwiami wejściowymi i kuchennymi poustawiał konserwy jedna na drugiej, zaś w poprzek okien powiesił na sznurkach rondle i garnki, żeby w razie czego nieproszeni goście narobili hałasu, próbując dostać się do środka.

Postanowił spędzić noc na antresoli, gdzie znajdowały się dwa dwuosobowe tapczany, gdyż tym razem nie musiał spać z Lauren, nie było takiej potrzeby. Nawet gdyby jakimś cudem zabójcy dotarli aż tutaj, zaalarmowałyby go hałas puszek i rondli, zdołałby w parę sekund chwycić broń i zbiec po schodach.

Mimo to, gdy wszystko było już gotowe, Sam rozebrał się do bokserek i wślizgnął się do łóżka w sypialni. Lauren westchnęła przez sen, obróciła się ku niemu, a on objął ją, przytulił do siebie, oparł brodę na czubku jej głowy i zapatrzył się w ciemność. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć, a wszystko przez tę drobnutką i upartą kobietę, do której od pierwszej chwili czuł niewytłumaczalny pociąg. Starał się wzbudzić w sobie niechęć do niej, traktował ją opryskliwie, ale nic nie pomagało. Nawet wtedy, gdy wierzył, że ma do czynienia z kochanką Carla, pragnął jej - ale nie tylko fizycznie. Chciał ją mieć całą dla siebie, czuć, że Lauren należy do niego.

Nigdy wcześniej żadna kobieta nie wzbudziła w nim podobnej reakcji, więc trochę go to przerażało. Więcej niż trochę. Owszem, w swoim życiu pragnął wielu kobiet i z kilkoma poszedł do łóżka, w końcu był zdrowym trzydziestosiedmioletnim mężczyzną, miał więc swoje potrzeby. Do każdej z tych partnerek żywił sympatię, czasem nawet odczuwał coś silniejszego, choć przelotnego, ale

jeszcze nie zdarzyło mu się, by zrodziło się w nim niezbite przekonanie o... o przynależeniu.

Sam aż prychnął z irytacji. No, dalej, Rawlins, miej odwagę i przyznaj się, że jeśli chodzi o tę małą, to przegrałeś na samym wejściu. Po prostu nie miałeś szans. Myślałeś, że to rozkapryszona, niezbyt rozgarnięta lalunia, która będzie w kółko jęczeć i generalnie zachowywać się jak ostatnia oferma. Powinieneś był wiedzieć lepiej, w końcu ta dziewczyna znakomicie sobie poradziła, gdy przypadkiem stała się świadkiem morderstwa. Zachowała zimną krew i zdołała wymknąć się trzem uzbrojonym mężczyznom. Od tej pory nie przestawała go zaskakiwać.

Chętnie się uczyła, obserwowała, jak on robi różne rzeczy i naśladowała go, a gdy rezultaty były kiepskie, uparcie próbowała znowu, i znowu, i znowu. Koniecznie chciała dzielić się obowiązkami i ze wszystkich sił starała się być tak samodzielna, jak tylko się dało, a on potrafił to docenić.

Doceniał też fakt, że podążała za nim dzielnie bez słowa protestu. No, prawie... Kąciki jego ust drgnęły, gdy przypomniał sobie, jak dwa razy wybuchnęła niczym wulkan - tuż po katastrofie awionetki i po wspinaczce na pionową ścianę. Widać właśnie w taki sposób radziła sobie ze stresem, dając ujście emocjom raz a dobrze. Zresztą w żadnej z tych dwóch sytuacji nie dałoby się jej

winić, człowiek ma prawo być wytrącony z równowagi, gdy właśnie omal nie zginął.

W zamyśleniu pogłodził ją po plecach. Wiedział, jak bardzo się bała tropiących ich morderców, a mimo to potrafiła wziąć się w garść i nieźle radziła sobie w sytuacji, w której niejeden dawno by się załamał. Znowu musiał się uśmiechnąć.

Taka kruszyna, a tyle w niej siły i charakteru.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lauren przeciągnęła się bez pośpiechu, równie powoli otworzyła oczy... i gwałtownie usiadła.

Rozejrzała się po kompletnie obcym pokoju, serce tłukło jej się w piersi. Gdzie...? Spojrzała po sobie i zorientowała się, że ma na sobie jakąś okropną nocną koszulę, a pod spodem tylko majtki. Jak...? Zauważyła, że łóżko jest dwuosobowe, zaś wgniecenie na drugiej poduszce jasno wskazywało, że ktoś z nią spał.

Aż podskoczyła, gdy usłyszała jakiś odgłos za drzwiami. Ostrożnie wyslizgnęła się z łóżka, na palcach podeszła do komódki, z której wzięła wazon i trzymając go w ręku niczym maczugę, podkracla się do uchylonych drzwi. Naraz uświadomiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, w tym domu było ciepło. Po drugie w powietrzu unosił się cudowny zapach, od którego zaczęło burczeć jej

w brzuchu. Ostrożnie wyjrzała zza framugi i zamarła.

W kuchni stał obcy mężczyzna i coś gotował na kuchence.

Lauren musiała niechcący wydać jakiś zduszony odgłos, gdyż nieznajomy podniósł na nią wzrok.

- Dzień dobry. Zacząłem już myśleć, że będziesz spała całą dobę na okragło.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Sam? Wielkie nieba, ogoliłeś się! Zupełnie cię nie poznałam.

Podeszła bliżej, zdumiona jego wyglądem. Pierwszy raz widziała go bez zarostu, więc dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo Sam był atrakcyjny. Nie, nie należał do typowych przystojniaków, miał na to zbyt ostre rysy, szalenie męskie, które robiły na niej dużo większe wrażenie niż konwencjonalna uroda. Na sam jego widok działo się z nią coś dziwnego.

- Pomyślałem, że trzeba skorzystać z okazji, bo kto wie, kiedy nadarzy się następna? - Zerknął na podniesiony wazon. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz rozbić mi tego na głowie.

- Co? Och! - Czując, jak się rumieni, szybko opuściła rękę. Zupełnie zapomniała, co w niej trzyma, tak była wstrząśnięta swoją reakcją na Sama. - Ja... eee... obudziłam się, nie wiedziałam, gdzie jestem i jak się tu znalazłam - wyjaśniła z zakłopotaniem. - Zresztą nadal nie wiem.

- Nic dziwnego. Kiedy znaleźliśmy to miejsce, spałaś na stojąco.

- Ja... eee... pójdę to odstawić.

Uciekła do sypialni, gdzie przez chwilę próbowała pozbierać myśli i dojść do siebie. Odetchnęła głęboko. Co się z nią działo? Przecież to tylko Sam, z którym spędzała dwadzieścia cztery godziny na dobę, jadła z nim z jednego garnka, spała w jednym śpiworze. No to co, że tej nocy spali w jednym łóżku? Co za różnica? Zerknęła na dwie wgniecione poduszki.

A jednak różnica.

Wszystko przez te pocałunki. Zmarszczyła brwi. A jeśli miała jakieś halucynacje ze zmęczenia? Potrząsnęła głową. Nie, nie, nie. Z całą pewnością ją pocałował, i to dwa razy. Nawet dwa i pół, bo raz przeszkodził im nadlatujący helikopter.

Popatrzyła w lustro nad komodą. No i co z tego, że cię pocałował? To jeszcze nic nie znaczyło, w końcu ludzie robią różne dziwne rzeczy w stresujących sytuacjach.

Wyprostowała się, ściągnęła łopatki i wróciła do kuchni.

- Czy to naprawdę kawa tak pachnie?

- Aha. Chcesz?

- Co to za pytanie? Dla filiżanki kawy byłabym chyba gotowa zabić.

Co prawda koniecznie musiała wyjść natychmiast

za potrzebą, ale od pięciu dni nie piła kawy, więc nie zdołała oprzeć się pokusie.

- Kubki stoją w szafce, a tam masz dzbanek z kawą. - Wskazał, a potem delikatnie zamieszał w rondlu, który stał na kuchence.

Lauren błyskawicznie nalała sobie kawy, oparła się o blat, upiła łyk, z błogością przymykając oczy i westchnęła.

- Mmm, co za rozkosz...

Na wargach Sama zaigrał cień uśmiechu.

Lauren przez kilka minut delektowała się kawą, lecz pewna niepokojąca myśl nie dawała jej spokoju.

- Jak już mówiłam, niewiele pamiętam z ostatniej nocy. Czy ty... To jest... - Ujęła w dwa palce flanelową nocną koszulę. - Czy to ty jesteś za to odpowiedzialny?

- Jeśli pytasz, czy to ja cię rozebrałem, odpowiedź brzmi „tak”.

Ta rzeczowa odpowiedź zbiła ją z tropu. Lauren zupełnie nie wiedziała, jak ma zareagować, lecz Sam wybawił ją z kłopotu, dodając:

- Myślałem, że tak będzie ci wygodniej spać.

- No, na pewno było wygodniej, ale... ale...

Posłał jej jedno z tych swoich przeszywających spojrzeń.

- Widywałem już nagie kobiety.

Zarumieniła się

- Nie wątpię. A jednak...

- Masz piękne ciało - rzeki cicho, a ją aż przebiegł dreszcz. - Musiałbym być ślepy, nieżywy albo inaczej zorientowany, żeby tego nie zauważyć. Ale nie musisz się martwić, że się gapiłem albo w jakiś inny sposób wykorzystałem sytuację, bo to nie w moim stylu. Lubię, kiedy kobieta reaguje na to, co robię. Byłaś zbyt zmęczona, żeby rozebrać się sama, więc po prostu wyręczyłem cię. To nic wielkiego.

Może dla ciebie, pomyślała, gdyż czuła się dziwnie, wiedząc, że widział ją prawie zupełnie naga.

- I... i spałeś w tym samym łóżku, co ja?

- Owszem. I co?

- Hm... No... - Spojrzała na antresolę i doskonale widoczne z kuchni dwa tapczany.

- Uznałem, że tak będzie najbezpieczniej. Gdybym pomylił się w moich rachubach i tamci znaleźliby nas tutaj, wolałbym, żebyśmy nie zostali rozdzieleni.

Szybko obróciła głowę ku drzwiom.

- Czy oni...

- Spokojnie, na zewnątrz szaleje śnieżyca.
- Wrócił do mieszania w rondlu. - Jeśli są sprytni, schowali się gdzieś i próbują przeczekać, a jeśli nie są sprytni, to już nie żyją. Tak czy owak chwilowo nie stanowią zagrożenia.

Odetchnęła z ulgą i znów napiła się kawy, a potem pociągnęła nosem.

- Wiem, że to niemożliwe, ale to coś w rondlu wygląda i pachnie jak szynka z ziemniakami.

- Plus trochę cebuli. Właściciel domku ma znakomicie zaopatrzoną piwnicę oraz staroświecką lodówkę turystyczną na tylnej werandzie. Chyba się nie pogniewa, że się poczęstowaliśmy, bo zostawię mu krótką notatkę i pieniądze. Tak więc na razie mamy do dyspozycji normalne jedzenie.

- Mmm, świetnie...

Naraz uświadomiła sobie, że Sam nie tylko ogolił się, ale także przebrał w czyste ubranie, zaś ona w porównaniu z nim musiała wyglądać ogromnie nieświeżo. Od pięciu dni nie kąpała się, nie myła włosów, od dwóch w ogóle ich nie czesała... Rozejrzała się nerwowo.

- Jeśli szukasz torby, jest w łazience.

- W łazience?! To tu jest łazienka?

- Tylko nie nastawiaj się na nie wiadomo jakie luksusy, łazienkę zrobiono oszczędnie i praktycznie. Najważniejsze, że cały ten domek jest kompletnie samowystarczalny. Właściciel zainstalował generator prądu, do tego jest pełno świec i lamp naftowych. Kuchenka jest na gaz, a gorąca woda płynie rurami z naturalnego gorącego źródła za domem, będziesz mogła się wykapać. W łazience znajdziesz nie tylko prysznic, ale i wannę.

Gwałtownie odstawiła kubek na blat.

- Dopiero teraz mi to mówisz?! - Wybiegła z części kuchennej, lecz w połowie pokoju dzien-

nego zatrzymała się i obejrzała na Sama. - Jesteśmy tu bezpieczni? To jest... czy mam czas na kąpiel? A jeśli śnieżycy ustanie i oni tu przyjdą?

- Spokojnie, według prezentera pogody burza śnieżna potrwa w tym rejonie do jutra, i to do południa.

- Prezentera pogody?

Z uśmiechem wskazał stojący w rogu telewizor.

- Właściciel domku ucieka w góry od cywilizacji, ale bez niektórych jej zdobyczy wyraźnie nie potrafi się obejść. Ma tutaj talerz do odbioru telewizji satelitarnej.

Teraz i ona wybuchnęła śmiechem.

- Telewizja satelitarna? W takiej głuszy?

- Niektórzy zachowują się jak narkomani na głodzie, jeśli nie mogą regularnie oglądać kanału sportowego.

- Cieszę się, że właściciel jest na tyle przesiąknięty cywilizacją, że nie umiał obejść się bez łazienki - skwitowała wesoło.

Łazienka była prosta, niemal prymitywna, w maleńkiej kabinie prysznicowej prawie nie dało się obrócić, zaś umywalka, sedes i wanna wyglądały jak wyciągnięte z jakiegoś domu przeznaczonego do rozbiórki, lecz z kranów leciała czysta, cudownie gorąca woda, a to wystarczyło Lauren.

Pod prysznicem umyła włosy i pomrukując z zadowolenia, wyszorowała się, aż skóra jej się

zaróżowiła. Potem napełniła wannę gorącą wodą i zanurzyła się w niej z jękiem błogości. Po dwóch dniach upiornej wędrówki miała siniaki i bolał ją każdy mięsień, więc w kąpieli poczuła się jak w siódmym niebie. Oparła głowę o brzeg wanny i zamknęła oczy.

Trwała w przyjemnym stanie pomiędzy snem a jawą, gdy nagle coś grzmotnęło o drzwi łazienki. Lauren krzyknęła z przestachu i wyprostowała się gwałtownie, rozchlapując wodę na wszystkie strony.

- Wszystko w porządku? - zawołał Sam.

Przycisnęła dłoń do serca, by je uspokoić.

- Lauren? Do licha, jeśli za trzy sekundy nie usłyszę żadnej odpowiedzi, wchodzę.

Zerknęła na drzwi, pozbawione zamka lub choćby haczyka i zanurzyła się w wodzie po samą brodę.

- Nie, nie wchodź, nic mi nie jest!

- Dzięki Bogu. Siedzisz tam tak długo, że myślałem, że się utopiłaś albo uderzyłaś w głowę, albo co. Na pewno wszystko dobrze? Bo jeśli potrzebujesz pomocy...

- Nie! Nie potrzebuję. Zaraz wychodzę, daj mi minutkę.

- Pospiesz się, śniadanie gotowe.

Parę chwil później weszła do kuchni z wilgotnymi włosami zaczesanymi do tyłu, ubrana w mniejszy z dwóch białych szlafroków frotte,

wiszących w łazience. I tak był na nią za duży, ciągnął się po podłodze, a rękawy musiała podwinąć dwa razy.

Usiadła przy hojnie zastawionym niedużym sosnowym stole, gdzie czekała miska jajecznicy, salaterka z gorącą szynką i ziemniakami oraz świeże bułeczki, które Sam upiekł, korzystając z gotowej mieszanki.

- Przepraszam, że to tyle trwało, ale nie zdołałam oprzeć się pokusie i po wzięciu prysznicą weszłam do wanny i wymoczyłam się.

Sam, który właśnie sięgnął po salaterkę, zamarł w połowie gestu i ponad parującymi ziemniakami spojrzał na Lauren w tak jednoznaczny sposób, że zrozumiała, o czym pomyślał - wyobrażał ją sobie nagą w wannie. I wcale się z tym nie krył.

Przypomniała sobie wtedy pewną zdumiewającą rzecz, którą powiedział dwa dni wcześniej, mianowicie, że pocałował ją, ponieważ tego pragnął, i to od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał. Najpierw przeżyła wstrząs, potem uznała to za sprytny sposób odwrócenia jej uwagi od grożącego im niebezpieczeństwa, zaś potem, podczas morderczego marszu, zwyczajnie zapomniała o wszystkim. A teraz...

Wyraz oczu Sama uświadomił Lauren, jak bardzo się myliła. Wcale mu wtedy nie chodziło o to, by zająć jej myśli czym innym... Zarumieniła się, spuściła wzrok, sięgnęła po miskę z jajecznicą.

- To z naszych jajek w proszku, niestety, ale reszta pochodzi z zapasów naszego gospodarza - odezwał się Sam.

- Nie szkodzi, i tak wszystko jest przepyszne - zapewniła, zerknęła na niego i zauważyła, że jego twarz przybrała swój zwykły, surowy wyraz.

Przez jakiś czas żadne nie odzywało się ani słowem, aż Lauren przypomniało się jeszcze coś, co jej powiedział.

- Chyba nadeszła pora, żebyś mi wyjaśnił, co się właściwie dzieje. Obiecałeś, że to zrobisz.

Zatrzymał się w połowie smarowania bułki dżemem, popatrzył na Lauren przeszywającym wzrokiem, lecz nie próbował udawać, że nie rozumie, o czym mowa.

- Chodzi ci o wtyczkę w FBI?

- Tak. Skoro wiedziałeś o istnieniu informatora, to jakim cudem mogłeś myśleć, że zdołasz mnie ochronić?

- Oprócz mnie wiedziało o sprawie tylko pięciu ludzi, jak dotąd krystalicznie czystych. Szefer wybrał każdego z nich osobiście, ponieważ im ufał. Liczył na to, że dzięki temu uda się wywieźć cię z miasta, zanim nastąpi przeciek. Przeliczył się.

- Ponieważ informatorem jest któryś z tych pięciu - odgadła.

- Bingo. Kto wie zresztą, czy tylko jeden. Równie dobrze wszyscy mogą figurować na liście płac Carla. I kto wie, czy przydzielenie mi tego

zadania nie zostało ukartowane po to, żeby za jednym zamachem pozbyć się nas obojga.

- Czemu ktoś z FBI miałby chcieć cię zabić?

- Ponieważ to ja rozpracowywałem informatora. Widać zacząłem mu deptać po piętach.

- Teraz rozumiem...

- Z pięciu podejrzanych możemy z miejsca wyeliminować Dave'a, po pierwsze, zbyt krótko siedział w FBI, by zdołano go skorumpować, po drugie, nie wszedłby na pokład samolotu, gdyby uprzednio podłożył w nim ładunek wybuchowy.

- Ładunek wybuchowy?!

- Nie widzę innego wyjaśnienia. Bob miał fioła na punkcie bezpieczeństwa, awionetka co i rusz przechodziła testy, inspekcje, badania techniczne i co tylko chcesz. Ponadto tuż przed awarią silników słyszałem odgłos wybuchu, a samolotem zarzuciło. Sabotażysta pomyślał również o podrzuceniu nadajnika, żeby dało się łatwo odnaleźć miejsce katastrofy i ustalić, że na pewno zginęliśmy. Tak więc...

Zadrzała, odłożyła sztucce i wsunęła dłonie w rękawy, by rozmasować gęsią skórę na ramionach.

- Kto wiedział, którym samolotem polecimy?

- Nikt. Nawet Dave nie miał pojęcia.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś nas śledził i podrzucił ładunek wybuchowy w ostatniej chwili? To raczej niemożliwe.

- Zgadzam się. Ten ktoś musi mnie dobrze znać, dzięki czemu odgadł, do kogo się zwrócę w tak ważnej sprawie. Odkąd Bob odszedł na emeryturę, bardzo rzadko korzystałem z jego usług jako pilota, właśnie po to, żeby nie zwracać na niego uwagi. Ktoś trafnie odgadł, że zwrócę się do najbardziej zaufanej osoby i użyję zachowywanej na specjalne okazje trasy przerzutowej, pojechał na lądowisko, gdy ja szykowałem nas do drogi i podrzucił coś do awionetki.

- Dobry Boże, a gdyby się pomylił? Przecież mogli zginąć niewinni ludzie!

- I zginęli. Dwóch - przypomniał jej.

Odsunęła od siebie talerz, gdyż nagle straciła apetyt.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

- Uwierz, bo to prawda. I uświadom sobie, jeśli jeszcze na to nie wpadłaś, że jesteśmy zdani na własne siły, ponieważ nie mogę poprosić biura FBI w Denver o pomoc. Nie skontaktuję się z nimi, skoro nie wiem, komu mogę ufać. Nie będę ryzykował.

- No to co zrobimy?

- Nie martw się. Spróbuję sięgnąć wyżej. Jest jeden facet, na którego raczej mogę liczyć, nazywa się Edward Stanhope, był wicedyrektorem w naszej głównej siedzibie w Waszyngtonie. Odszedł na emeryturę, ale wciąż ma bardzo duże wpływy. Zadzwońię do niego, gdy tylko znajdziemy jakiś

telefon. - Podniósł do ust kubek z kawą i ponad jego brzegiem uważnie przyjrzał się Lauren. - Jedz. W ciągu ostatnich dni musiałaś stracić parę kilo, a nie możesz sobie na to pozwolić.

Zdobyła się na blady uśmiech.

- Twoim zdaniem jestem za chuda?

To miał być tylko taki sobie żarcik, służący rozluźnieniu atmosfery, lecz Sam zareagował inaczej, niż się spodziewała. Spoważniał jeszcze bardziej i popatrzył na Lauren w taki sposób, że serce zabiło jej mocniej. Powietrze między nimi prawie zaiskrzyło od napięcia.

- Nie jesteś chuda - odparł cichym, nieco chrapliwym głosem. - Jesteś, niech to licho, niemal idealna. Ale nie masz żadnych rezerw, a przed nami jeszcze kawałek drogi, więc musisz się dobrze odżywiać. Może zdołamy cię trochę podtuczyć, nim ruszymy dalej. Jedz.

Nieoczekiwany komplement sprawił jej przyjemność, lecz dalszy ciąg został wypowiedziany tak rozkazującym tonem, że z ociąganiem wróciła do jedzenia.

- Chyba jesteśmy już całkiem blisko cywilizacji, sądząc po tych wszystkich udogodnieniach, jakie są zainstalowane w tym domu - odezwała się, by rozproszyć ten dziwnie intymny nastrój, jaki wytworzył się między nimi.

- Nie do końca. W prostej linii byłoby to sześć do ośmiu kilometrów, ale ponieważ musimy iść po

nierównym terenie i czasami nadkładać drogi, przyjdzie nam zrobić jakieś dwanaście, trzynaście kilometrów, zanim dotrzemy do Czyśca.

Mało brakowało, a zakrztusiłaby się kawą.

- Dokąd?!

- Do Czyśca. Co prawda obecna dyrekcja zmieniła nazwę na Kurort Górski Durango - wyjaśnił. - To ośrodek narciarski sześćdziesiąt kilometrów na północ od Durango. Jeśli nie liczyć kilku pojedynczych, porozrzucanych na dużej przestrzeni rancz, to praktycznie pierwsze zamieszkane miejsce na południe stąd.

- Czeka nas jeszcze kilkanaście kilometrów drogi? - spytała z niepokojem.

- Mamy szczęście, w szopie stoją cztery skutery śnieżne.

- Ale nie możemy ich użyć, to byłaby kradzież.

- Gadanie. Nie tylko weźmiemy dwa z nich, ale też wyleję paliwo z baków pozostałych dwóch, żeby nasi przyjaciele nie mogli pojechać za nami. I nie ma mowy o kradzieży, jestem agentem federalnym, rekwiruję pojazdy w ramach wykonywania obowiązków służbowych. Właściciel będzie tylko musiał wypełnić odpowiedni formularz i dostanie odszkodowanie.

We wzroku Lauren widniało powątpiewanie.

- Czy to na pewno jest legalne?

Wzruszył ramionami.

- Prawie.

W rzeczywistości myślał o czymś zupełnie innym. Niech to licha, ależ ona była piękna! Zero makijażu, twarz zaróżowiona od kąpieli, za duży szlafrok, którym owinęła się po samą brodę. Wilgotne włosy powoli wysychały, zwijając się w loki. Wyglądała tak delikatnie i krucho, że na jej widok aż zapierało mu dech w piersi. W tym ślicznym maleńkim ciele kryła się jednak wielka siła wewnętrzna, a takiemu zestawieniu Sam po prostu nie potrafił się oprzeć.

Zresztą nie tylko on był pod wrażeniem, sądząc po nerwowości Lauren. Wydawała się spłoszona, ale akurat nie bała się tego, że są ścigani, lecz tego, że znajdują się tylko we dwoje w tym domku - a przecież od kilku dni nieustannie przebywali razem i do tej pory ta bliskość jej nie przeszkadzała. Teraz jednak co chwilę rzucała na niego niespokojne spojrzenie, dłonie zaczęły jej drżeć. To dobrze, pomyślał, zadowolony, że nie męczy się w pojedynkę.

Ledwie skończyła jeść, zerwała się z miejsca.

- Skoro ty gotowałeś, to ja pozmywam - zadeklarowała ze sztucznym ożywieniem.

Z rozbawieniem obserwował, jak ona szybko zbiera naczynia i ucieka do części kuchennej, wyraźnie starając się od niego przynajmniej trochę oddalić. Mądrze postąpiła, gdyż trochę fizycznego dystansu dobrze by im obojgu zrobiło, jednak Sam akurat był w przekornym nastroju. Już samo to, że

próbowała uciekać, rozпалиło w nim męski instynkt łowcy. Podniósł się od stołu.

- Pomogę ci.

- Nie, tak będzie niesprawiedliwie.

- Naprawdę nie ma sprawy.

- Ale mógłbyś w tym czasie... - machnęła ręką w kierunku, w którym, jak sądziła, była szopa - ...zrobić to coś przy skuterach.

- Nie ma z tym pośpiechu. - Postawił swój brudny talerz na blacie, odwrócił się do Lauren i zajrzał jej głęboko w oczy. - Trochę tu jeszcze pobędziemy...

- Ale...

Położył jej palec na wargach i poczuł, jak zadrżały, na co w jednej chwili przeszło go pożądanie i skupiło się w dole brzucha, gorące, ciężkie. Zacisnął zęby, próbując zachować panowanie nad sobą, inaczej porwałby ją w ramiona.

- Żadnych dyskusji.

Zdziwiona jego poważnym tonem, skinęła głową i bez słowa wzięła się za zmywanie, tymczasem Sam do końca posprzątał ze stołu, a potem sięgnął po ściereczkę kuchenną, stanął przy Lauren i zaczął wycierać czyste już naczynia. Zerknęła na niego z wyraźnym popłochem w oczach.

- Nie trzeba, same wyschną.

- Wolę wytrzeć i od razu schować.

Dzięki temu, że wyjmował Lauren z rąk umyte talerze, a potem wstawiał je do szafki ponad jej

głową, mógł napawać się słodkim, świeżym zapachem, patrzeć, jak prawie już suche lśniące włosy opadają na delikatne ramiona jedwabistą falą, w której pragnął zanurzyć twarz.

Przez kilka minut pracowali w milczeniu. Już kończyli, Lauren właśnie podawała Samowi ostatnią szklankę, gdy poczuła, jak ta wyslizguje jej się z mokrych palców.

- Och!

Sam chwycił dłoń Lauren, zamykając ją mocno na szklance.

- Mało brako...

Urwała, napotykać płonące spojrzenie czarnych oczu, a wtedy w jej wzroku pojawiły się zdumienie i obawa. I coś jeszcze.

Sam uniósł drugą dłoń i pogładził opuszkami policzek Lauren. Zadrżała lekko pod tym delikatnym dotykiem, lecz nie próbowała się cofnąć.

- Jesteś taka piękna - rzekł cicho, a jego palce powędrowały dalej i dotknęły kącika ust. Gdy zadrżała jeszcze bardziej, zrobiło mu się gorąco. - Taka piękna - powtórzył niemal niesłyszalnym szeptem.

Powoli, bardzo powoli odebrał jej szklankę, odstawił na leżącą na blacie ściereczkę, potem ujął w dłoń twarz Lauren, zatopił wzrok w zielonych oczach. Chwyliła go za nadgarstki mokrymi dłońmi, poczuł przez koszulę ich wilgoć. Czekał, lecz ona wcale nie starała się odsunąć jego rąk od

swojej twarzy, tylko patrzyła na niego bezradnym wzrokiem, mając lekko uchylone usta, oddychając płytko. W tym spojrzeniu mógł wyczytać niepewność, tęsknotę, lęk - a przede wszystkim takie samo palące pożądanie, które trawiło i jego.

Kiedy przeniósł spojrzenie na miękkie, nieumalowane wargi, bezwiednie rozchyliły się odrobinę bardziej, co okazało się ponad siły Sama.

- Lauren... - wyszeptał pieszczotliwie, zamknął oczy, pochylił głowę i pocałował ją.

Jęknęła cichuteńko, na poły z rozpacz, na poły na znak poddania. Nie mogła się bronić w żaden sposób, przepadła w momencie, gdy jej dotknął. Było jej aż słabo z pożądania.

Ale dlaczego, pomyślała, chociaż jednocześnie oddała pocałunek. Czemu właśnie on musiał wyrzeć na niej takie wrażenie? Powinna czuć niechęć i oburzenie, a nie dygotać z pragnienia. Od początku traktował ją szorstko, chwilami nawet opryskliwie, nie miała powodów, by go przynajmniej lubić. Od dwóch lat twardo odrzucała zaloty zainteresowanych nią mężczyzn, niezależnie od tego, jak byli przystojni, czarujący, inteligentni, wyrafinowani, a także bogaci. Po prostu nie była zainteresowana. Czemu więc ten małomówny twardeł dosłownie ściął ją z nóg?

Dosłownie, ponieważ poczuła, jak kolana uginają się pod nią. Na szczęście Sam szybko otoczył ją ramionami i mocno przyciągnął do siebie,

splotła wtedy dłonie na jego szyi i zatoneła w tym rozkosznym pocałunku. Fala gorąca wezbrała gdzieś w jej brzuchu i rozlała się szeroko po całym ciele, zmysłowo pulsując w żyłach.

Widać tego potrzebuję, powiedziała sobie, wkładając w pocałunek całą siebie. Od blisko tygodnia miała jakiś lodowaty supeł w żołądku, próbowano ją zabić, ścigano, przeżyła katastrofę samolotu, śmiertelnie niebezpieczną wspinaczkę, morderczy marsz przez góry w środku zimy, potrzebowała więc wreszcie znowu poczuć, że żyje, a bycie pożądaną i odczuwanie rozkoszy stanowiły chyba najlepszy dowód z możliwych...

Poczuła, jak Sam ugina kolana, bierze ją na rękę, niesie do sypialni, pada z nią na łóżko, biorąc na siebie cały ciężar upadku. Obrócił się potem, by Lauren znalazła się pod spodem i dopiero wtedy oderwał usta od jej warg. Podparł się na łokciach, uniósł głowę, spojrzał na leżącą pod nim Lauren, która zamarła, widząc wyraz jego oczu. To było czyste, nagie pożądanie. Nigdy nie widziała czegoś podobnego.

- Jeśli tego nie chcesz, powiedz teraz - odezwał się zmienionym głosem.

- To... to zupełne szaleństwo.

- Wiem aż za dobrze. Ale czy chcesz, żebym przestał?

- Ja...

Zagryzła dolną wargę, rozdarta między rozsąd-

kiem a pragnieniem. Powinna powiedzieć, że tak, że ma przestać. Angażowanie się w jakikolwiek związek z Samem tylko niepotrzebnie skomplikowałoby i tak wystarczająco trudną sytuację. Nie miała zwyczaju postępować impulsywnie, byłaby głupia i nieodpowiedzialna, gdyby to zrobiła. Jeśli ulegnie, niechybnie tego pożałuje.

Oczywiście o ile zdoła dożyć tej chwili, w której będzie mogła pożałować...

Ta myśl uderzyła ją i naraz kochanie się z Samem przestało wydawać się głupie, przeciwnie, stało się koniecznością. Potrzebowała jego pieśczęt, jego dotyku, potrzebowała poczuć - chociaż przez chwilę - że jest dla kogoś ważna. Skoro ścigali ją płatni zabójcy i w każdej chwili mogła zginąć, to zastanawianie się, czy coś jest aby na pewno rozsądne lub przyzwoite, naprawdę nie miało sensu. W takiej sytuacji należało czerpać z życia obiema garściami, jeśli wciąż oferowało taką szansę.

- Chcę... - Mocniej splotła dłonie na jego karku. - Kochaj się ze mną, Sam.

Ledwie to powiedziała, już całował ją znowu, namiętnie i chciwie, zupełnie jakby chciał ją pożreć. Zareagowała równie gwałtownie, powodowana dwoma potężnymi, bliźniaczymi uczuciami - fizycznym pożądaniem i strachem przed śmiercią.

Sam uniósł głowę, a gdy Lauren próbowała

przyciągnąć go z powrotem do siebie, nie pozwolił na to.

- Spokojnie - odezwał się łagodnie. - Spokojnie, maleńka. Nie będziemy się spieszyć. Zadręczałem się całymi dniami, wyobrażając to sobie bez końca, dlatego nie zamierzam teraz tego popsuć.

Prawie nie słuchała, z desperacją zaczęła mu rozpinać guziki od koszuli.

- Nie, Sam, proszę...

- Ćśśś... Wiem, dziecinko. Wiem. Ale zaufaj mi. Dobrze?

Jęknęła i próbowała go przytrzymać przy sobie, lecz odsunął się i wstał z łóżka. Rozebrał się pospiesznie, ani na moment nie odrywając spojrzenia od Lauren, a potem położył się obok i ignorując jej wysiłki, by znów go do siebie przyciągnąć, oparł się na łokciu, ujął koniec zawiązanego na luźną kokardę paska od szlafroka i pociągnął.

Znieruchomiła i aż wstrzymała oddech na widok wyrazu jego twarzy. Supeł rozluźniał się powoli, wreszcie rozpadł się, a Sam z uśmiechem i bez pośpiechu rozsunał poły szlafroka.

Zapatrzył się, czarne oczy połyskiwały niczym obsydian. Uśmiech znikł z jego twarzy, która stała się poważna i napięta.

- Przepiękna... - szepnął.

Niemal z nabożeństwem wyciągnął rękę, by jej

dotknąć, lecz w ostatniej chwili obrócił dłoń wnętrzem do góry i przejechał kostkami po skórze Lauren od nasady szyi aż po linię gęstych, kręconych włosów u zbiegu ud.

Ten dotyk, leciutki jak muśnięcie piórkiem, zdawał się zostawiać za sobą rozżarzony ślad, przynajmniej Lauren tak to odczuwała. Aż zadrżała z wrażenia, a ta reakcja z miejsca rozpałała Sama. Z nagłym błyskiem w oczach zamknął palce na jednej krągłej piersi, zaczął ją gładzić, pieścić, drażnić, a gdy sutek stwardniał i stanął jak na baczność, Sam zapatrzył się na niego wzrokiem człowieka umierającego z głodu.

Jęknęła, kiedy przywarł ustami do jej piersi. Zanurzyła palce w kruczoczarnych włosach, przytuliła go mocniej do siebie, a wtedy zaczął ssać - powoli i tak zmysłowo, że myślała, że oszaleje z rozkoszy. Ta słodka tortura trwała i trwała, potem Sam porzucił mokry, wyprężony sutek i w taki sam sposób zajął się drugim, stopniowo doprowadzając Lauren niemal na krawędź obłądzenia, gdyż było to tak cudowne, że aż nie do zniesienia.

Wreszcie dał jej chwilę wytchnienia.

- Lubisz tak? - spytał, unosząc głowę.

- Luubię...

Przejechał czubkiem języka między jej piersiami.

- A tak?

Z błogością zamknęła oczy.

- Teeż...

Niespiesznie smakował jej ciało, całując, liżąc, chwytając wargami, przesuając się coraz niżej, tymczasem jego dłoń błędziła po brzuchu Lauren, potem po biodrach, udach - i z powrotem. Przeciągnął językiem dookoła pępka, dmuchnął na mokre ciało, a potem zaatakował sam pępek, w sugestywnym rytmie uderzając z niego językiem.

- A to ci się podoba?

- Tak...

- A to? - spytał i naraz jego głowa przesunęła się jeszcze niżej.

Lauren mocno wczepiła palce w jego włosy, wygięła się w luk, zadygotała.

- Tak, o tak! Och... Och, Saaam!

Mruknął z satysfakcją, gdy wyczuł, że ona zaraz eksploduje, szybko ułożył się między jej nogami i wszedł w Lauren jednym błyskawicznym ruchem. Aż jęknął, gdy zacisnęła się wokół niego w słodkim skurczu, lecz zacisnął zęby i zaczął się poruszać w wolnym, równomiernym rytmie, intensyfikując przyjemność do takiego poziomu, że prawie przechodziła w ból.

Delikatne pulsowanie, przebiegające ciało Lauren, zamarło w końcu, rozluźniła się, jej twarz przybrała rozmarzony wygląd. Sam uśmiechnął się z typowo męską satysfakcją, lecz nie zamierzał jeszcze dawać jej odpocząć.

- Opleć mnie nogami, dziecinko.

Leniwie zrobiła, o co poprosił, oparła dłonie na muskularnych ramionach, cały czas mając zamknięte oczy i błogi wyraz twarzy. Sam przyspieszył, uderzenia stały się mocniejsze, bardziej natarczywe i wkrótce twarz Lauren znowu stała się napięta, jej dłonie mocno chwyciły za ramiona Sama, paznokcie wbiły się w ciało, biodra uniosły, by mogła lepiej przyjmować kolejne pchnięcia, brać go głębiej w siebie.

- Jesteś... taka... ciasna.

- Sam, ja... - Naraz rzuciła głową po poduszce i gwałtownie otworzyła oczy. - Och, och! Sam!

- Tak! - brzmiało to jak warknięcie, gdyż mówił przez zaciśnięte zęby. - Dalej, dziecinko. No chodź!

Wyprężyła się, wydała nieartykułowany okrzyk. Sam przywarł ustami do szyi Lauren, poczuł zmysłową wibrację, poczuł, jak Lauren konwulsyjnie zaciska się wokół niego i jeszcze nim ucichła, osiągnął kres swojej wytrzymałości. Wstrząsnął nim potężny dreszcz i Sam również wykrzyknął z rozkoszy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Leżała, pławiąc się w rozkosznej błogości, niczego się nie bojąc, o nic się nie martwiąc, o niczym nie myśląc, czując się zupełnie wolna. Stopniowo jednak zaczęło jej wracać poczucie rzeczywistości, które wytrąciło ją z przyjemnego letargu. Uniosła ciężkie jak z ołowiu powieki i wbiła wzrok w sufit ponad nagim ramieniem Sama.

Boże wielki, co ona zrobiła najlepszego?!

Sam poruszył się i sturlał się z Lauren. Korzystając z okazji, odsunęła się na brzeg łóżka, lecz nie zdołała uciec, gdyż Sam otoczył ją ramieniem i z powrotem przyciągnął do siebie.

- Hej, nie tak szybko. Ty dokąd?

- Puść mnie.

Zignorował to żądanie, obrócił Lauren na plecy i nachylił się nad nią, opierając się na łokciu. Zmarszczył brwi, gdy odwróciła wzrok.

- Co się dzieje, u licha? Coś nie w porządku? Słyszając to, z irytacją spojrzała mu w oczy.
- Jeszcze pytasz? To chyba oczywiste.
- Nie dla mnie, więc może lepiej mi wyjaśnij.
- To jest nie w porządku. - Wykonała dłonią gest, obejmujący ich dwoje.

Nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią dalej, aż Lauren z jękiem zakryła twarz dłońmi.

- Co za idiotka! Jak mogłam do tego dopuścić? Jak mogłam kochać się z kimś, kogo dopiero co poznałam? I to w dodatku z tobą!

Zesztywniał.

- Rozumiem. Jak mogłaś pozwolić się tknąć mieszkańcowi, tak?

- Co? - Opuściła ręce i spojrzała na niego ze zdumieniem, a gdy dotarło do niej, w czym rzecz, aż przewróciła oczami. - Och, nie wygaduj takich bzdur! Twoje indiańskie pochodzenie nie ma tu zupełnie nic do rzeczy.

- No to w czym problem?
- W tym, że przespałam się z kimś, kto mnie nawet nie lubi. Chyba zgłupiałam.
- Lubię cię.
- Akurat! Dla ciebie jestem kochanką gangstera.
- Coś ty, już dawno przestałem tak myśleć.

Wystarczyło trochę z tobą pobyc, żeby zrozumieć, że ty w ogóle nie nadajesz się na utrzymankę.

- A to dlaczego? - prychnęła, dziwnie urażona tym stwierdzeniem.

- Jesteś na to zbyt inteligentna i zbyt niezależna. Rozbroił ją tym w jednej chwili.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Nie mógł powiedzieć nic innego, co sprawiłoby jej większą przyjemność, niemniej nie do końca mu dowierzała. Zerknęła na niego z ukosa.

- Skoro to prawda, to czemu traktowałeś mnie tak okropnie?

- Właśnie po to, żeby nie dopuścić do tego, co się przed chwilą zdarzyło.

- Dziękuję ci bardzo, niezmiernie miło mi to słyszeć. Jeśli wcale tego nie chciałeś, to czemu...

- Z pewnymi rzeczami nie da się walczyć. Próbowałem, daję słowo. Wmawiałem sobie niechęć do ciebie, w duchu nazywałem cię dziwką i pasożytem, ale nic nie pomagało, pragnąłem cię dalej.

- Słucham...

- Kiedy tylko zobaczyłem cię w pokoju przesłuchań, kiedy chodziłaś od ściany do ściany w podartej sukience i pończochach, z miejsca byłem trafiony, zatopiony. I ty też musiałaś coś poczuć, inaczej nie leżelibyśmy teraz razem w łóżku,

Zdumiała się. Czy to możliwe, by miał rację? Owszem, na jego widok przeżyła coś dziwnego, lecz była wtedy zbyt przybita i przerażona by analizować swoją reakcję i uznała ją za przejaw odruchowej antypatii.

- Co do leżenia... Nie wiem, czy uwierzysz, ale nie mam zwyczaju sypiać, z kim popadnie.

- Wiem. - Jego spojrzenie złagodniało. Powiódł palcem po policzku Lauren. - Od dawna nikogo nie miałaś, prawda?

Zaczerwieniła się, odwróciła oczy.

- Od rozstania z Collinem - przyznała cicho. I przedtem też nikogo nie miałam, dodała w myślach.

- Czemu?

- Dziwię się, że pytasz. Po tym, co mi zrobił?

- Dobra, facet okazał się draniem i złodziejem, ale to nie powód, żeby unikać seksu.

- Nie unikałam seksu, po prostu nie chciałam, żeby znowu ktoś mnie zranił. Czy możemy zostawić ten temat?

- Nie. Jeszcze nie. - Obrócił jej twarz ku sobie.

- Posłuchaj, jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy są tylko we dwoje i razem dużo przeszli. Dodaj do tego silne wzajemne pożądanie i zrozumiesz, że to, co się stało, było nieuniknione. Nie masz się o co obwiniać. W sytuacjach zagrożenia ludzie w naturalny sposób zwracają się ku sobie.

Patrzyła na niego w milczeniu, jednocześnie czując ulgę i urazę. Nie mógłby jaśniej dać do zrozumienia, że zupełnie nic ich nie łączy, jedynie czyste pożądanie oraz zwykła potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem. Ale przecież po Samie nie mogła spodziewać się niczego innego, zresztą

niczego innego też nie chciała, tyle tylko, że to wyjaśnienie było takie... takie... bez serca.

- I co na to powiesz? - Pytająco uniósł brew.

- Zgadzasz się ze mną?

- Chyba tak.

- To dobrze. - Pochylił głowę i zaczął składać pocałunki na jej obojczyku, jeden obok drugiego.

- Co robisz? Przestań.

- Czemu? Przecież nadal siebie pragniemy.

- Pocałunki niespiesznie zawędrowały na szyję Lauren. - Żadne z nas nie jest związane z nikim innym. Nie wiemy, co nas czeka. Czemu więc odmawiać sobie przyjemności, której możemy ze sobą zaznać?

Znowu odniosła wrażenie, że te gorące usta zostawiają za sobą ognistą ścieżkę na jej skórze, a w takich warunkach nie potrafiła się skupić i podać żadnego powodu, dla którego nie powinni tego robić. W dodatku dłoń Sama odnalazła jej pierś, co zupełnie nie sprzyjało racjonalnemu myśleniu. Lauren aż jęknęła gardłowo, gdy zaczął zachęcająco pocierać kciukiem o jej sutek, ale próbowała zachować przynajmniej resztki przytomności, chociaż czuła rozprzestrzeniającą się po ciele falę gorąca.

- Sam, nie sądzę, żeby...

- To nie sądz. Nie myśl. Poddaj się - zażądał chrapliwym głosem.

Zabrzmiało to tak seksownie, że aż dostała gęsiej skórki z wrażenia.

- Nie... nie powinniśmy... - starała się zaprotestować ostatkiem sił, lecz wtedy mocna dłoń wsunęła się między jej nogi i Lauren przepadła.
- Och, Sam...

Godzinę później przebudził się z lekkiej drzemki, gdy Lauren poruszyła się w jego objęciach. Westchnęła błogo przez sen i wygodniej oparła głowę na torsie Sama, który uśmiechnął się leciutko. Podczas gdy na jawie najczęściej zachowywała ostrożność i dystans, przez sen tuliła się jak seksowny kociak. Pieszczotliwie potarł brodą o czubek jej głowy. Dziwne, pomyślał nieco sennie. Nigdy przedtem nie miał ochoty na przytulanie kobiety po seksie. Owszem, zazwyczaj to robił, ponieważ nie chciał zranić uczuć partnerki, lecz przez cały czas miał ochotę zwiać, ponieważ czuł, że się dusi.

Tymczasem z Lauren leżało mu się bardzo dobrze, ich ciała tak pasowały do siebie, że najchętniej w ogóle nie wypuszczałyby jej z objęć. Przestał się uśmiechać, ściągnął brwi, nieco zaniepokojony tym odkryciem. Co takiego było w tej kruszynie, że czyniło ją inną od wszystkich pozostałych kobiet?

Otworzył oczy, jego spojrzenie padło na okno.

- A niech to!

Usiadł gwałtownie, zrzucając z siebie Lauren.

- Co się...

Wyskoczył z łóżka, wskoczył w bokserki.

- Wstawaj, ale już! Szybko, wynosimy się stąd! - Skakał na jednej nodze, wciągając kalessony i przeklinając się za głupotę. - Do diabła, Rawlins, chyba ci rozum odjęło! Zamiast tarzać się po łóżku całe popołudnie, trzeba było przygotować skutery!

Lauren usiadła, zakrywając piersi kołdrą.

- Sam, co się dzieje?

- Przestało padać!

- Co?! - Gwałtownie obróciła głowę ku oknu.

- Ale przecież śnieżycy miała trwać do jutra.

- Może to chwilowe przejaśnienie, może wiatr zmienił kierunek, a może synoptyk się pomylił. Cokolwiek się stało, musimy się zbierać. Nie wiem, kiedy przestało padać, ale na pewno nasi przyjaciele wyruszyli w drogę, nie czekając, aż spadnie ostatni płatek śniegu.

Zarepetował pistolet, wsadził go do kabury, chwycił torbę, rzucił ją Lauren.

- Szybko znajdź sobie jakieś czyste rzeczy, zabieram torbę i plecak, żeby przymocować je do skuterów.

- Ale ja nigdy nie jeździłam skuterem śnieżnym - wyznała. - Nie mam pojęcia, jak to się robi.

- Nie szkodzi, skoro potrafisz prowadzić samochód, poradzisz sobie i ze skuterem.

Skończył się ubierać, zasznurował mokasyny, naciągnął czapkę na głowę, zabrał plecak, torbę, przewiesił strzelbę przez ramię.

- Gdy tylko się ubierzesz, przyjdź do szopy za domem. - Na chwilę zatrzymał się w progu i ostrzegawczo wycelował w nią palec. - Aha, nie próbuj tu niczego po nas sprzątać! Nie mamy ani sekundy do stracenia.

W szopie przywiązał plecak do skutera, którym miała jechać Lauren, ponieważ plecak był sporo cięższy od torby, dzięki czemu mógł posłużyć jako balast i sprawić, że skuter będzie stabilniejszy. Do drugiego przymocował torbę i właśnie opróżniał bak jednego z pozostałych dwóch, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Podniósł głowę. Z lasu wynurzyło się trzech mężczyzn z gotową do strzału bronią, znajdowali się jakieś czterdzieści metrów od domku.

Klnąc cicho pod nosem, błyskawicznie schował się za drzwiami, ściągnął strzelbę z ramienia, a potem wyrżał ostrożnie. Przywódca dał znak ręką i mężczyźni rozdzielili się, jeden ruszył ku szopie, dwaj w stronę domu.

- Cholera.

Sam cofnął się, przywarł plecami do ściany, jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Musiał dostać się do Lauren, ale w tym celu najpierw musiał pozbyć się tego zbira, który szedł do szopy. Nie mógł go po prostu zastrzelić, bo zaalarmowałby pozostałych.

Ujął strzelbę za lufę i czekał, trzymając ją oburącz jak maczugę. Słyszał chrzęst śniegu pod

butami tamtego. No chodź, ponaglił go w myślach. Chodź, skurwielu.

Kroki zatrzymały się przed samym wejściem, zapadła pełna napięcia cisza. Nagle tamten wskoczył do środka, jednocześnie obracając się w lewo, lufa jego broni znalazła się dokładnie na wysokości piersi Sama. W oczach napastnika mignęło zaskoczenie i ten ułamek sekundy wystarczył Samowi, który z całej siły zdzielił mężczyznę kolbą w twarz, nim tamten zdążył nacisnąć spust.

Rozległo się głucho stęknienie, z nosa i ust mężczyzny popłynęła krew, zwałił się na ziemię. Sam odciągnął go do kąta, zerwał mu narciarskie gogle i rozpoznał swojego kolegę z FBI.

- Wayne Pickens? Ty kanalio!

Nie miał jednak czasu na gniew, więc pośpieszył ku wejściu, wyrżał ostrożnie i zobaczył, jak tamci dwaj znikają za rogiem domu, kierując się ku drzwiom frontowym. Wbił wzrok w tylne drzwi, modląc się, by otworzyły się jak najszybciej. Do diabła, Lauren, gdzie jesteś?

Ponieważ się nie pojawiła, nie miał wyboru. Wybiegł z szopy.

Wyszła z sypialni, zapinając po drodze kurtkę i zamarła dosłownie krok za progiem.

- O Boże!

Widziała przez ozdobną szybę w drzwiach wejściowych, jak dwaj mężczyźni skradają się

właśnie po schodkach od frontu. Spojrzała w stronę tylnych drzwi. Nie ma siły, nie zdąży do nich dobiec, zanim napastnicy wedrą się do środka. Błyskawicznie zawróciła do sypialni, zamknęła drzwi i odkryła ze zgrozą, że nie mają zamka. Rozejrzała się, zauważyła krzesło z wysokim oparciem i wepchnęła je pod klamkę w tym samym momencie, gdy tamci wpadli do domu.

Podskoczyła, wydała zdławiony okrzyk. Przerażona, przestała myśleć, zaczęła działać instynktownie, powodowana jednym pragnieniem - znaleźć Sama. Sam ją obroni. Podbiegła ku oknu i nawet nie próbując zachować ciszy, gwałtownie otworzyła je na oścież. Coś uderzyło o drzwi sypialni, ale klamka nie puściła. Bezwiednie szlochając ze strachu, Lauren usiadła na parapecie, znajdującym się niecałe dwa metry nad ziemią i zeskoczyła. Zapadła się po kolana w śnieg, potknęła, przewróciła, lecz zaraz już z determinacją brnęła w stronę szopy. Parła przed siebie niczym szalona, więc wypadła zza rogu dość szybko i uderzyła o coś twardego. O męski tors.

Krzyknęła, lecz dłoń w rękawiczce niemal natychmiast zakryła jej usta.

- To ja, Sam.

Zacisnęła palce na jego kurtce.

- Tam są... dwaj ludzie w środku... - wydyszała, z trudem łapiąc oddech.

- Wiem. Chodźmy! - Otoczył ją ramieniem i pomógł jej dobiec do szopy.

Za ich plecami rozległ się hałas, tamci wreszcie zdołali wyważyć drzwi sypialni. Lauren i Sam na szczęście zdążyli zniknąć w szopie, gdy ktoś wyrzwał przez otwarte okno.

- Pickens, znalazłeś coś?

- Nie, nikogo tu nie ma! - odkrzyknął Sam.

Ledwie tamten schował się z powrotem, Sam wypchnął na zewnątrz jeden ze skuterów.

- Ponieważ nie ma czasu na naukę, pojedziesz ze mną - oświadczył, chwycił Lauren, podniósł, jakby nic nie ważyła, posadził z tyłu, wskoczył za kierownicę, uruchomił motor, którego ryk natychmiast wywabił napastników na tylną werandę.

- Trzymaj się!

Lauren przywarła do pleców Sama, obejmując go w pasie, spod tylnych gąsienic trysnęły fontanny śniegu i skuter wystrzelił do przodu, ślizgając się na płozach. Sam błyskawicznie skręcił za szopę, ułamek sekundy później rozległa się seria z karabinu maszynowego. Lauren jęknęła, zacisnęła powieki, przytrzymała się mocniej.

Sam prowadził jak szalony. Pędząc w dół doliny, podskakiwali na muldach, wymijali głązy, drzewa, doły, parę razy skuter wyskoczył na pokrytym śniegiem skalnym progu jak na skoczni i leciał w powietrzu. Po paru minutach Lauren otworzyła oczy, ostrożnie uniosła głowę i rozejrzała się po bajkowej scenerii. Udało im się uciec! Nie mogła w to uwierzyć. Żyli.

Ledwie zaczęła się trochę uspokajać, usłyszała charakterystyczny terkot karabinu maszynowego i na prawo od skutera śnieg poznały ślady po kulach. Zerknęła przez armię i znów ogarnęła ją zgroza.

- Jadą za nami! - wrzasnęła, by przekrzywić silnik. - Dwaj mężczyźni na dwóch skuterach! Miałeś wylać benzynę!

- Nie zdążyłem dokończyć! - odkrzyknął. - Opróżniłem jeden bak i trzy czwarte drugiego!

Wyminął potężny jesion, w który zaraz trafiła seria z karabinu. Lauren pisnęła, gdy posypał się deszcz drzazg i odłamków kory, wtuliła twarz w plecy Sama i siedziała tak, dopóki nie poczuła, że zaczynają wjeżdżać pod górę. Nie wytrzymała, obejrzała się.

- Doganiają nas!

- Wiem! Ich skutery nie są podwójnie obciążone!

Stok stał się stromy, silnik zaczął wyć, skuter zwolnił. Lauren bała się, że za chwilę w ogóle zaczną się zsuwać do dołu i że lada moment przeszyją ich kule, ale po chwili zorientowała się, że napastnicy przestali strzelać. Obejrzała się i zrozumiała, w czym rzecz - oni też mieli trudności z wjechaniem pod górę, więc musieli na razie skupić się wyłącznie na prowadzeniu. Niestety, odległość między nimi ciągle się zmniejszała.

- Dogonią nas!
- A w życiu!

Na ostatniej stromiźnie skuter nie dawał już rady, lecz Sam jakoś zmusił go do wjechania pod górę, na przemian zwracając się do niego pieszczotliwie jak do zwierzęcia, na przemian klnąc, na czym świat stoi. Wreszcie wyskoczyli na przełęcz i jak na skrzydłach popędzili w dół, zjeżdżając w kolejną dolinę.

Lauren zauważyła, że nie kierują się prosto w poprzek doliny do jej wylotu, co byłoby najkrótszą drogą, lecz zataczają łuk, jadąc po zboczu potężnej góry pod wielkim nawisem śniegu.

- Co robisz? Czemu jedziesz naokoło? - wrzasnęła.

Sam nie odpowiedział i dalej robił swoje. Kiedy się obejrzała, potwierdziły się jej najgorsze obawy, gdyż tamci też zdołali dotrzeć na przełęcz i właśnie zjeżdżali w dolinę, znowu przybliżając się do uciekających. W połowie stoku jeden z nich zatrzymał się jednak.

- Jeden stanął!
- Zabrakło mu benzyny - odkrzyknął Sam.

Drugi zjechał w dolinę i oczywiście popędził w poprzek niej.

- Boże, ten drugi nas dopadnie!

Jakby na potwierdzenie jej słów, zabójca otworzył ogień. Większość kul uderzyła w śnieg, lecz kilka trafiło w tył skutera. Lauren nie zdołała

powstrzymać krzyku. Ku jej absolutnemu przerażeniu Sam zakręcił nagle i zatrzymał się przodem do nadjeżdżającego.

- Co robisz? Zwariowałeś? Wystrzela nas jak kaczkę!

- Uspokój się - rozkazał Sam.

Nie odrywając wzroku od prześladowcy, poderwał strzelbę do ramienia, wycelował i czekał, nieruchomy jak skała.

- Strzelaj! Strzelaj! - krzyczała Lauren.

Nawet ona swoim niewprawnym okiem widziała, że strzelba Boba Hallorana to znakomita broń o bardzo dużym zasięgu. Czemu Sam zwlekał i dopuszczał tamtego bliżej? Zabójca jechał prosto na nich. Kierując jedną ręką, drugą podniósł karabin, a na ten widok Lauren z całej siły przycisnęła dłoń do ust, żeby nie zacząć krzyczeć z przerażenia. Już po nich.

Nagle Sam błyskawicznym ruchem wycelował winchestera zupełnie gdzie indziej i strzelił w potężny nawis śniegu u szczytu góry. Rozległ się złowieszczy odgłos, jakby góra ryknęła, po czym tony śniegu, lodu i kamieni runęły w dół.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Na widok sunącej ku nim lawiny w oczach Lauren pojawiła się zgroza.

- Pochłonie nas!
- Nie! Trzymaj się!

Skuter znów skoczył do przodu niczym koń wyścigowy wypadający na tor z właśnie otwartego boksu. Silnik wył na najwyższych obrotach. Lauren rozpląszczyła się na plecach Sama, za sobą słyszała coraz głośniejszy ryk. Lada moment zostaną pogrzebani żywcem.

Wcale nie chciała patrzeć na zbliżającą się śmierć, ale ciekawość - a może wręcz niezdrowa fascynacja - przeważała. Lauren spojrzała w górę i zobaczyła pędzącą potężną białą falę, która łamała drzewa na stoku jak zapałki. Odwróciła głowę, by sprawdzić, gdzie jest zabójca. Nie ścigał ich już, pędził z powrotem, próbując ocalić życie,

a wtedy Lauren zrozumiała, że Sam wyczekał do momentu, gdy tamten znajdował się dokładnie na środku drogi, którą miała zejść lawina. Teraz to prześladowca musiał uciekać, ale nie miał szans. Lauren patrzyła, jak ryczący biały potwór dogania go i skacze mu na plecy.

Sam gnał przed siebie jak szalony, by nie dosięgnęło ich czoło lawiny, która była tuż-tuż. Kawałki lodu wielkości pięści zaczęły bombardować skuter i boleśnie uderzać ich po nogach.

- Trzymaj się! - krzyknął Sam, usłyszawszy przerażony pisk Lauren. - Już się prawie udało!

Jeszcze przez jakieś sto metrów czuli uderzenia pecyn lodu i śniegu, wreszcie zdołali przegonić spowalniającą lawinę. A potem ryk umilkł i słychać było już tylko silnik skutera.

Zapadł już zmrok, gdy dotarli do kurortu. Zjechali po stoku, na którym kręciło się jedynie kilku najbardziej zapalonych narciarzy, a Sam poczuł, jak Lauren obejmuje go mocniej, gdy zbliżali się do jasno oświetlonych budynków. Domyślał się, że musiała mieć mieszane uczucia. Na pewno cieszyła się, wracając do cywilizacji po prawie całym tygodniu spędzonym w dzikiej głuszy, a jednocześnie bała się, czy ktoś jej przypadkiem nie rozpozna.

- Nie martw się. Wtopienie się w tłum to aktualnie najlepsze wyjście - zapewnił.

Powoli objechał dookoła cały ośrodek narciarski, wreszcie znalazł to, czego szukał, mianowicie mały parking dla skuterów śnieżnych. Używano ich w każdym ośrodku górskim, gdyż były nieodzowne podczas wszystkich akcji poszukiwawczych i ratunkowych. Kiedy się upewnił, że nikogo nie ma w pobliżu, wjechał na parking tak cicho, jak się dało i zatrzymał się w luce pomiędzy dwoma skuterami oznaczonymi logo ośrodka.

- Pamiętaj, zachowuj się zupełnie naturalnie - poinstruował, gdy zsiadli. - Mamy wyglądać jak para turystów, którzy wpadli tu na parę dni wypożyczenia.

Odczepił torbę, zarzucił ją sobie na ramię, objął Lauren i wyszedł na ulicę. Kurort przypominał małe europejskie miasteczko, więc skierowali się w stronę rynku, gdzie wmieszali się w tłum narciarzy i turystów.

- Co teraz? - spytała Lauren.

Sam zauważył tęskne spojrzenie, jakim obrzuciła właśnie mijaną restaurację. Od rana nic nie jedli, a całe ich zapasy zostały w plecaku, którego nie mieli już czasu odwiązać od drugiego skutera i zabrać ze sobą.

- Muszę wykonać parę telefonów.

Gwałtownie obróciła ku niemu głowę.

- Do kogo? Przecież mówiłeś, że nie możesz nikomu ufać.

- Spokojnie, nie zadzwonię do biura w Denver,

tylko do Eda Stanhope'a, o którym ci wspominałem. Jeśli ktokolwiek wie, co się dzieje, to właśnie on.

- Jesteś go pewien na sto procent?

Emanowała z niej nieufność, lecz Sam wcale się temu nie dziwił, zważywszy, przez co przeszli.

- Tak. Zresztą nie mamy wyboru, potrzebujemy pomocy.

Zagryzła wargi.

- Pewnie masz rację... Do kogo jeszcze chcesz zadzwonić?

- Do jednego z moich krewnych. Poproszę go, żeby przyjechał po nas.

- Myślisz o twoim ojcu?

Zacisnął zęby i twardo spojrział w pełne nadziei oczy.

- Nie. O moim wuju.

- Och... Rozumiem. On mieszka tu gdzieś niedaleko?

- Niezupełnie. Wuj i ciotka mieszkają szesnaścioro kilometrów od Monticello w stanie Utah, ich ranczo sąsiaduje z ranczem ojca. Przyjadą, gdy ich o to poproszę.

Widział po jej minie, że miała ochotę spytać, czemu nie zadzwoni po ojca, ale nie odważyła się zadać tego pytania. No i dobrze, bo nie miał czasu ani ochoty na dyskusję o swoich skomplikowanych relacjach rodzinnych.

Naprzeciwko nich szedł policjant, zaglądając

do sklepów, obserwując przechodzących. Sam pociągnął Lauren w kierunku najbliższej wystawy i udał, że coś jej pokazuje, dopóki stróż prawa ich nie minął.

- Czemu to zrobiłeś? - spytała szeptem.

- Na wszelki wypadek. Im mniej osób dobrze nam się przyjrzy, tym lepiej. - Poklepał się po kieszeniach kurtki. - Cholera, dałbym wszystko, żeby mieć przy sobie mój telefon komórkowy... - Zastanawiał się przez chwilę, po czym wziął Lauren pod rękę i skierował się w stronę najbliższego hotelu. - Wiem, co zrobimy. Wynajmiemy pokój i z niego zadzwonię. Poproszę wuja, żeby przyjechał po nas z samego rana. Kolację zamówimy do pokoju, żeby nigdzie nie chodzić i żeby jak najmniej osób nas widziało.

- Chcesz zameldować się w hotelu? A jeśli ktoś będzie nas tu szukał?

- Spokojnie, zamelduję się jako Roberto Montera i będę mówił z akcentem, z moim wyglądem bez problemu mogę udawać Latynosa. Mam kartę kredytową na fałszywe nazwisko, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebne. Dotąd go nie używałem, więc nikt nie ma o nim pojęcia i nie jest spalone. Chwilowo jesteś panią Montera, pamiętaj o tym.

Zostawił ją w holu przy stojaku z broszurkami, które miała niby to z zainteresowaniem przeglądać, ukrywając dzięki temu twarz, a sam

podszedł do recepcji. Lauren starała się udawać spokój, Sam wiedział jednak, jak straszliwie była zdenerwowana, gdyż ręce jej się trzęsły i prawie nie mogła w nich utrzymać broszurek o kurorcie. Oby tylko nikt tego nie zauważył.

Kiedy kilka minut później wrócił i dotknął jej ramienia, drgnęła gwałtownie.

- Spokojnie, to tylko ja. Chodź, mamy klucz.

Ujął ją za łokieć i zaprowadził do windy, po drodze przyglądając się bacznie jej bladej twarzy.

- Wszystko w porządku?

- Tak, nic mi nie jest.

Nie mówiła jednak prawdy, gdyż Sam czuł wyraźnie, że ona drży na całym ciele.

Kiedy znaleźli się tylko we dwoje w pokoju na trzecim piętrze, zamknęli drzwi na klucz i założyli łańcuch, Lauren ciężko oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

- Dzięki Bogu. Przez cały czas czułam się tak, jakbym miała na plecach wymalowaną tarczę strzelniczą.

Sam zdjął z niej kurtkę, ściągnął też swoją, rzucił obie na odłożoną na podłogę torbę, po czym bez słowa wziął Lauren w ramiona. Nie był pewien, czy nie będzie się opierała, lecz przytuliła się do niego z westchnieniem, obejmując go w pół.

- Och, Sam...

- Wiem, dziecinko. - Trzymając ją mocno, zaczął się uspokajająco kołysać. Oparł brodę na

czubku jej głowy, z przyjemnością czując jedwabisty dotyk włosów i kwiatowy zapach szamponu. - Nie było łatwo, ale świetnie sobie radzisz. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Chcę wrócić do mojego życia - poskarżyła się. - W porządku, w porównaniu z poprzednim nie było ekscytujące ani nie pozwalało mi się zrealizować, ale przynajmniej nikt nie próbował mnie zabić.

- Chętnie bym ci obiecał, że niedługo będzie po wszystkim, lecz nie zamierzam cię okłamywać. Agent lub agenci, którzy pracują dla Carla, nie odpuszczają, mają za dużo do stracenia.

Zadrzała.

- Wiem.

Ujął Lauren pod brodę, uniósł jej twarz.

- Ale jedno mogę ci obiecać z całą pewnością - odezwał się zmienionym głosem. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię ochronić.

Przesunął kciukiem po gładkim policzku, dotknął skraju ust. Wargi Lauren zadrzały w odpowiedzi, a serce Sama aż się dziwnie ścisnęło na ten widok. Przeniósł dłoń na jej kark, wsunął palce w jej włosy.

Powoli, niemal ze złością pochylił głowę, musnął wargi Lauren w leciuteńkim pocałunku, delikatnym jak dotyk motylego skrzydła, bezbrzeżnie czułym. Nawet gdy po chwili całował ją już naprawdę, dalej było to łagodne i niespieszne,

a niezwykła słodycz tego pocałunku podsyciła pożądanie Sama, który jednak nie zamierzał mu się tak łatwo poddawać, gdyż pragnął napawać się tą przejmującą przyjemnością jak najdłużej,

Lauren zareagowała na ten uwodzicielski pocałunek niczym kwiat otwierający się pod dotknięciem ciepłych promieni słońca i odpowiedziała z równie zniewalającą powściągliwością.

Powoli podeszli do łóżka i opadli na nie, oddając się dalszym pieszczotom.

- Pragnę cię - zamruczał Sam, składając pocałunek za pocałunkiem na jej szyi.

- Och, Sam, ja też cię pragnę - odszepnęła.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Szybko uporał się ze wszystkimi guzikami, suwakami i zapięciami, ubrania poleciały na podłogę, a kiedy już byli nadzy, zatopił płonący wzrok w oczach Lauren, oparł dłoń między jej piersiami i nacisnął, zmuszając ją do położenia się na wznak. Potem opuszkami palców zatoczył koła wokół jej piersi, powiódł palcami wzdłuż obojczyków, po żebrach, po brzuchu, zafascynowany jedwabistą gładkością skóry oraz tym, jak podniecający jest kontrast między jego silną brązową dłonią a tym jasnym, delikatnym ciałem.

- Sam? - Oparła mu dłonie na ramionach i przyciągnęła go do siebie, a chwilę potem wydała gardłowy jęk, gdy wziął w usta jeden różowy sutek i zaczął ssać.

Poznawali wzajemnie swoje ciała, pieścili, uwodzili się i doprowadzali się wzajemnie do obłędu, starając się jak najbardziej przedłużyć przyjemność. Wreszcie, gdy Sam pomyślał, że zaraz oszaleje, Lauren jęknęła błagalnie:

- Sam, proszę... Proszę, chodź.

Położył się między jej nogami, uniósł się nad nią na wyprostowanych ramionach.

- Spójrz na mnie - zażądał zmienionym głosem.

Kiedy posłuchała, wszedł w nią jednym gładkim, mocnym pchnięciem i oboje aż jęknęli z rozkoszy.

Słowa przestały być potrzebne. Sam kochał się z Lauren powoli i żarliwie, mówiąc jej wzrokiem, dotykiem, całym ciałem wszystko to, czego nie potrafił przekazać słowami. W pokoju słychać było tylko westchnienia, szelest prześcieradła i rytmiczne poskrzypywanie sprężyn, gdy kochali się z przejmującą słodyczą, dotykającą najczulszych strun w duszy.

Potem zabrzmiały dwa okrzyki rozkoszy.

Przez kilka długich minut leżeli bez ruchu, ich serca powoli zaczynały bić w normalnym rytmie, oddechy uspokajały się. Nagle ku zaskoczeniu Lauren Sam podniósł się i porwał ją na ręce.

- Co robisz? - pisnęła.

- Pora wziąć prysznic.

Zaniósł ją do łazienki, postawił w przeszklonej kabinie prysznicowej i wszedł tam za nią.

- Sam, to jest nieprzyzwoite - zaprotestowała, kiedy sięgnął po mydło i zaczął ją myć, lecz ten protest nie zabrzmiał do końca przekonująco.

- No to co? Masz powody do narzekania?

- Ujął obie jej piersi namydlonymi dłońmi i zaczął lekko pieścić.

Na moment zapało jej dech, potem przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

- N-nie...

Wkrótce oboje byli cali w pianie i myli się nawzajem, z lubością przesuwając dłońmi po swoich ciałach niespiesznie i zmysłowo, co nieuchronnie doprowadziło ich na nowo do stanu wrzącego pożądania, więc niewiele później Lauren stała oparta plecami o szklaną szybę, z jedną nogą przerzuconą przez ugiętą, podtrzymującą ją rękę Sama, a on rytmicznie poruszał biodrami. Woda z prysznicza leciała na nich jak ciepły deszcz, dookoła unosiła się para.

- Mmm, to było naprawdę dobre. - Odchyliła się na oparcie krzesła i przytknęła do ust lnianą serwetkę. - Nie miałam pojęcia, że aż tak zgłodniałam.

- Miałaś powody, dla których zaostrzył ci się apetyt - zauważył Sam, patrząc jej prosto w oczy.

Zarumieniła się lekko, lecz nie spuściła wzroku. Do licha, ona jest naprawdę pierwsza klasa, pomyślał. W jednej chwili namiętna i seksowna, w na-

stępnej skromna i powściągliwa, ale zawsze dzielna i zdeterminowana.

Wstała, mocniej zawiązała hotelowy szlafrok, sięgnęła po rączkę stolika na kółkach, na którym przywieziono im kolację.

- Tak, rzeczywiście mam za sobą wyczerpujący dzień. Wystawię stół na korytarz, myję zęby i kładę się. Czuję, że mogłabym spać przez cały tydzień.

- Dobrze, zbieraj się do spania, ja tymczasem zadzwonię.

Wyłowił z portfela kartkę z domowym numerem Eda Stanhope'a, podniósł słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku. Ed odebrał już po drugim sygnale.

- Cześć, Ed, tu Sam Rawlins.

- Sam, dzięki Bogu! Miałem nadzieję, że zadzwonisz. Gdzie ty się podziewał, do diabła?

Takie powitanie zaalarmowało Sama.

- Skoro mnie o to pytasz, musisz o czymś wiedzieć.

- Wiem, że wpadłeś w poważne tarapaty.

- Można tak powiedzieć... Nie mam pojęcia, co ci nagadano, więc lepiej wyjaśnię, w czym rzecz. Otóż jest świadek, dzięki któremu damy radę wsadzić Giovesiego za kratki. -Zwięźle powtórzył zeznania Lauren, po czym równie krótko zrelacjonował, co działo się później, nie pomijając szalonej pogoni na skuterach. - Ponieważ nie mam

pewności, kto w biurze w Denver jest skorumpowany, a kto nie, nie mogę się do nich zwrócić, zostałem sam. Nie wykluczam zresztą, że korupcja sięgnęła wyżej, dlatego dzwonię do ciebie. Szepnij za mną słówko komuś na samej górze i zorganizuj mi jakąś pomoc.

- To raczej nie będzie łatwe. Czy masz dostęp do telewizora tam, gdzie jesteś?

- Tak. Czemu pytasz?

- Włącz kanał informacyjny.

Sam zmarszczył brwi, włączył telewizor, przez chwilę szukał odpowiedniego kanału, a gdy znalazł, ujrzał na ekranie dwa zdjęcia, na jednym zobaczył siebie, na drugim Lauren. To drugie musiało zostać zrobione za czasów jej kariery pianistycznej, gdyż była ubrana w elegancką wieczorową suknię, wyglądała dystyngowanie i niewiarygodnie pięknie.

- Powtarzam... W całym kraju trwają poszukiwania agenta specjalnego Sama Rawlinsa z Federalnego Biura Śledczego oraz Lauren Brownley, świadka oskarżenia w postępowaniu przeciw jednemu z przywódców przestępczości zorganizowanej, Carlowi Giovesiemu - wygłosił śmiertelnie poważnym tonem główny prezenter stacji. - FBI znajduje się w posiadaniu dowodów, że agent Rawlins od lat brał łapówki od Carla Giovesiego w zamian za dostarczanie informacji i uprzedzanie go o wszelkich krokach, które FBI przeciw niemu

podejmowało. Zachodzi podejrzenie, że agent Rawlins zbiegł wraz z Lauren Brownley, najnowszą kochanką Carla Giovesiego, by nie zeznawała przeciw niemu podczas zbliżającej się rozprawy.

- Co?! - Lauren wyjrzała z łazienki, trzymając szczoteczkę w ustach, a potem z gniewem weszła do sypialni i wbiła wzrok w ekran. Na wargach miała białą pianę od pasty, lecz nie zwracała na to uwagi.

- Agent Rawlins jest uzbrojony i niebezpieczny - ciągnął prezenter. - Jeśli ktokolwiek zauważy którąś z dwóch poszukiwanych osób, powinien niezwłocznie powiadomić najbliższy oddział FBI lub posterunek policji.

Sam zaklął soczyście, a potem warknął do słuchawki:

- Ktoś próbuje mnie zrobić, a Harvey doskonale o tym wie, bo na jego zlecenie od kilku miesięcy próbowałem wywęszyć tego szczura, a może szczury w naszym biurze. Nie tylko Harvey, wszyscy wiedzieli, jakie mam zadanie i jak blisko celu już jestem. Moim zdaniem to dlatego mnie odwołał i przydzielił do ochrony Lau... panny Brownley.

- Harvey twierdzi, że jeszcze do niedawna święcie wierzył w twoją niewinność, ale kilku agentów przekonało go, że jednak mylił się co do ciebie. Na szczęście jest jedna dobra wiadomość, Giovesi został aresztowany, postawiono

mu zarzuty, nie ma prawa wyjść za kaucją, a datę rozprawy wyznaczono na dwudziestego marca. Sęk w tym, że bez zeznania panny Brownley nie da się go oskarżyć o morderstwo. Ciała Franka Pappano nie znaleziono do tej pory.

- A co z handlem narkotykami?

- Ten cwany prawnik Giovesiego już kilka razy zdołał go wybronić od podobnych oskarżeń. Harvey i inni naciskają na prokuratora federalnego, żeby wycofał wszystkie zarzuty.

- Niech to szlag!

- Mają trochę racji. Te dwie sprawy, morderstwo i handel narkotykami, są ze sobą powiązane i obie opierają się na zeznaniach panny Brownley. Jeśli będzie rozprawa i Giovesi zostanie uniewinniony, to nawet jeśli potem znajdą się jakieś obciążające go dowody, będzie bezpieczny, bo nie można powtórnie pociągnąć kogoś do odpowiedzialności za to samo przestępstwo.

- Nie zostanie uniewinniony, ponieważ panna Brownley będzie zeznawać - oświadczył gniewnie Sam. - Mam za zadanie ochraniać ją, by mogła zeznawać podczas rozprawy i zrobię to, choćby nie wiem ile miało mnie to kosztować.

Przez chwilę po drugiej stronie linii panowała zupełna cisza.

- Dasz mi na to słowo? - spytał Ed.

- Tak. Ty doprowadź do tego, żeby rozprawa się odbyła, a ja przywiozę świadka.

Znowu zapadło milczenie, Sam prawie słyszał, jak Ed myśli.

- Dobra, umowa stoi. Wciąż mam wpływy w FBI i w prokuraturze, zadzwonię do paru osób. Tymczasem ty trzymaj swoją podopieczną w bezpiecznym miejscu i zjawcie się w sądzie federalnym w Denver dwudziestego marca, a przyskrzynimy wreszcie tego starego drania.

- Załatwione.

- Sam, tylko naprawdę uważaj. Pokazują twoją głowę w telewizji, na pewno ktoś cię rozpozna, jeśli zaczniesz się pokazywać. Na twoim miejscu znalazłbym sobie dobrą kryjówkę i przyczaił się w niej na najbliższych parę miesięcy.

- Tak zrobię.

Sam odłożył słuchawkę, zerwał się na równe nogi i zaczął szybko zbierać ich rzeczy i wpychać je do torby.

- Ubieraj się, spadamy stąd.

- Co? Teraz? - jęknęła. - Przecież dopiero co przyjechaliśmy.

- Nie jesteśmy tu bezpieczni. Zauważyłaś, że kelner, który przyszedł z kolacją, wydawał się jakiś zdenerwowany i przyglądał nam się trochę dziwnie?

Pobladła.

- Myślisz, że nas rozpoznał?

- Może tak, może nie, w każdym razie nie zamierzam ryzykować.

Całkowicie się z nim zgadzała, że nie warto ryzykować, więc ubrała się i była gotowa do wyjścia w trzy minuty. Gdy znaleźli się na korytarzu, ruszyła w stronę wind.

- Nie, nie tędy. - Sam chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę schodów pożarowych, znajdujących się na przeciwległym końcu korytarza.

Pognali w dół po metalowych stopniach, niezadowoleni, że robią przy tym tyle hałasu, ale nie mogli sobie pozwolić na powolne i ciche skradanie się. Gdy dotarli na parter, Sam ostrożnie uchylił tylne drzwi i zerknął w wąską alejkę.

- Dobra, droga wolna. Idziemy.

Pobiegli alejką, a potem przejściem między dwoma budynkami, które wyprowadziło ich z powrotem na rynek. Tłum zmniejszył się znacznie, lecz trochę ludzi kręciło się po nim dalej, przechodząc od baru do baru lub oglądając witryny sklepowe. Starając się trzymać jak najdalej od latarni i oświetlonych wystaw, Sam pospiesznie przeprowadził Lauren przez rynek, kierując się w stronę szerokich schodów, prowadzących na parking. Już byli prawie na ostatnich stopniach, gdy dwa samochody skręciły z głównej drogi i na pełnym gazie pognały w górę krętą uliczką prowadzącą prawie do samego rynku.

- Szybciej! - ponaglił Sam, chwycił Lauren za rękę, zbiegli na parking i przykucnęli za pierwszym wozem z brzegu.

Zerkając ostrożnie poprzez jego szyby, widzieli, jak dwa policyjne wozy zatrzymują się zaledwie parę metrów od nich, gdyż dalej nie dało się już wjechać. Szeryf i jego ludzie wyskoczyli z wozów i pognali na górę.

- Wygląda na to, że nie myliłem się co do naszego kelnera - mruknął Sam. - Chodź, nie mamy czasu, oni zaraz odkryją, że zwialiśmy im sprzed nosa.

Zaczął przemykać między samochodami, kolejno próbując klamek, wreszcie za piątym razem wykrzyknął cicho:

- Bingo!

Sięgnął pod maty podłogowe dżipa, za osłonę przeciwsłoneczną, sprawdził schowek na rękawiczki i popielniczkę. Na próżno.

- Chyba będę musiał to załatwić mało elegancko. Zostań tutaj.

Oddalił się ze wzrokiem wbitym w ziemię, a parę chwil później wrócił ze sporym kamieniem w rękę i usiadł na miejscu kierowcy.

- Po co ci ten ka... Wielkie nieba, co ty robisz?! - pisnęła, gdy uderzył w kolumnę kierownicy i rozbił obudowę.

- Nie widać? Muszę zrobić zwarcie, żeby go uruchomić.

- Przecież to kradzież!

Aż podskoczyła i z poczuciem winy rozejrzała się dookoła, gdy motor zaskoczył. Sam wysiadł i mocno pocałował ją w usta.

- Nie kradnę, tylko rekwiruję - skorygował i uśmiechnął się szeroko na widok jej zszokowanej miny. - Nie martw się, dziecinko, to wszystko się z czasem załatwi. A teraz wsiadaj, bo musimy stąd zwiewać, i to już.

- Dojeżdżamy do Durango - oznajmił pół godziny później. - Przejdź na tylne siedzenie i schowaj się, żeby nie było cię widać. Ludzie będą szukać mężczyzny i kobiety podróżujących razem, samotny facet mniej zwróci ich uwagę.

Lauren posłuchała, położyła się na tylnym siedzeniu i przykryła pledem, który na nim znalazła.

- A samochód? Jego też zaczną szukać, gdy właściciel zaalarmuje policję.

- Odkryje zaginięcie wozu dopiero rano, a może nawet i dopiero za kilka dni, jeśli przyjechał na narty na przykład na cały tydzień.

Sam prowadził swobodnie, siedząc za kierownicą z tak beztroską miną, jakby nie miał żadnych trosk na głowie, a jednocześnie bardzo uważnie pilnował, by ani razu nie przekroczyć szybkości ani nie złamać żadnego przepisu.

Durango zostało zbudowane wzdłuż rzeki Animas, było długie i wąskie, więc Lauren miała wrażenie, że przejechanie od północnego do południowego krańca miasteczka trwa w-nieskończoność. Leżała cała spięta, podskakiwała nerwowo

za każdym razem, gdy dobiegał ją jakiś nieoczekiwany hałas. Wreszcie światła latarni i domów zaczęły stawać się coraz rzadsze, gdyż wyjechali na południowe przedmieścia. Ledwie Lauren odetchnęła z ulgą, Sam zatrzymał się.

- Co się stało? - Ostrożnie wyjrzała ponad oparciem i zobaczyła, że stoją nieopodal stacji obsługi samochodów. - Coś nie tak?

- Spokojnie, tu jest budka telefoniczna, zadzwonię do wuja. Zaraz wracam.

Z powrotem skuliła się pod cienkim pledem, spodziewając się, że lada moment usłyszy rozkaz, że ma wysiadać z wozu z rękami do góry. Wzdrygnęła się ze strachu, gdy drzwi dżipa otworzyły się i Sam wskoczył na siedzenie.

- Załatwione. Wuj zabierze nas z Cortez, tam zostawimy dżipa.

- Czy teraz mogę z powrotem usiąść z przodu?
- spytała, gdy światła Durango znikły już w oddali.
- Czy to będzie bezpieczne?

- Na tyle bezpieczne, na ile to teraz możliwe. Ale czemu nie skorzystasz z okazji i nie zdrzemniesz się trochę? Mówiłaś, że jesteś śpiąca.

Tak, ale to było, zanim zostali złodziejami i uciekinierami ściganymi przez stróżów prawa. Jak mogłaby spać w takich okolicznościach? Czowała, że nawet nie zmruży oka, lecz została na tylnym siedzeniu, gdyż było jej tam w miarę wygodnie, no i w razie czego nikt jej nie widział.

Godzinę później ktoś potrząsnął ją za ramię.

- Obudź się.

- Co się...? - Usiadła gwałtownie, rozejrzała się dookoła.

Stali na parkingu przed jakimś nocnym sklepem.

- Zbieraj się, idziemy - zakomenderował ostro Sam.

Posłusznie wygramoliła się z dżipa, Sam skierował ją do parkującego tuż obok poobijanego pikapu i kazał jej wskakiwać, tylko szybko, na Boga!

- Przepraszam - powiedziała z zakłopotaniem do starszego mężczyzny za kierownicą. Bez słowa skinął głową.

Ruszyli, nim Sam zdążył zamknąć drzwi.

- Lauren, to jest Walter Price, jego żona Eunice jest siostrą mojego ojca - przedstawił Sam. - Wujku, to jest Lauren Brownley, o której mówiono w wiadomościach.

Walter Price skinął głową i dotknął dwoma palcami runda swego sfatygowanego kapelusza.

- Witam.

- Czy nie kręcił się ktoś u was, wypytując o mnie?

- Nie.

- Świetnie. A u taty?

- Nie wiem, sam będziesz musiał go zapytać. Sam zachnął się.

- Na to są raczej małe szanse.

Kierowca nic nie odpowiedział, ale niemal

niezauważalnie pokręcił głową. Przez kilka minut było słychać tylko jednostajny szum śniegu pod kołami.

- Wiem, że oglądałeś telewizję i czytałeś gazety - odezwał się Sam. - Czy chcesz usłyszeć moją wersję wydarzeń?

- A zrobiłeś to, o czym mówią?

- Nie.

- To poczekaj, aż dojedziemy do domu i twoja ciocia też będzie mogła to usłyszeć. Po co gadać dwa razy to samo?

Lauren oniemiała ze zdumienia. Naprawdę wystarczyło jedno słowo Sama, by ten małomówny człowiek uwierzył mu bez zastrzeżeń? Najwyraźniej tak, gdyż resztę drogi spędzili w milczeniu i widać było, że jest im z tym dobrze. Po godzinie dojechali na ranczo Price'ów, gdzie czekała na nich Eunice. Okazała się zupełnym przeciwieństwem swego małomównego, nieco szorstkiego męża. Wyściskała Sama, witając się z nim wylewnie, a kiedy wreszcie wypuściła go z objęć, obróciła się ku Lauren.

- A więc to jest pani Brownley... Dziecko, ależ z pani ślicznotka! Pani jest nawet jeszcze ładniejsza niż na tym zdjęciu, które pokazują w telewizji i gazetach.

Poczuła, że się rumieni.

- Ja... mmm... dziękuję. A przede wszystkim dziękuję obojemu państwu za to, że chcieliście nam

pomóc. Wiem, że to narzucanie się, w dodatku stawianie państwa w niebez...

- Nie chcę tego słuchać! - Eunice machnęła ręką, przerywając Lauren. - I żadne podziękowania się nie należą, Sam jest dla nas prawie jak syn. Własnych dzieci nie mamy, a kiedy Augustus się rozwiódł, pomogliśmy mu wychować tego małego nicponia. Oczywiście, że zrobimy wszystko, żeby mu pomóc. Myślałam, że pęknę ze złości, kiedy usłyszałam, jakie kłamstwa opowiadają o naszym chłopaku w telewizji. - Wzięła Lauren pod rękę i poprowadziła korytarzem w głąb domu. - Chodźcie do kuchni, dzieci. Zrobię wam kawy, mam ciasto, usiądziecie i opowiecie nam, jak się wpakowaliście w te tarapaty.

- Wolałabym najpierw trochę się odświeżyć, jeśli można - odparła Lauren.

- Oczywiście, gdzież ja mam głowę! - Eunice wskazała jej drogę do łazienki, zapowiedziała, że Lauren ma się nie spieszyć i dołączyć do nich w kuchni, gdy będzie gotowa.

Myjąc ręce, przejrzała się w lustrze i potrząsnęła głową. Ponieważ nie malowała się od tygodnia, wydała się sobie blada i nijaka, nie rozumiała, jak pani Price mogła się nią zachwycać. Przypudrowała nos, pociągnęła wargi szminką, szybko rozczesała włosy. Na razie tyle musiało wystarczyć.

Wyszła z łazienki i ruszyła przez korytarz

w stronę kuchni, lecz gdy mijała szerokie wejście do staroświeckiego salonu, zamarła w pół kroku. Pod ścianą stało pianino.

Niczym ćma lecąca do światła, weszła do pokoju i obejrzała instrument. Powiodła dłonią po gładkiej mahoniowej powierzchni, po rzeźbionych ozdobach na przednim panelu, po podstawce na nuty. Instrument pochodził prawdopodobnie z połowy dziewiętnastego wieku. Otworzyła go i z czułością przesunęła opuszkami po klawiszach. Pożółkły od upływu czasu, a kilka z nich było trochę wyszczerbionych, lecz mimo to nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. I od tygodnia nie grała.

Nie potrafiąc się oprzeć, zagrała kilka nut, które zabrzmiały słodko i chwyciły ją za serce. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, usiadła na stołku, lekko oparła rozsunięte palce na klawiszach, zamknęła oczy, a wtedy jej dłonie same zaczęły grać i w pokoju rozległy się czyste tony koncertu fortepianowego A-dur Mozarta.

Muzyka płynęła z jej serca, z jej duszy, wylewając się potężną falą niczym przez zerwaną tamę, a Lauren płynęła wraz z nią, zatopiona bez reszty, nieświadoma niczego poza muzyką, stracona dla świata. Chwilami jej palce tańczyły po klawiszach, muskając je lekko i wydobywając z nich melodię o przejmującej słodyczy, a zaraz potem uderzały z mocą i pasją, świadczącą o najprawdziwszych emocjach.

Jeden ze szczególnie poruszających utworów kończył się długo wybrzmiewającą pojedynczą nutą. Kiedy dźwięk wybrzmiał, wzruszona do łez Lauren zwiesiła głowę, lecz za moment aż podskoczyła, gdyż rozległy się oklaski.

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała ze zgrozą, że gospodarze siedzą na kanapie, Sam stoi w wejściu do pokoju, a cała trójka patrzy na nią dziwnym wzrokiem.

- Och, tak mi przykro, naprawdę! To było bardzo niegrzeczne z mojej strony. Powinnam była poprosić o pozwolenie, zanim zagrałam na państwa pia...

- Lauren jest pianistką - wyjaśnił spokojnie Sam, przyglądając jej się tym swoim zagadkowym wzrokiem, który zbijał ją z tropu.

- Byłam - poprawiła. - Byłam pianistką.

Podszedł i ujął Lauren pod brodę, uniósł jej twarz.

- Skarbie, myślałem że serce mi pęknie z zachwytu. Jeśli przed wypadkiem grałaś jeszcze piękniej, to gdybym cię wtedy usłyszał, chyba bym umarł.

- Dziękuję, Sam.

Przepełniła ją radość. Nie tylko podobało mu się, jak grała, ale przede wszystkim uwierzył jej. Naprawdę uwierzył.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie, zapomniawszy o obecności państwa Price'ów,

wreszcie Lauren zauważyła, że tamci przyglądają im się z zainteresowaniem, i oprzytomniała.

- Mimo wszystko ogromnie państwa przepraszam, nie powinnam sobie pozwalać...

- Nonsens, drogie dziecko. Jeszcze 'nigdy nie słyszeliśmy równie pięknej muzyki. To dla nas zaszczyt, że zechciała pani zagrać na takim gruchocie.

- Gruchocie? Ależ to jest przepiękny instrument, gra się na nim... - Urwała, gdyż jej uwagę przyciągnęło coś, co nagle dostrzegła za oknem. Serce zabiło jej mocniej. - Ktoś tu jedzie!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Cholera! - Sam sięgnął po pistolet, wbijając wzrok w światła samochodu, nadjeżdżającego trzykilometrową drogą prowadzącą do rancza.

- Zostaw to - doradził Walter. - To na pewno Augustus. Zadzwoiłem po niego.

Sam obrzucił wuja oskarżycielskim spojrzeniem, jakby ten go zdradził

- Zadzwoiłeś po mojego ojca? Czemu?

- Ponieważ umiera ze strachu o ciebie. To ty powinienesz być do niego zadzwonić i jego poprosić o pomoc, nie nas. Nie dlatego, żebyśmy mieli coś przeciw temu - dodał szybko. - Wiesz przecież, że oboje z cicią zrobimy dla ciebie wszystko, co w naszej mocy, ale to przecież twój tata i nie zasługuje na to, żebyś go traktował jak powietrze.

- Ja... ja może pójdę do kuchni, żeby państwo mogli swobodnie porozmawiać - rzekła z za-

kłopotaniem Lauren, podnosząc się ze stołka, ale Sam wykonał rozkazujący gest.

- Siedź. Masz ani na moment nie schodzić mi z oczu, dopóki się nie przekonam, że to rzeczywiście mój ojciec. Zresztą i tak już wiesz, że nie układa się między nami najlepiej. Nie usłyszysz żadnych rodzinnych sekretów. - Obrócił się z powrotem do wuja. - Czemu miałbym prosić go o pomoc? Po co? Nigdy we mnie nie wierzył, nigdy mi nie ufał, więc czemu tym razem miałyby być inaczej? Pewnie gładko połknął te wszystkie kłamstwa, które są rozgłaszane w mediach na mój temat. Lauren i ja będziemy mieli szczęście, jeśli już nie nadał policji, gdzie nas szukać.

- Och, Sam! - rzekła ze smutkiem Eunice. - Twój ojciec nigdy nie zrobiłby nic podobnego. Wiem, że mój brat bywał dla ciebie ostry, ale czy nie rozumiesz, że to ze strachu?

Sam zachnął się.

- Strachu? Jakiego strachu? On jest twardy jak skała, nigdy w życiu niczego się nie bał.

- Z wyjątkiem jednej rzeczy - skorygowała łagodnie Eunice. - Tego, że cię straci.

Te słowa zaskoczyły Sama. Oderwał wzrok od zbliżających się świateł, spojrział na ciotkę i zaśmiał się z goryczą.

- Jasne! I to dlatego nie dawał mi żyć, dlatego czepiał się o wszystko i nie mogłem go nigdy zadowolić. Zajmował się mną z obowiązku, bo

byłem jego synem, ale nie takim, jakiego chciał, nie takim, z jakiego mógłby być dumny. W końcu zrozumiałem, że to z powodu mojej indiańskiej krwi.

- Sam! I ty w to wierzyłeś przez te wszystkie lata? Gdybyś mi powiedział... Mylisz się, chłopcze, bardzo się mylisz.

- Nie sędzę. Ilekroć wspomniałem o rodzinie mamy albo pojechałem na trochę do rezerwatu, dostawał szału. - Znowu przeniósł spojrzenie za okno. - Musicie spojrzeć prawdzie w oczy. On nienawidzi Indian i nie może znieść, że jego jedyny syn jest mieszzańcem.

- Nie bądź głupi i nie gadaj bzdur! - huknął Walter. - Augustus zawsze miał wielki szacunek dla Indian i podziwiał ich. I kochał twoją mamę, nawet wtedy, gdy się z nim rozwiodła i wróciła do swoich. Nigdy nie przestał jej kochać i ledwie przeżył jej śmierć. On nadal kocha Mary. Jak myślisz, czemu nigdy nie ożenił się powtórnie?

Sama zatkało. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym.

- Walt ma rację - wtrąciła Eunice. - Twój ojciec kocha cię ponad wszystko, jesteś dla niego ważniejszy nawet od rancza Rawlinsów, a to mówi samo za siebie. W przeszłości, kiedy ciągnęło cię do Indian i ich sposobu życia, był przerażony, że straci również ciebie, że odejdziesz do rezerwatu tak samo jak Mary. A im bardziej się bał, tym surowiej cię traktował i tym wyższe wymagania ci

stawiał, bo nie widział innego sposobu, żeby cię zatrzymać na ranczu. Tylko im krócej cię trzymał, tym bardziej chciałeś uciec. - Ze smutkiem potrząsnęła głową. - Może nawet w duchu zdawał sobie z tego sprawę, ale po prostu nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

- Wszystko to prawda - potwierdził Walter. - No i w końcu stało się to najgorsze, czego się obawiał. Uciekłeś z rancza, co prawda nie do Indian, tylko do FBI, ale właściwie wyszło na jedno. Dla Augustusa to była katastrofa.

- Skoro tak, czemu nigdy mi nie powiedział, co naprawdę czuje?

- I kto to mówi? - zganiła go Eunice. - Powinieneś wiedzieć, czemu nigdy się z tym nie zdradził, bo jesteś taki sam jak on. Twój dziadek i pradziadek też tacy byli. Szorstcy, twardzi, nic po sobie nie zdradzali, jakby to był jakiś wstyd pokazać, że nie jest się z kamienia, że ma się uczucia, że się cierpi.

Sam, kompletnie oszołomiony, nie wiedział, co powiedzieć. Przez te wszystkie lata zakładał, że po prostu nie dorastał do oczekiwań ojca.

- On naprawdę myślał, że nigdy nie wrócę na ranczo? Ja miałbym nie wrócić? Poszedłem do FBI, żebyśmy obaj zyskali przestrzeń do życia, bo skakaliśmy sobie do oczu o wszystko. Ponieważ nie zamierzałem ulec jak byle mięczak, zrobiłem mu przysługę i poszedłem sobie gdzie indziej, żeby

mógł się na ranczu rządzić po swojemu. Mogłem go zostawić, bo szesnaście lat temu był silnym, w pełni sprawnym człowiekiem, zresztą nadal chyba jest, sądząc po tym, co mi mówiliście. Zamierzałem wrócić, gdy tylko zaczniesz potrzebować mojej pomocy. Ani mi do głowy nie przyszło, że mógłbym odejść na zawsze. Kocham nasze ranczo. - Sam zacisnął szczęki. - I, cholera, niech wam będzie, przyznaję też, że kocham tego starego drania, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego. Jak mógł pomyśleć, że go zostawiłem na zawsze?

- Jak? Z łatwością - odpowiedział mu wuj.
- Musisz pamiętać, synu, że Augustus kochał twoją matkę do szaleństwa. Z wzajemnością. A jednak stracił żonę, bo musiała wrócić do swoich, do swojego sposobu życia, nie zdołała się zaadaptować. Ona nie mogła zostać, on nie mógł pójść za nią. Czemu więc nie miałby stracić na zawsze również syna?

Zanim Sam zdołał to przetrwać, nadjeżdżająca furgonetka zatrzymała się gwałtownie na wysypnym żwirze podjeździe, trzasnęły drzwiczki samochodu, zaraz potem z hukiem otworzyły się frontowe drzwi domu.

- Gdzie on jest? Gdzie jest mój syn? Sam!

W wejściu do salonu pojawiła się zwalista sylwetka. Na widok syna na spalonej słońcem i wiatrem twarzy Augustusa pojawiła się ulga, którą zaraz potem zastąpił gniew.

- Chłopcze! Co się, do diabła ciężkiego, właściwie dzieje?

Sam zeszywniał. Wszystkie sprzeczne uczucia, które się w nim kłębiły, znikły, bo gdy zobaczył surowe spojrzenie ojca, który jak zwykle był niezadowolony i żądał wyjaśnień, odezwała się w nim dawna uraza.

- Nie pracuję dla żadnego gangstera - wycodził przez zaciśnięte zęby.

- To jasne, do cholery! - huknął Augustus. - Chcę wiedzieć, kto publicznie rozgłasza o tobie te brednie. I dlaczego?

Sam zdumiał się.

- Wierzysz mi?

- Niech to szlag, chłopcze, oczywiście, że ci wierzę! - ryknął Augustus. - Możemy się ze sobą nie zgadzać i może nie chcesz mieć ze mną ani z naszym ranczem nic wspólnego, ale, na Boga, jesteś moim synem! Jesteś prawy i uczciwy, a każdy, kto twierdzi inaczej, to przeklęty łgarz albo skończony głupiec!

Sama nagłe coś ścisnęło za gardło i miał trudności z mówieniem, ale jakoś zdołał z siebie wydusić zmienionym głosem:

- Dzięki, tato.

Zanim się zorientował, Augustus podszedł do niego i niemal zgniótł mu żebra w niedźwiedzim uścisku. Sam stracił oddech i był w takim szoku, że na początku stał jak skamieniały, nie wiedząc, jak

zareagować, podczas gdy ojciec serdecznie walił go po plecach. Wreszcie Sam trochę doszedł do siebie, również objął ojca i z wahaniem klepnął go dwa razy po łopatkę.

Kiedy w końcu Augustus wypuścił syna z objęć, miał zawstydzony wyraz twarzy. Odsunął się, przestąpił z nogi na nogę, odchrząknął, a potem jego spojrzenie padło na Lauren. Ściągnął brwi.

- To musi być ta pani Brownley, o której trąbią w telewizji i w gazetach. Nie wygląda na kochankę gangstera.

Sam konwulsyjnie zacisnął szczęki.

- Bo nią nie jest. Lauren jest znakomitą pianistką, która przez przypadek *znalazła* się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i była świadkiem morderstwa.

- To prawda, że pani jest pianistką, Gus - potwierdziła Eunice. - Właśnie zagrała dla nas kilka bardzo pięknych rzeczy.

Augustus słuchał siostry jednym uchem, gdyż bacznie przyglądał się wściekłej minie syna. Potem spojrział na Lauren. Potem znowu na Sama.

- Rozumiem. Powinienem był się domyślić, że skoro kłamię o tobie, to kłamię i o niej. - Zerwał z głowy stetsona, podszedł do Lauren i wyciągnął doń. - Augustus Rawlins, ojciec Sama. Bardzo mi miło panią poznać, pani Brownley. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to, co przed chwilą powiedziałem. Przepraszam.

- Oczywiście, przecież nie mógł pan wiedzieć.

Sam patrzył, jak delikatna dłoń Lauren ginie między twardymi, spracowanymi dłońmi jego ojca. On i Augustus byli tego samego wzrostu i budowy, a chociaż ojciec trochę się już garbił i zrobił mu się nieduży brzuch, to nadal mimo swoich sześćdziesięciu czterech lat był potężnym, robiącym wrażenie człowiekiem, silnym jak byk. Nachylał się nad Lauren, a kontrast między nimi dodatkowo podkreślał jej delikatność i kruchość.

Chociaż Sam doskonale wiedział, że jego ojciec nigdy nie skrzywdziłby żadnej kobiety, poczuł nagłą potrzebę, by podejść, stanąć przy Lauren, otoczyć ją ramieniem, przyciągnąć do swego boku, gdzie byłaby najbezpieczniejsza. Co było w niej takiego, że wyzwalało w nim jakąś głęboko atawistyczną potrzebę chronienia jej? Nie raz przydzielano go do ochrony świadków, z którego to zadania zawsze dobrze się wywiązywał, ale nigdy nie zaangażował się w zadanie do tego stopnia, jakby to była sprawa osobista.

Cóż, z żadnym innym świadkiem się nie prześpał...

Jednak nawet nie o to chodziło. Oczywiście pragnął Lauren, a chwilami na widok jej urody aż nogi ugięły się pod nim z wrażenia, lecz przecież pożądał już w życiu innych kobiet. Musiał jednak przyznać, że tylko raz zdarzyło mu się napalić do tego stopnia, ale wtedy miał szesnaście

lat. Próbował uwieść na sianie córkę zarządcy rancza.

W tym przypadku jednak chodziło o coś więcej niż seks.

Zmarszczył brwi. Czy to z powodu jej kruchego wyglądu rodziły się w nim potrzeby, jakich dotąd nie odczuwał i o jakie nigdy się nie podejrzewał? A może to jej klasa robiła na nim takie wrażenie? Nawet gdy koczowali w starej ruderze i maszerowali przez góry, z jej każdego ruchu emanowała prawdziwa elegancja. A może to jej odwaga i inteligencja tak go pociągały? A może zdeterminowane dążenie do samodzielności i niezależności?

A może po prostu wszystko naraz?

- Możecie mi powiedzieć, co się dzieje? - zapytał Augustus, gdy skończył rozmawiać z Lauren. - Niecałą godzinę temu na ranczo przyjechała cała kawalkada samochodów wypchanych agentami FBI, którzy wdarli się do domu, szukając cię.

- Co im powiedziałaś?

- A jak myślisz? Prawdę. Że nie było cię w domu i że nie miałem od ciebie żadnych wieści. Nie uwierzyli i chcieli przewrócić całe ranczo do góry nogami, ale wykurzyłem ich w diabły. Powiedziałem, że bez nakazu rewizji mogą spadać na drzewo. Kazałem wynosić się z mojej ziemi i nie wracać.

Sam zerknął za okno.

- Daleko nie poszli, na pewno zaczęli się w okolicy i czekają, aż się pojawimy. Dam głowę, że obserwują każde wejście na teren rancza.

- W takim razie dobrze się składa, że zadzwoniłeś do nas - orzekł Walter. - U nas nikt się nie kręcił i nie pytał o ciebie.

Bo nikt o was nie wie, pomyślał Sam. Nie miał zwyczaju zdradzać szczegółów ze swojego życia, ale tym razem jego powściągliwość wynikała z innego powodu. Kiedy zgłosił się do FBI, tak samo jak inni kandydaci musiał wypełnić wyjątkowo drobiazgowy formularz, który uznał za obraźliwy, dlatego też bez żadnych oporów celowo zataił informację, że ranczo sąsiadujące z ranczem ojca należy do ciotki i wuja. Instykt podpowiadał mu, że na wszelki wypadek dobrze jest mieć kryjówkę, o której nikt nie wie.

- Cały czas nie powiedziałaś mi, jak się wpakowałeś w tarapaty - przypomniał Augustus. - Myślałem, że FBI to organizacja godna szacunku.

- Bo tak jest, ale i tam co jakiś czas trafiają się czarne owce. - Sam po raz trzeci tego dnia zwięźle zrelacjonował ostatnie zajścia.

Kiedy skończył, Augustus gwizdnął cicho.

- Co zamierzasz zrobić, synu? Skoro nie możesz zwrócić się o pomoc do FBI, jesteś zdany wyłącznie na siebie.

- Wiem. Przenocujemy tutaj, a rano zabiorę Lauren do naszego dawnego domku myśliwskiego.

- Ale czy to będzie bezpieczne, skoro agenci są tak blisko? - spytała Lauren.

- Przez jakiś czas powinno być tam względnie bezpiecznie.

- Hm, obawiam się, że nasz czas minął - oznajmił Walter, wyglądając przez okno. - Droga wali cały sznur samochodów.

- Cholera! - Sam chwycił Lauren za ramię, odciągnął ją od okna i przycisnął plecami do ściany. Z irytacją spojrzął na ojca. - Musieli cię śledzić.

- Nie wiem, jakim cudem. Nie jestem głupi, chłopcze. W ogóle nie wyjeżdżałem za bramę, przyjechałem tą starą drogą przez pastwiska, która łączy nasze rancza. Żywa dusza mnie nie widziała, mogę przysiąc.

Sam zacisnął zęby. Dowiedzieli się więc o tym, że na sąsiednim ranczu mieszka rodzina. A mogli się dowiedzieć tylko w jeden sposób.

Augustus zdecydowanym krokiem podszedł do stojaka na strzelby.

- Walt, wyciągaj broń. Nie dostaną mojego syna.

- Nie, tato. Żadnej strzelaniny.

- Czemu nie? Damy im radę. Ich jest tylko piętnastu czy szesnastu, a nas pięcioro. Z wyjątkiem Lauren cała nasza czwórka umie strzelać, i to celnie.

- Tylko co potem? Uwierz mi, tato, że jeśli chociaż postrzelisz jednego z nich, to będziemy

mieli na głowie całą armię agentów. Zabiją Lauren i mnie, a ty spędzisz następnych dwadzieścia lat w więzieniu. Jedyna nasza szansa to natychmiastowa ucieczka.

- W porządku, w takim razie bierzcie moją furgonetkę i uciekajcie tylną drogą na wyłączonych światłach, zanim tamci podjadą bliżej i zauważą was - zarządził Augustus.

- Tato, jesteś pewien, że możemy ją wziąć?

- Oczywiście, chłopcze. Zbierajcie się stąd, już was tu nie ma. Walt i ja poradzimy sobie z tą bandą durniów.

Ruszyli oboje w stronę wyjścia, lecz po dwóch krokach Sam zawrócił i tym razem to on omal nie zadusił ojca w uścisku.

- Dzięki, tato. Ja...

- Wiem, synu. Wiem - przerwał mu szorstko Augustus. - A teraz już was tu nie widzę! Wiejcie, póki jeszcze można.

Ojciec i syn spojrzeli sobie w oczy, po czym Sam wypadł na korytarz. W biegu chwycił torbę podróżną, wybiegł z Lauren na zewnątrz, otworzył drzwi furgonetki, chwycił Lauren w tali, podniósł, posadził na miejscu pasażera, rzucił jej torbę na kolana, okrążył furgonetkę, oceniając wzrokiem odległość między domem a zbliżającymi się samochodami - tamci jechali naprawdę szybko, byli już w połowie drogi. Wskoczył za kierownicę, silnik zaskoczył od razu, Sam nie zawracał sobie głowy

zakręcaniem, tylko popędził na skos przez wypieczone rabatki cioci Eunice, żeby jak najszybciej znaleźć się za domem. Kiedy minęli stodołę oraz zagrody dla koni, znaleźli się w ciemnościach, odrobinę tylko rozjaśnionych bardzo bladą poświatą księżyca. Był w pełni, lecz tej nocy przesłaniała go cienka warstwa chmur. Sam kierował się ku ścianie lasu.

- Boże, zaraz wpadniemy na drzewo! - zdenerwowała się Lauren.

- Spokojnie, nic takiego nam nie grozi. Po pierwsze dość dobrze widzę w ciemności, po drugie znam tutaj każdy metr kwadratowy, zaraz powinniśmy trafić na polną drogę... O, jest. - Gwałtownie skręcił w prawo, jakaś gałąź przejechała ze zgrzytem po boku furgonetki, która wypadła na drogę przez lukę między dwiema wysokimi topolami. - Trzymaj się. Ta droga jest wąska i wyboista, rzadko się jej używa.

Lauren siedziała wychylona do przodu, wbijając wzrok w drogę przed nimi, trzymając się jedną ręką deski rozdzielczej, a drugą brzegu fotela. Wreszcie ujrzała jaśniejszą przestrzeń, gdyż las się kończył i droga prowadziła dalej przez polanę do drewnianego szlabanu, za którym znajdowała się dwupasmowa boczna droga.

Sam zatrzymał się na skraju lasu i bacznie rozglądał się dookoła. Silnik pracował na luzie.

- Cholera.

- Co się stało? - Lauren z niepokojem rozejrzała się również, lecz nic nie zauważyła.

- Obserwują drogę z samochodu.

- Jakiego samochodu? Nic nie widzę.

- Jakies pięćdziesiąt metrów na prawo od nas stoi samochód. Chowa się w cieniu tego dużego świerku po drugiej stronie drogi.

Lauren daremnie starała się przebić wzrokiem ciemności.

- Nadal nic nie dostrzegam. Jesteś pewien, że on tam stoi?

- Najzupełniej.

- To co robimy?

- Jedno jest pewne. Nie możemy tutaj zostać. Nawet jeśli jeszcze nie mają nakazu rewizji obu rancz, to zaraz będą go mieli, pewnie właśnie ktoś wyrywa ze snu jakiegoś sędziego, żeby go podpisał. Jeżeli Ed zdoła odwołać obławę, to i tak dopiero jutro. Dorwą nas wcześniej, to nas zabiją. Nie mamy wyboru, musimy wiać.

Obrócił głowę i spojrzał na Lauren. Nawet w ciemności widział przerażenie w jej wzroku, lecz mimo to spojrzała mu prosto w oczy. Nic nie powiedziała. Żadnych babskich jęków, pisków, protestów. Nie mogąc się oprzeć, otoczył ją ramieniem za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował namiętnie. Od razu serce zabiło mu mocniej, szybciej i poczuł, że jej też. Po dłuższej chwili odsunął się odrobinę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Gotowa?

Wzięła głęboki oddech, z determinacją zacisnęła wargi, ściągnęła łopatki i skinęła głową.

- Dzielna dziewczynka! - Sam pocałował ją jeszcze raz, tym razem krótko, po czym wyprostował się i mocno chwycił za kierownicę. - Trzymaj się.

Silnik ryknął, wystrzelili spomiędzy drzew, złamali szlaban, ostro skręcili w lewo i pognali drogą. Dopiero wtedy Sam włączył światła.

- Gonia nas.

Lauren obróciła się na siedzeniu i przez tylną szybę ujrzała dwa reflektory - w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była atramentowa ciemność. Kiedy im się przyglądała, zauważyła, że robią się większe.

- O Boże, Sam, doganiają nas!

Nie odpowiedział. Jego profil wyglądał jak wykuty z kamienia. Mocniej nacisnął pedał gazu, furgonetka przyspieszyła i odległość między nimi a pościgiem zwiększyła się trochę. Nie na długo jednak.

- Znowu nas doganiają!

Sam wduśił pedał gazu w podłogę, furgonetka pruła pustą drogą niczym pocisk. Lauren obejrzała się ponownie.

- Nie zbliżają się już, ale jadą w takim samym tempie jak my - zaraportowała.

Sam rzucił okiem we wsteczne lusterko akurat

w momencie, gdy w tamtym samochodzie po stronie pasażera pojawił się jakiś rozbłysk i coś uderzyło o tył furgonetki. Lauren nie wytrzymała i aż pisnęła.

- Strzelają do nas!

Kolejny strzał, i tylna szyba rozleciała się na kawałki.

- Kryj się! - wrzasnął Sam. - Na dół! Na dół!

Prowadząc jedną ręką, drugą sięgnął w bok, ściągnął Lauren z siedzenia na podłogę. Lusterko od strony pasażera rozpadło się z brzękiem. Sam starał się jechać zygzakami, żeby umknąć kulom, ale niewiele zdziałał, gdyż przy takiej prędkości nie mógł sobie pozwolić na żadne gwałtowniejsze manewry, grożące przewróceniem furgonetki.

Lauren, skulona na podłodze, przyciskała dłoń do uszu i krzyczała za każdym razem, gdy rozlegała się seria za serią.

- O cholera!

Jakieś dziesięć metrów przed nim na drogę wybiegło stadko saren i jeleni. Próbował je wyminać, wykręcił, rozpędzona furgonetka oderwała się lewymi kołami od szosy i jechała, przechylona, tylko na dwóch prawych, a Sam, klnąc, robił wszystko, żeby wróciła do normalnej pozycji. Trwało to całą wieczność, a w rzeczywistości zaledwie kilka sekund, po czym wiszące w powietrzu koła uderzyły o nawierzchnię drogi, podskoczyły dwa razy i dalej pojechali już normalnie.

Za nimi rozległ się przeraźliwy wizg opon, a potem głośne uderzenie i przesywający zgrzyt metalu.

Lauren uniosła głowę.

- Co się stało?

Sam spojrzął we wsteczne lusterko.

- Nasi przyjaciele zawarli bliską znajomość z lokalną dziką zwierzyną.

- Co? O czym ty mówisz? Chwileczkę, przestali strzelać. - Uklękła ostrożnie i równie ostrożnie wyjrzała przez otwór po rozbitej tylnej szybie.

- Nie do wiary! Rozbili się! Samochód leży w rowie, światłami do góry. I coś leży na szosie. Jakby... jakby martwe zwierzęta. I nie widzę ani śladu tych ludzi. - Obróciła się ku Samowi, na jej twarzy odmalowała się radość. - Udało się! Uciekliśmy!

- Taaak... Tylko nie ciesz się zbyt. Na pewno zawiadomili pozostałych, gdzie jesteśmy i niedługo będzie tu cała masa agentów.

- Ale zyskamy nad nimi dużą przewagę. Nie zdołają nas doścignąć.

- Cóż... to... to zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy... potrafisz prowadzić... furgonetkę.

- Ja? Czemu miałabym to robić? Sam, co się dzieje? Czemu zwalniasz?

Furgonetka zatrzymała się na środku drogi. Sam

jeszcze zdołał wrzucić na luz i opadł na kierownicę.

- Sam! - Lauren zmiotła z siedzenia odłamki szkła i czym prędzej usiadła obok Sama. - Co ci jest? - Chwyciła go za ramiona i próbowała posadzić prosto, ale gdy jęknął, przestała. - O Boże, odezwij się do mnie!

Na moment otworzył oczy, na jego twarzy pojawił się grymas.

- Wybacz... dziecinko... trafili... mnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Nie, tylko nie to! - krzyknęła Lauren. Ogarnęła ją panika. Gorączkowo przesunęła dłońmi po ramionach Sama, po jego plecach. - Gdzie? Gdzie cię trafili? Powiedz mi!

Usłyszała jedynie cichy jęk. Nie była nawet pewna, czy on jeszcze jest przytomny. Naraz natrafiła palcami na coś mokrego i ciepłego, a gdy podniosła dłoń, zobaczyła, że jest cała umazana krwią.

- O Boże!

Zacisnęła usta, próbując nie poddać się atakowi hysterii. Obejrzała się. Jakies półtora kilometra za nimi światła rozbitego samochodu nadal świeciły w niebo, nie było nikogo widać - ani śladu pościgu i ani śladu pomocy. Zacisnęła zęby. Nie myśl o tym, że nie ma pomocy, myśl o tym, że przestano was ścigać.

Chwilowo.

Ta ostatnia myśl znowu omal nie wpędziła jej w panikę. Jęknęła. Co ona ma teraz zrobić, co? Myśl, kobieto! Myśl! Musisz się stąd wydostać, i to szybko. Ale najpierw musisz zatamować krwotok, inaczej Sam umrze.

Po chwili poszukiwań wymacała przycisk w podsufitce i włączyła światło. Uklękła na siedzeniu, chwyciła Sama i jakoś zdołała posadzić go prosto. Jęknął znowu, otworzył oczy.

- Trzeba... stąd... wiać... - wymamrotał.
- Wiem, ale najpierw muszę zająć się tobą.
- Musisz... musisz... prowadzić...
- To też wiem, ale ostrzegam cię, że nigdy w życiu nie prowadziłam furgonetki.
- To nic... takiego... Poradzisz... sobie... świetnie... kochanie - mówił tak bełkotliwie, że ostatnie słowa zabrzmiały prawie kompletnie niezrozumiale.

Opadł na oparcie, znieruchomiał.

- Saaam!

Nie odpowiedział. Lauren przyłożyła ucho do jego piersi i prawie osłabła z ulgi, gdy usłyszała, że serce wciąż mu bije. Starając się działać jak najszybciej i dysząc z wysiłku, ściągnęła z niego kurtkę, pochyliła go do przodu, oparła o kierownicę i omal nie umarła ze zgrozy na widok przesiąkniętej krwią koszuli. Spływająca krew sączyła się już na wełniane spodnie.

Lauren błyskawicznie przeszukała torbę, co chwilę zupełnie nieświadomie wydając z siebie przerażony szloch. Znalazła parę czystych kalesonów, wyciągnęła Samowi koszulę ze spodni, podciągnęła wysoko i aż zrobiło jej się niedobrze na widok ziejącej dziury tuż nad łopatką. Opanowała się, zwinęła górę kalesonów w rulon, przycisnęła go mocno do rany, a końce nogawek związała na piersi Sama, żeby ten sporządzony naprędce opatrunek trzymał się na miejscu.

Kiedy skończyła, na chwilę przysiadła na piętach, odsapnęła i przyjrzała się swojemu dziełu. Nie był to szczyt sztuki medycznej, ale chyba udało się zatamować krwotok. Ściągnęła Samowi koszulę, włożyła mu jedną rękę do rękawa kurtki, potem drugą, posadziła go prosto.

- Sam, słyszysz mnie? - Zdecydowanie poklepała go po obu policzkach, próbując go ocucić.
- Ocknij się. Musisz mi pomóc, sama cię nie przesunę.

Jego powieki zadrgały dwukrotnie, wreszcie uniosły się. Patrzył mało przytomnie i widać było, że nawet tak mały wysiłek dużo go kosztował. Lauren objęła go w pól i ciągnęła z całą siłą, na jaką mogła się zdobyć, podczas gdy on starał się przesunąć na fotel pasażera. Wreszcie udało im się, chociaż Sama musiało to potwornie boleć.

- Co z tobą?

- D-dobrze... Je... jedźmy...

Wyskoczyła na szosę, okrążyła furgonetkę, wspięła się za kierownicę, zacisnęła na niej palce, nerwowo zerknęła na Sama.

- No to jedziemy - oznajmiła i ruszyła.

Opony zapiszczały, w powietrzu uniośł się swąd palonej gumy, furgonetka wyrwała do przodu, osiągając maksymalną prędkość w dziesięć sekund. Lauren nie miała zbyt dużego doświadczenia jako kierowca, w dodatku w porównaniu z lexusem furgonetka wydawała jej się bardzo duża i niewygodna do prowadzenia. Zaciskała palce na kierownicy, aż jej kostki pobiełały, siedziała wychylona do przodu i z determinacją wbijała wzrok w drogę, koncentrując się na tym, by trzymać się między poboczem a ledwie widoczną linią środkową.

Sam oparł się na torbie podróżnej i z całych sił starał się zachować przytomność. Po kilku kilometrach dotarli do skrzyżowania z główną drogą.

- Skręć... w prawo-wydusił z siebie Sam.-I... zwolnij... Nie chcemy... żeby nas zatrzymali... za prędkość...

Zacisnęła zęby, ale posłuchała, chociaż instykt nakazywał jej zwiewać jak najszybciej, żeby oddalić się od pościgu. O tej porze był bardzo mały ruch, więc Lauren, jadąca w ciemnościach pustą drogą, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób trafiła do innego świata.

- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy już nie mogła znieść przedłużającego się milczenia.

Cisza.

- Sam?

Zerknęła na niego. Miał zamknięte oczy, leżał bezwładnie oparty o drzwi. Ogarnął ją strach.

- Sam, słyszysz mnie?

Dalej żadnej odpowiedzi.

- Sam, obudź się! Odezwij się do mnie!

Słyszała tylko warkot silnika i szum opon. Jakiś samochód śmignął obok, wyprzedzając furgonetkę, a Lauren aż podskoczyła nerwowo. Zagryzła wargi. Co ona miała teraz zrobić? Nie mogła tak jechać bez celu, nie wiedziała, gdzie szukać tego myśliwskiego domku, o którym wspomniał Sam. I nie miała pojęcia, skąd wezwać dla niego pomoc.

Z trudem zdusiła histeryczny szloch. Trzeba go opatrzyć, tylko jak to zrobić? Jeśli zabierze go do szpitala albo nawet do prywatnego lekarza, to ten będzie musiał sporządzić raport dla policji, zgłaszając ranę postrzałową. No i już po nich.

Było po północy, Lauren nie miała pojęcia, gdzie się znajdują, ale przed nimi pojawiły się światła jakiegoś miasta oraz znak witający gości w Monticello w stanie Utah. Podjęła decyzję.

Zatrzymała się przy najbliższym motelu i wynajęła pokój na kilka dni, posługując się kartą kredytową Sama na fałszywe nazwisko. Modliła się w duchu, żeby zaspany recepcjonista nie rozpoznał jej, ani nie zaczął zadawać żadnych pytań. Następnie zaparkowała tak blisko ich pokoju, jak

tylko się dało jakimś cudem ocuciła Sama, wyciągnęła go furgonetki, przerzuciła sobie przez barki jego zdrową rękę, objęła go wpół i zataczając się pod jego ciężarem, zdołała doprowadzić go do łóżka, na które upadli razem.

Lauren wstała, pobiegła do furgonetki, zabrała torbę, wpadła z powrotem do pokoju, zamknęła drzwi, zasunęła zasuwę, założyła łańcuch. Zauważyła, że Sam leży dokładnie tak, jak upadł. Nie poruszył się, nie wydal żadnego odgłosu. Szybko sprawdziła mu puls, uniosła powieki i stwierdziła, że stracił przytomność. Może i dobrze, zważywszy, co miała zrobić.

Starła się nie poddawać strachowi i zmęczeniu i myśleć logicznie. Skąd wziąć lekarstwa i bandaże? Zagryzła wargi, patrząc na rannego. Zostawić go i jechać na poszukiwanie całodobowej apteki? Wyciągnęła klucz od pokoju z kieszeni kurtki i zaczęła go obracać w palcach, debatując sama ze sobą. Nagłe olśniło ją i strzeliła palcami. Czemu wcześniej o tym nie pomyślała? Przecież w furgonetce ranczera, często pracującego na powietrzu, powinna być jakaś apteczka!

I rzeczywiście, za siedzeniem pasażera znalazła dużą plastikową skrzynkę oznaczoną wielkim czerwonym krzyżem.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, Augustusie - rzekła z uczuciem i popędziła z powrotem do pokoju.

Kosztowało ją to dużo wysiłku, ale w końcu

zdołała rozebrać leżącego Sama do połowy, i zająć mu kaburę. Wsunęła dłoń pod jego tors i aż jęknęła, gdy nie znalazła, czego szukała. Kula nie wyszła, utkwiała w ciele.

Przemyła ranę ciepłą wodą, obmyła mu całe plecy, potem nachyliła się i obejrzała ranę. Niedobrze. Poszarpane krawędzie były czerwone z siną obwódka, ze środka wciąż sączyła się krew. Znowu przemyła ranę i zauważyła wtedy drobniutkie strzępki ubrania, wbite w tkanki. Bolesnie ściągnęła brwi. Na pewno nie powinno się tak tego zostawiać.

Ku swej uldze w apteczce znalazła nie tylko gazę i bandażę, ale również jodynę, spirytus, pęsetę, tubkę maści z antybiotykiem, maść na oparzenia, a nawet nici chirurgiczne oraz igły. Na widok tego ostatniego aż zadrżała i zdjął ją podziw dla kowbojów. Musieli być naprawdę twardzi.

W łazience polała spirytusem pęsetę, wróciła do sypialni i uklękła przy łóżku. Zagryzła dolną wargę i zawahała się, kiedy jej drżąca dłoń zawisła nad okropną raną.

- Możesz to zrobić. Musisz to zrobić - powiedziała sobie.

Zamknęła oczy, zmówiła krótką modlitwę, odechnęła głęboko i nachyliła się.

Sam jęknął, gdy wyciągnęła z rany pierwszy strzępek, zaś Lauren jęknęła razem z nim. Przez następnych dziesięć minut delikatnie wycierała

płynącą krew, wydłubywała pęstą kolejne nitki i strzępki, usuwała je i starała się nie zwymiotować, chociaż żołądek podjeżdżał jej do gardła. Kiedy skończyła, znowu przemyła ranę i najdelikatniej, jak tylko mogła, rozsunęła jej brzegi, na co Sam jęknął znowu.

Nie zdołała zobaczyć niczego, co wyglądałoby na kulę, a nie zamierzała szukać jej głębiej, gdyż mogłaby raczej zaszkodzić niż pomóc.

- Wybacz mi, Sam, ale w tej sytuacji to najlepsze, co mogę zrobić - powiedziała, odkręcając buteleczkę z jodyną, a potem hojnie polała ranę.

Sam aż poderwał głowę z poduszki.

- O Jezu! C-co ty r-robisz?

- Przepraszam, naprawdę przepraszam! - zawołała. - Muszę opatrzeć ci ranę. Leż spokojnie, zaraz skończę.

Te ostatnie słowa były niepotrzebne, ponieważ Sam zemdlał. Znowu trochę rozsunęła brzegi rany, wycisnęła do środka prawie pół tubki maści z antybiotykiem, przykryła ranę opatrunkiem z gazy, który mocno przykleiła plastrami do skóry.

Westchnęła, usiadła na piętach i dopiero teraz zaczęła cała dygotać. Otoczyła się ciasno ramionami i na klęczkach kiwała się w przód i w tył.

- Proszę, nie pozwól mu umrzeć. Boże, błagam cię - powtarzała bez przerwy. - Nie zniósłabym tego.

I nie dlatego, że potrzebowała go, by jej chronił,

ale dlatego, że nie wyobrażała sobie życia bez Sama Rawlinsa i wcale nie chciała sobie tego wyobrazić, gdyż na samą myśl ogarniał ją ból. Zrobiła rzecz kompletnie głupią i zupełnie niewiarygodną, mianowicie zakochała się w tym twarde, małomównym i bardzo skomplikowanym mężczyźnie.

Jęknęła i zaczęła sobie wymyślać od żalonych idiotek, wyrzucała sobie słabość charakteru, ale to wszystko nic nie pomagało. Kochała go. Z całego serca i absolutnie nieodwołalnie.

Kiedy wreszcie przestała się trząść i odzyskała panowanie nad sobą, westchnęła, otarła przedramieniem pot z czoła i popatrzyła na śnieżnobiały opatrunek na plecach Sama, odcinający się ostro od brązowej skóry. Podniosła się, zdjęła Samowi mokasyny, przykryła go. Nie mogła zrobić nic więcej, pozostało jej czekać i mieć nadzieję, że rano będzie czuł się lepiej.

Kompletnie wyczerpana, ostatkiem sił rozebrała się, wzięła szybki prysznic, padła na drugie łóżko i z miejsca zasnęła. Dwie godziny później poderwała się do pozycji siedzącej i rozejrzała się dookoła, kompletnie zdezorientowana.

- Co się...?

Przez szczelinę między zasłonami wpadało światło księżyca, w jego słabym blasku ujrzała Sama i wszystko jej się przypomniało. Zrozumiała też, co ją obudziło. Sam jęczał i rzucał się gwałtownie.

Zerwała się na równe nogi.

- Sam, leż spokojnie, bo w ten sposób zrobisz sobie krzywdę. Jeśli nie przestaniesz, rana się otworzy.

Równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go uspokajająco.

- O Boże, Sam, jesteś cały rozpalony! - Odgarnęła mu włosy z czoła i zamrugała powiekami, by powstrzymać łzy. - Niech cię licho, Samie Rawlins! Ani mi się waż umierać. Nie po tym, przez co przeszliśmy razem. Słyszysz?

Gwałtownie rzucił głową po poduszce.

- Lau...ren - wychrypiał.
- Jestem tutaj. O co chodzi?
- Ko...cham cię.

Wydała zdławiony okrzyk, oczy jej się rozszerzyły, serce ścisnęło boleśnie. Tak bardzo pragnęła mu wierzyć, że na moment wezbrała w niej nadzieja, lecz Lauren szybko zdusiła ją w sobie. Nie bądź idiotką, zganiła się w myślach. On ma gorączkę, więc po prostu bredzi. Nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

Znowu rzucił się na łóżku, jęcząc, zaś Lauren otrząsnęła się. Na litość, przestań zachowywać się jak zadurzona nastolatka, to nie pora na myślenie o niebieskich migdałach, on potrzebuje twojej pomocy!

Nigdy w życiu nie opiekowała się chorym, ale wiedziała przynajmniej, że powinno się zbić

gorączkę. Zerwała prześcieradło ze swojego łóżka, pobiegła do łazienki, zmoczyła je zimną wodą, wróciła do sypialni, owinęła Sama. W ciągu paru minut prześcieradło zrobiło się bardzo ciepłe. Musiała kilkakrotnie biegać do łazienki, znowu płukać je w zimnej wodzie i znowu owijać Sama, aż wreszcie przestał być taki rozpalony. Dla odmiany zaraz potem chwyciły go dreszcze. Lauren zerwała z niego mokre prześcieradło, wytarła go do sucha ręcznikiem, przykryła kocami z obu łóżek, maksymalnie rozkręciła ogrzewanie, ale on nadal dygotał, więc położyła się przy nim i przytuliła go.

Uspokoił się i w końcu zasnął, a przynajmniej Lauren miała nadzieję, że on tylko śpi i nie stracił przytomności. Wyczerpana, zasnęła również. Dwie godziny później sytuacja powtórzyła się. Sam dostał gorączki, a Lauren biegała z mokrym prześcieradłem. Trwało tak do rana i przez cały następny dzień. Ranny na przemian miał gorączkę i dreszcze - tak silne, że zęby mu dzwoniły.

Rano zapukała do nich pokojówka. Lauren, udając zakatarzoną, powiedziała jej przez drzwi, że oboje z mężem przeziębili się i chwilowo proszą, żeby im nie przeszkadzać. Kiedy kroki oddaliły się, wywiesiła zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

Była zbyt zmęczona i zdenerwowana, by odczuwać głód, ale po południu zaczęło jej się robić trochę słabo, uznała więc, że jednak musi coś

zjeść. Sam zresztą również potrzebował jeść, więc zebrała się na odwagę i kiedy przysnął na trochę, wyskoczyła do najbliższego baru i kupiła jedzenie na wynos. Oczywiście najpierw zadbała o to, żeby jak najmniej przypominać osobę ze zdjęcia, które pokazano w telewizji, więc uczesała się zupełnie inaczej, do tego włożyła okulary przeciwsłoneczne, które Augustus miał w furgonetce. Ponieważ na szczęście słońce świeciło mocno i odbijało się od śniegu, kamuflaż w postaci ciemnych okularów nie wzbudzał podejrzeń.

Nakarmienie Sama ciepłą zupą okazało się żmudnym i wyczerpującym zajęciem, gdyż musiała mu wlewać zupę do ust łyżeczką. Była potem tak wykończona, że ledwie zjadła pół kanapki, którą przyniosła dla siebie. Zapadł zmierzch, nastał wieczór. Denerwowała się coraz bardziej, gdyż naprzemienne napady gorączki i dreszczy wyraźnie osłabiały Sama, a ona nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dla niego zrobić.

Dwadzieścia cztery godziny po zameldowaniu się w motelu leżała na łóżku, trzymając Sama w objęciach i patrzyła w sufit, prawie chora ze zdenerwowania. Co dalej?

- Nu... mer...

Gwałtownie spojrzała na Sama, dotknęła dłonią jego czoła. Dopiero co miał atak dreszczy, teraz znowu zaczynał gorączkować.

- Obudziłeś się? Mówiłeś coś?

Otworzył oczy.

- Sam, ocknąłeś się! - wykrzyknęła. - Dzięki Bogu!

Próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobył się tylko chrapliwy szept, więc Lauren przytknęła ucho do jego warg, by lepiej słyszeć.

- W moim... por...tfelu... Numer... Kuzyn La... rry... Za...dzwoń...

Zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewien, że możemy mu ufać?

Nie uzyskała od Sama odpowiedzi, znów był nieprzytomny.

Znalazła portfel Sama w wewnętrznej kieszeni kurtki, zamykanej na suwak. Była w nim kartka z wydrukowanymi kilkunastoma nazwiskami i numerami telefonów. Jedno z nich brzmiało Larry Zah.

Lauren nerwowo chodziła po pokoju w tę i z powrotem, ściskając w ręku kartkę i bijąc się z myślami, niepewna, co powinna zrobić. Czy temu człowiekowi naprawdę można było wierzyć? A jeśli Sam po prostu był zdesperowany i postanowił zaryzykować, bo musiał w końcu uzyskać pomoc? A może w ogóle bredził w gorączce?

Zatrzymała się, popatrzyła na kartkę. Popatrzyła na telefon. Popatrzyła na Sama, który znowu zaczynał się rzucać na łożku. Nie miała wyjścia.

Po piątym sygnale ktoś odebrał i w słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Słucham.
- Czy pan Larry Zah?
- Tak. Kto mówi?
- Jest pan kuzynem Sama Rawlinsa, prawda?

Nastąpiła chwila ciszy, a gdy mężczyzna odezwał się ponownie, jego głos brzmiał przytomnie i czujnie.

- Owszem, a o co chodzi?
- Sam jest ze mną i... i potrzebuje pańskiej pomocy. Został postrzelony.
- Postrzelony?
- Tak. I jest z nim naprawdę źle.

Nie zastanawiał się ani przez moment.

- Proszę powiedzieć, gdzie jesteście, przyjadę po was.

Cały czas nie wiedząc, czy dobrze robi, podała mu nazwę motelu i numer pokoju.

- Już jadę.

Przez następną godzinę i dziesięć minut Lauren popadała ze skrajności w skrajność, raz myśląc, że zrobiła dobrze i Sam nareszcie uzyska pomoc, a już za minutę wyrzucając sobie, że popełniła straszliwy błąd i oboje zginą. Kiedy usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu, stanęła przy oknie. Zgasiła uprzednio światło w pokoju, więc nie było jej widać. W dłoni ścisnęła pistolet Sama. Jeśli ten cały Larry zdradził ich i zwalił im na kark zbirów Carla Giovesiego, to przynajmniej nie będzie czekała jak owca na rzeź.

Ostrożnie wyrzała zza zasłony. Z obdrapanego pikapu wyskoczył potężnie zbudowany mężczyzna w dżinsach, kraciastej koszuli, skórzanej kurtce na futerku i wypukłym filcowym kapeluszu ozdobionym srebrzystą tasiemką. Proste, połyskliwe włosy opadały mu aż do pasa niczym czarny wodospad.

Lauren bacznie zlustrowała teren parkingu. Poza przybyszem nie dostrzegła nikogo.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - spytała, zniżając głos.

- Larry.

Trzymając pistolet za sobą, lewą ręką zdjęła łańcuch, odsunęła zasuwę, wpuściła Indianina do środka. Ledwie rzucił na nią okiem, od razu skierował się do łóżka, sięgnął po leżącą na nim kurtkę, ubrał w nią nieprzytomnego Sama i wziął go na ręce jak dziecko, chociaż ranny nie był ułamkiem i swoje ważył.

- Zabieraj wasze rzeczy, wychodzimy.

Kiedy czekała na niego, zdążyła zmienić Samowi opatrunek na świeży i spakować ich, więc była gotowa do drogi. Dyskretnie schowała pistolet do torebki, zarzuciła na ramię torbę podróżną, wzięła mokasyne Sama oraz apteczkę Augustusa i pośpieszyła za Larrym Zahem.

- To wasz wóz? - spytał, wskazując brodą furgonetkę.

- Nie. Pożyczyliśmy go od ojca Sama.

- Niech zostanie tutaj. Rano zadzwonię do Augustusa i powiem mu, dokąd ma przyjechać po samochód.

Jest taki szorstki i małomówny, że równie dobrze mógłby być jednym z Rawlinsów, pomyślała.

Chwilę potem już jechali na południe. Sam spoczywał bezwładnie, oparty całym ciężarem o Lauren, która mocno otoczyła go ramionami.

- A tak w ogóle... Nazywam się Lauren Brownley - powiedziała po jakimś czasie.

- Domyśliłem się. - Posłał jej nieodgadnione spojrzenie. - Wiesz, mamy telewizję w rezerwacie.

- Ro... rozumiem. - Ukradkiem wsunęła dłoń do torebki i zacisnęła palce na broni. - W takim razie widziałeś wiadomości.

- Tak.

- To wszystko nieprawda.

- Tego też się domyśliłem. Sam jest najuczciwszym z ludzi.

Puściła broń, znowu objęła Sama obiema rękami. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

- Dokąd nas zabierasz?

- Do rezerwatu. Mamy tam lekarza.

- Och, ale przecież...

- Spokojnie. Lekarz jest z naszego szczepu i będziemy na terenie Nawahów. Nikt nie złoży żadnego raportu.

Zamknęła oczy i niemal osłabła z ulgi.

- Dziękuję.

Ponieważ Larry nie zdradzał chęci do rozmowy, ułożyła Sama nieco wygodniej i odchyliła głowę na oparcie. Godzinę później obudziły ją jakieś wstrząsy. Otworzyła oczy i zobaczyła, że zjeżdżają po dość stromym zboczu najbardziej wyboistą polną drogą, jaką kiedykolwiek widziała. Potem wyjechali na równiejszy teren, gdzie przez całe kilometry droga prowadziła pomiędzy potężnymi skalnymi formacjami, wysokimi jak wielopiętrowe bloki. W księżycowej poświacie wyglądały niesamowicie, wydawały się stać na straży niczym milczący wartownicy.

- To musi być Monument Valley - odgadła Lauren, a w jej głosie brzmiał ton nabożnego zachwyty.

- Tak, ale nie ta mała część dostępna dla turystów. Reszta doliny należy do Nawahów, a do rezerwatu mają wstęp tylko członkowie plemienia.

Już miała zapytać: „A co ze mną? Przecież ja nie jestem Nawaho”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Jechali przez rozległy teren, coraz dalej w głąb rezerwatu, co jakiś czas mijając skromne domy, a Lauren zauważyła, że za każdym z nich stał tradycyjny kopulasty wigwam. Sam zaczął robić się niespokojny, jęczał, gdy pikap podskakiwał na nierównej drodze. Lauren dotknęła jego czoła i stwierdziła, że znów dostał gorączki.

Wreszcie dotarli do czegoś w rodzaju maleńkiej

osady, na którą składał się jeden nieduży dom oraz dwie przyczepy mieszkalne.

- Tutaj mieszkam - rzekł Larry, zatrzymując się przed jedną z przyczep.

Drzwi otworzyła trzydziestoparoletnia Indianka w tradycyjnej sukni i mokasynach, zapewne żona Larry'ego. On nie bawił się w przedstawianie sobie obu kobiet, od razu wniósł rannego do środka, zaś ona była tak przejęta i zdenerwowana, że w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciła uwagi na Lauren. Kiedy wreszcie na nią spojrzała, ewidentnie przeżyła szok. Już miała coś powiedzieć, lecz Larry ją uprzedził.

- Łóżko gotowe?

- Tak. Pomyślałam, że najlepiej będzie mu w pokoju chłopców, więc przeniosłam ich tutaj.

- Wskazała dwóch nastolatków, śpiących na kanapie, a potem poszła w głąb korytarzyka, za nią pospieszył Larry, zaś Lauren deptała mu po piętach.

W małym pokoiku mieściły się dwa łóżka. Larry ostrożnie położył kuzyna na tym, które stało bliżej drzwi, kładąc go na brzuchu. Sam jęknął, Lauren skoczyła ku niemu, dotknęła dłonią czoła.

- Znowu ma gorączkę, i to wysoką - rzuciła przez ramię.

- Zadzwońię po lekarza.

Zahowie wyszli, a chociaż żona Larry'ego starała się mówić ściszym głosem, Lauren i tak ją usłyszała.

- Ona nie może tu zostać. Nie jest jedną z nas.
 - Będzie naszym gościem.
 - Ale innym nie będzie się podobać, że zamieszkała u nas biała kobieta. Przecież to niedozwo...
 - Cicho, Zeta, ona tu zostaje. To kobieta Sama.
- Kobieta Sama? Lauren poczuła, jak na samą myśl przebiegają rozkoszny dreszcz. Usiadła przy rannym, ujęła go za rękę. Niestety, dla niego była tylko zadaniem do wykonania, świadkiem, którego kazano mu chronić. Owszem, pożądał jej i może nawet zaczął darzyć pewną sympatią, ale z całą pewnością nie uważał jej za „swoją kobietę”.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że po procesie Carla Giovesiego ich drogi rozejdą się. On będzie dalej pracował jako agent FBI, a może rzuci tę robotę i wróci na ranczo, ona dostanie nowe nazwisko, nową tożsamość i zamieszka w wyznaczonym jej miejscu.

I już nigdy więcej się nie zobaczą.

Łzy zapiekły ją pod powiekami, lecz opanowała się jakoś. To nie czas na podobne rozważania. A jeśli jego krewni sądzą, że jest jego kobietą, to nie będzie wyprowadzać ich z błędu.

Zahowie wrócili jakiś czas potem, przyprowadzając szczupłego Indianina Nawaho, który niósł torbę lekarską. Towarzyszyła mu prześliczna dwudziestoparoletnia dziewczyna o delikatnych rysach, ogromnych oczach i wdzięku płochliwej łani. Ledwie ujrzała rannego, przypadła do jego boku, sip A43

siadając po przeciwnej stronie pośłania niż Lauren, zatopiła w nim zachwycone spojrzenie i zaczęła gładzić go po karku, najwyraźniej zapominając o obecności innych osób.

- Och, Sam - wyszeptała. - Najdroższy... Co oni ci zrobili?

Lauren poczuła, jak serce w niej zamiera. Ta przepiękna Indianka była zakochana w Samie!

Wstrząśnięta swoim odkryciem i nieszczęśliwa z jego powodu, odsunęła się, by dać lekarzowi dostęp do chorego. Przelotnie rzucił na nią okiem.

- Pani musi być Lauren Brownley. Jestem doktor Sani, a to moja siostra Willow.

Lauren skinęła głową na powitanie.

- Kiedy to się stało? - spytał, kiedy zdjął Samowi opatrunek.

- Mniej więcej... dwadzieścia siedem godzin temu - odparła, rzucając okiem na budzik stojący przy łóżku. - Zrobiłam, co mogłam, ale kula wciąż tkwi w ciele.

- Byłoby znacznie lepiej, gdybym mógł zająć się nim od razu... Ale na szczęście znakomicie pani sobie poradziła, rana nie jest zainfekowana. Będę musiał wyjąć kulę. Właściwie powinienem zabrać go do szpitala i przed operacją prześwietlić ramię, ale nie sądzę, by Sam chciał tak ryzykować. Szpital znajduje się w części rezerwatu dostępnej dla białych, więc gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby szukać was aż tutaj...

- Operuj go tutaj, doktorze - ponaglił Larry.

Lekarz dotknął rany, a Sam z krzykiem rzucił się na łóżku. Willow zaczęła gładzić go po plecach, szepcząc coś uspokajająco, lecz to nie pomagało.

- Lau...ren... Gdzie jest... Lauren?

Willow drgnęła, jakby ją ktoś spoliczkował. Gwałtownie poderwała głowę i poszukała wzrokiem rywalki, która już wymijała doktora, już bezceremonialnie odsuwała ją łokciem, już brała rannego za rękę.

- Jestem przy tobie, Sam.

- Sam, słyszysz mnie? - spytał doktor Sani.

Pacjent wydał z siebie jakieś nieartykułowane mruknięcie, które mogło oznaczać potwierdzenie, więc doktor kontynuował:

- Zamierzam wyjąć ci kulę z rany. Dostaniesz miejscowe znieczulenie, ale uprzedzam, że i tak będzie trochę bolało. W tych warunkach nie da się zrobić tego inaczej. Masz leżeć tak spokojnie, jak tylko zdołasz. Zgoda?

- Zgo...da.

Lekarz rozejrzał się.

- Przykro mi, ale muszę wyprosić wszystkich z pokoju. Zostanie tylko moja siostra, która mi pomoże.

Sam zacisnął palce na dłoni Lauren.

- Nie... idź. Zo... stań.

- Nigdzie nie pójdę, obiecuję. Będę przy tobie tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował.

- Podniosła wzrok na doktora i oznajmiła twardo:
- Zostaję.

Przez chwilę patrzył na jej zdeterminowaną twarz, po czym skinął głową.

- W porządku.

Najpierw Sam znosił zabiegi prawie ze stoickim spokojem, zagryzając zęby i tak mocno ściskając dłoń Lauren, że niemal pogruchotał jej kości, ale kiedy doktor musiał sięgnąć po kulę naprawdę głęboko, obie z Willow ledwie zdołały przytrzymać go na łóżku, chociaż włożyły w to wszystkie siły. Na szczęście po kilku sekundach zemdłał.

Lekarz wyciągnął kulę, oczyścił ranę, zaszył, opatrzył, dał rannemu antybiotyk w zastrzyku, dokładnie wypisał wszelkie zalecenia i o świcie odjechał, przykazując, by powiadomić go w razie jakiegokolwiek pogorszenia, i obiecując wrócić po południu.

Cholera. Prawe ramię bolało go piekielnie. Sam z trudem uniósł ciężkie powieki i jego pierwsze spojrzenie padło na Lauren. Spała w niewygodnej pozycji, siedząc na krześle, a górną połową ciała leżąc na materacu obok Sama. Jak zwykle jej uroda chwyciła go za serce i na moment odebrała mu dech.

Miała twarz obróconą w jego stronę, lśniące włosy rozsypały się na kocu, długie rzęsy spoczywały na policzkach jak dwa malutkie wachlarzyki.

Uderzyło go, że wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Była bledsza niż zazwyczaj i znowu zrobiły jej się sine podkówki pod oczami. I czemu spała w tak dziwnej pozycji?

Rozejrzał się i rozpoznał pokój synów swojego kuzyna, a wtedy powoli wszystko zaczęło mu się przypominać -pościg, postrzał, Lauren prowadząca furgonetkę jak rajdowiec, pokój w motelu, ból, gorączka, jakieś oderwane obrazy i odgłosy. Znowu spojrzął na śpiącą, czując, jak z jego sercem dzieje się coś dziwnego. Nie dość, że dzięki niej znalazł się bezpiecznie na terenie rezerwatu, to jeszcze czuwała przy nim w nocy.

Sięgnął po jej włosy, poczuł, jak jedwabiste kosmyki prześlizgują mu się między palcami i z powrotem opadają na koc. Impulsywnie pogładził ją po policzku.

Otworzyła oczy, a potem usiadła gwałtownie.

- Sam! Obudziłeś się! Jak się czujesz? Bardzo cię boli? Lekarz zostawił środki przeciwbólowe.

- Nie potrzebuję ich.

- Coś ci przynieść? Wody? A może coś do jedzenia? Pewnie umierasz z głodu. Zaraz pójde po... - Zaczęła się podnosić, ale złapał ją za rękę, ignorując ból, jaki przy tym przeszył jego ramię.

- Spokojnie. Naprawdę nic mi nie jest.

Nie wyglądała na przekonaną i nim zdołał ją powstrzymać, położyła mu dłoń na czole, by sprawdzić, czy nie ma gorączki.

- Chyba wreszcie spadła ci temperatura.

Wziął jej dłoń, zdjął ze swojego czoła, ale nie puścił jej.

- Przestań się martwić, dobrze? Naprawdę wszystko w porządku.

Przyglądał jej się intensywnie, patrząc na bladą twarz, na czerwone ślady od spania na policzku, na miękkie usta, na malowniczo potargane włosy.

- Zadziwiasz mnie od pierwszej chwili - rzekł cicho, powoli gładząc kciukiem grzbiet jej dłoni. - I z każdym dniem zadziwiasz mnie coraz bardziej. Naprawdę.

Zaśmiała się z zakłopotaniem.

- A jednak masz gorączkę.

- Mówię poważnie. Przez całe lata trzymano cię pod kloszem, nie miałaś styczności z normalnym życiem, a mimo to, gdy teraz musisz radzić sobie sama, podnosisz dumnie tę swoją małą głowę i stawiasz czoła każdemu nowemu wyzwaniu. Nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby w sobie tyle charakteru i determinacji. - Uśmiechnął się nieco krzywo. - Podziwiałem twoją siłę nawet wtedy, gdy miałem cię za kochankę Carla.

Zarumieniła się lekko, spuściła wzrok na ich złączone dłonie.

- Nie chwal mnie tak. Zrobiłam, co zrobiłam, bo nie miałam wyboru.

- Nie, zawsze możemy dokonać jakiegoś wyboru, robimy to w każdej chwili, każdego dnia.

Lauren, posłuchaj mnie. - Wyciągnął rękę, ujął ją pod brodę i unióś jej twarz tak, by musiała na niego spojrzeć. - Jesteś wyjątkową kobietą. - Pogładził ją kciukiem po brodzie. - Bardzo wyjątkową...

- A niby kim jest ta wyjątkowa kobieta, którą sprowadziłeś na naszą ziemię? - odezwał się od progu ostry głos.

Lauren aż podskoczyła, odwróciła się i z poczuciem winy szybko odsunęła się od łóżka. W drzwiach stała pulchna siwowłosa Indianka o pobrużdżonej twarzy, tak twardej i surowej jak widoczne przez okno skały.

Sam spokojnie spojrział na przybyłą.

- Witaj, babciu. Miło cię widzieć. Poznaj Lauren Brownley. Lauren, to małe tornado to moja babcia, Annie Zah.

Lauren już otwierała usta, by uprzejmie przywitać starszą kobietę, lecz ta z miejsca wykluczyła ją z dalszej rozmowy, przechodząc na język Nawaho.

- Nie próbuj mnie sprytnie podejść, chłopcze. Najpierw przez cały rok nie pokazujesz się i nie odwiedzasz rodziny, a potem zjawiasz się ranny w środku nocy. Jakby tego nie było dosyć, obraziłeś nas, przywożąc tutaj białą kobietę. Złamałeś nasze prawo.

- Przykro mi, babciu, ale nie dało się inaczej - odpowiedział w tym samym języku. - Lauren jest świadkiem w bardzo ważnej sprawie, mam za

zadanie ją chronić. Są ludzie, którzy próbują zabić nas oboje. Dwa dni temu udałoby im się, gdyby nie Lauren. Uratowała mi życie.

Na twarzy Annie odbiło się zaskoczenie. Przedtem ledwie rzuciła okiem na Lauren, ale teraz przyjrzała jej się uważnie, a potem odwróciła się z powrotem do wnuka i potrząsnęła głową.

- Jestem jej za to wdzięczna, ale to niczego nie zmienia. Ona musi stąd odejść, zanim inni dowiedzą się o jej obecności.

Lauren przenosiła zakłopotane spojrzenie z jednego na drugie, ale oni dalej kłócili się w swoim języku, zdając się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi.

- Jeśli ona odejdzie, ja też.

- Nie wygaduj głupstw! Rozmawiałam z doktorem Sani, nie jesteś w stanie nigdzie iść czy jechać. Musisz leżeć i odzyskiwać siły. Zostajesz.

Patrzył na babkę niemal bez mrugnięcia okiem.

- Tylko razem z Lauren - oświadczył.

- Ona nie ma prawa tu przebywać.

- Będzie je miała, jeśli weźmiemy ślub.

Oczy Annie aż rozszerzyły się ze zdumienia. Z nowym zainteresowaniem popatrzyła na Lauren.

- Ta kobieta aż tyle dla ciebie znaczy?

- Tak.

Przygotował się wewnątrz na potężną kłótnię, tymczasem babka skinęła głową.

- Dobrze, zajmę się tym.

Podejrzliwie zmrużył oczy.

- Tak po prostu? Nie masz nic przeciw temu?

- Czemu miałabym mieć coś przeciw?

- A nie chciałaś, żebym poślubił kobietę Nawaho? Konkretnie mówiąc, Willow Sani? Podsuwasz mi ją, odkąd skończyła czternaście lat.

- Chciałam tylko, żebyś ją zauważył, to wszystko - odparła z wyniosłą godnością głowy rodu. Podeszła, przysiadła na łóżku, wzięła wnuka za rękę. - Zgadza się, byłabym zadowolona, gdybyś wziął za żonę którąś z naszych kobiet, ale najważniejsze jest dla mnie, żebyś był szczęśliwy. Od lat patrzę, jak nie możesz znaleźć sobie miejsca, jak jesteś rozdarty między oboma światami i nie czujesz, żebyś do któregoś przynależał do końca. Myślałeś, że nie wiem? - spytała na widok jego zaskoczony miny.

- Nigdy nic nie powiedziałaś.

- Ponieważ musiałeś sam zdecydować, do którego świata należysz duchowo. - Westchnęła. - Dawno już powinienesz być założyć rodzinę, ale wiedziałam, że nie zrobisz tego, dopóki nie zrozumiesz, gdzie przynależysz. Augustus chyba też to wiedział. - Zerknęła na Lauren, potem na wnuka. - Myślę, że znalazłeś to, czego szukałeś.

Sam zapatrzył się na Lauren i trwało to tak długo, że poczuła się nieswojo.

- Myślę, że masz rację - powiedział do Annie i ku swemu zdumieniu ujrzał, że babka uśmiech-

nęła się szeroko. - Naprawdę ci to nie przeszkadza?

Poklepała go po ręku.

- Nie. Tak chyba rzeczywiście będzie najlepiej. Różnice między naszymi światami są teraz mniejsze niż za czasów młodości twoich rodziców. Nasi ludzie przejmują coraz więcej obyczajów białych ludzi. Smuci mnie to, ale co mogę zrobić? Jednak najważniejsze różnice pozostaną. To one zniszczyły małżeństwo twoich rodziców. Augustus jest dobrym człowiekiem, kochał moją córkę i ona go kochała, ale nawet miłość nie zdołała przeważyć jej potrzeby bycia wśród swoich. Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się również tobie. Jeśli twój duch należy do świata białych ludzi, to właśnie tam jest twoje miejsce. - Znowu poklepała dłoń Sama. - Ale cokolwiek wybierzesz, nie przestaniesz być moim wnukiem. Ty i twoja żona będziecie tu zawsze chętnie witani.

Patrzył na nią, czując tak nieznośny ucisk w piersi, że niemal zapomniał o bolącym ramieniu. Ta rozmowa oznaczała punkt zwrotny w jego życiu, gdyż to, co teraz odpowie babce, wyznaczy jego dalszy los i na zawsze odmieni jego relacje z Nawahami. Coś w nim chciało się wycofać z zadeklarowanego przed chwilą postanowienia, by zachować dotychczasowy stan rzeczy, ale w głębi serca czuł, że babka ma rację. Musiał podjąć decyzję.

- Jesteś bardzo mądra, babciu - rzekł cicho.

Skinęła głową, akceptując jego wybór, w jej oczach pojawił się przy tym cień smutku, lecz Sam pokochał ją za to jeszcze bardziej. Nachyliła się i pocałowała wnuka w policzek.

- Pójdę i zajmę się przygotowaniami do ceremonii.

- I na czym stanęło? - spytała Lauren, gdy zostali sami. - Czy muszę wyjechać?

- Nie.

- Dzięki Bogu! - Odetchnęła z ulgą i przycisnęła dłoń do serca. - Ale co takiego jej powiedziałaś, że zmieniła zdanie? I co z innymi? Nie będą krzywo patrzeć na moją obecność w rezerwacie?

- Za kilka dni nie będą mieli powodu. Będziemy mężem i żoną.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Że co?!
- Bierzemy ślub.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Szok, podekscytowanie, nadzieja i tysiąc innych emocji przemknęło jej przez głowę.

- Ty... prosisz mnie o rękę?

- To najlepsze rozwiązanie. W moim obecnym stanie nie dam rady stąd wyjechać, a nawet gdybym próbował, Annie i tak mnie nie wypuści. Nie ma też mowy, żebyś ty wyjechała beze mnie. Po moim trupie! Ale jeśli zostaniesz moją żoną, nikt nie będzie narzekał i nikt nie powiadomi władz, gdyż Nawahowie zawsze chronią swoich. W dodatku nie ma bezpieczniejszego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć do dnia procesu.

- Ro... rozumiem. Czyli... czyli to nie ma być małżeństwo na stałe?

Starła się zachować zwykły wyraz twarzy i udawać, że pyta z czystej ciekawości, lecz czuła się tak, jakby jakaś potężna dłoń zacisnęła się na jej sercu. Przez kilka chwil Sam przyglądał jej się we właściwy sobie niesłychanie intensywny sposób, wreszcie wzruszył zdrowym ramieniem.

- Nie musi.

Nie wiedziała, jak ma to rozumieć. Był gotów spróbować, czy to wypali jako stały związek, gdyby ona też chciała spróbować? A może dawał do zrozumienia, że wszystko mu jedno? Nie wiedziała, czy ma czuć się urażona czy pełna nadziei.

- A co z Willow?

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Jest w tobie zakochana.

- Moja babka jej to wmówiła, bo chciała nas wyswatać. Ja nigdy nie zachęcałem Willow w żaden sposób.

- Niemniej złamie jej to serce.

- Przykro mi z tego powodu, ale z czasem jej przejdzie, to jeszcze dziecko. - Czekał przez króciutki moment. - To co? Pobieramy się?

- Ja...

- Słuchaj, naprawdę nie mamy zbyt dużego wyboru - rzekł ze zniecierpliwieniem. - Nawet jeśli będziemy mogli tu posiedzieć jeszcze przez parę dni, dopóki nie stanę na nogi, to ledwie opuścimy granice rezerwatu, tamci rzucą się na nas znowu jak psy gończe.

- Myślisz, że wiedzą, gdzie jesteśmy?

Zawahał się.

- Na razie jeszcze nie, ale w końcu dodadzą dwa do dwóch. Tylko że bez nakazu sądowego nie odważą się wejść na teren rezerwatu.

- Czemu tak sądzisz?

- FBI w ciągu kilku ostatnich lat nie miało najlepszej prasy, więc nie będą ryzykować, że znowu podpadną. Zresztą przeszukanie obszaru tej wielkości wymagałoby całej armii, więc byłaby to bez mała inwazja. Bardzo mało prawdopodobne, by FBI się na to porwało.

- Skąd ta pewność? Przecież zrobiono na nas ogólnokrajową obławę. Czemu mieliby się teraz wycofać?

- Z kilku powodów. Po pierwsze, nie znajdujemy się już w miejscu, gdzie nie ma żywej duszy, a więc i świadków. W górach ludzie Carla mogli bezkarnie naszpikować nas ołowiem, bo i tak myślano by, że zginęliśmy w katastrofie. Tutaj nie da się już przeprowadzić takiej egzekucji. Po drugie, do akcji wkroczył Ed Stanhope, który ma dość wpływów, by położyć kres rozpowszechnianiu fałszywych oskarżeń. Osobiście poręczy za to, że oboje stoimy po stronie prawa, na dowód czego przywiezę cię na rozprawę.

- Oby było tak, jak mówisz - rzekła bez większego przekonania w głosie.

- Nie okłamywałbym cię, dziecinko. Ludzie

Giovesiego nadal będą chcieli nas sprzątnąć, bo jeśli tego nie zrobią, trafią za kratki, ale dzięki działaniom Eda nie będą już mieli za sobą całego FBI. Dlatego najlepiej jest się pobrać i przyciąć się tutaj aż do procesu. Dopóki nie wytkniemy stąd nosa, jesteśmy bezpieczni.

Lauren kurczowo splótła palce. Czuła się kompletnie rozdarta.

Chociaż znali się od tak niedawna, zdołali razem przejść więcej niż niejedna para przez pięćdziesiąt lat wspólnego pożycia. W ekstremalnych warunkach cała prawda o człowieku wychodzi na jaw, więc poznali się nawzajem bardzo dobrze.

Owszem, Sam był szorstki, małomówny i skryty aż do bólu, podejrzewała jednak, że to wynik tych wszystkich lat, gdy czuł się rozdarty pomiędzy dwoma światami, dwiema kulturami, a przez żadną nie czuł się zaakceptowany do końca. Nie miał pojęcia, kim właściwie był i gdzie przynależał, stąd jego oschłość i chłód.

Jednocześnie był niezłomnym, absolutnie wiarygodnym człowiekiem o silnym charakterze. Na początku Lauren złościła się, że stała się od niego zależna, ale przy nim nauczyła się, czym jest prawdziwa samodzielność, jak również i tego, że w niektórych sytuacjach najlepiej jest współdziałać, co wcale nie oznacza utraty niezależności.

W miarę upływu czasu przekonała się, że pod tą twardą skorupą, którą ukazywał światu, kryje się ktoś wrażliwy i zdolny do czułości. I lojalny. Sam nigdy nie użyłby kobiety do swoich celów i nie porzuciłby jej, gdyby przestała być mu potrzebna - jak uczynił to Collin.

Pokochała więc tego skomplikowanego człowieka z całego serca i niczego nie pragnęła bardziej, niż wyjść za niego... Ale nie w taki sposób.

Tylko czy miała jakiś wybór?

- Dobrze, Sam. Wyjdę za ciebie.

W jego oczach coś błysnęło, lecz znikło tak szybko, że powiedziała sobie, że musiało jej się przywidzieć. Energicznie skinął głową, jakby ustalili najzwyczajszą rzecz na świecie, na przykład co zjedzą na obiad lub na co pójdą do kina.

- Świetnie. A teraz chętnie zjadłbym jakieś śniadanie, jeśli można.

- Och... Tak, oczywiście. Przecież musisz umierać z głodu. Zaraz wracam.

Wyskoczyła na korytarzyk, gdzie stanęła oko w oko z Willow Sani, a wyraz twarzy dziewczyny zdradził Lauren, że tamta podsłuchiwała. Serce ścisnęło jej się ze współczucia.

- Willow, tak mi przykro!

Indianka spojrzała jej prosto w oczy.

- Niech ci nie będzie przykro. To ciebie przecież pragnie.

- Och, mylisz się! Przecież słyszałaś, co powiedział. Chodzi tylko o to, żeby mnie ochronić.

Willow uśmiechnęła się ze smutkiem.

- To ty się mylisz. Sam nigdy nie wzięłby za żonę kobiety, której by nie kochał. Gdyby chciał cię tylko chronić, znalazłby inny sposób.

Serce Lauren fiknęło koziołka. Czy to możliwe? Nie, oczywiście, że nie. A jednak... Przecież on rzeczywiście raz powiedział jej, że ją kocha, lecz wtedy uznała to za bredzenie w gorączce.

- Muszę iść. - Indianka odwróciła się. - Przyszłam tylko zobaczyć, jak Sam się czuje.

- Willow...

- Proszę, nie zajmuj się mną. Nic mi nie będzie - oznajmiła z godnością i wyszła.

Lauren i Sam wzięli ślub o zachodzie słońca następnego dnia.

Ranny wciąż był słaby, ale nie chciał słuchać tłumaczeń, że jeszcze nie wolno wstawać mu z łóżka. Wsparty na ramieniu Larry'ego, zdołał przejść kilkadziesiąt metrów do miejsca przy wielkiej, malowniczej skale, które babka wybrała na miejsce ceremonii. Czekają tam około dwudziestu Indian Nawaho - krewnych i przyjaciół Sama - w tym doktor Sani oraz jego siostra. Sam przeżył prawdziwy szok, gdy od grupy odłączyły się trzy osoby i wyszły im na spotkanie.

- Tato! Co ty tutaj robisz?

- Jesteś moim synem. Gdzie indziej mógłbym być?

- I gdzie indziej mogliby być w taki dzień twoja ciotka i wuj? - dodał Walter, zaś Eunice uściskała Lauren.

Augustus bacznie przyjrzał się synowi, zaniepokojony nie na żarty jego bladością, spojrzawszy na ramię unieruchomione na temblaku.

- Chciałem też sprawdzić, co z tobą. Larry zadzwonił wczoraj rano, opowiedział, co się stało i zapewnił, że nic ci nie będzie, ale jak zobaczyłem mój wóz podziurawiony jak rzeszoto...

- Przepraszam cię za tę furgonetkę. Zapłacę za naprawę.

- Do diabła z furgonetką! - ryknął Augustus.
- Cholera jasna, synu, czy ty nie rozumiesz, ile dla mnie znaczysz?

Twarz Sama pozostała niewzruszona, lecz Lauren widziała, że przełknął gwałtownie i z całych sił próbował zapanować nad emocjami. Wreszcie wymamrotał zmienionym głosem:

- Dzięki, tato. - I objął go zdrową ręką.

Augustus uściskał syna, mocno zaciskając powieki. Potem odsunął się i znów zlustrował go uważnym spojrzeniem.

- Powiedz mi, jak się czujesz?

- Całkiem nieźle. Daj mi tydzień, a wyliżę się z tego zupełnie. Za to ty mi powiedz, skąd wiedziałeś ó naszym ślubie?

Twoja babcia, niech jej Bóg da zdrowie i długie życie, przesłała wiadomość przez naszych wspólnych przyjaciół.

Sam, który rzadko okazywał po sobie jakiegokolwiek emocje, zrobił tak zdumioną minę, że wyglądało to niemal komicznie.

- Żartujesz! To babcia Zah cię zaprosiła?

- Tak. Wiedziała, że chciałbym tu być w takiej chwili.

- Ale przecież to teren zamknięty dla białych.

- Nie martw się, twoja rodzina przebywa tu jako moi specjalni goście.

Sam odwrócił się i ujrzał Annie. Stała za nim w swojej najlepszej czerwonej spódnicy, długiej szafirowej bluzie, ściśniętej w talii paskiem z dużych srebrnych kółek. Jej ramiona okrywał tradycyjny kolorowy pled.

- Nie wiedziałem, że w ogóle rozmawiasz z tatą i jego rodziną.

- Nasze drogi przestały się krzyżować, ale Augustus i ja nie jesteśmy wrogami. Czemu mielibyśmy nimi być? Oboje kochaliśmy moją córkę.

Sam rozejrzał się z niepokojem.

- Tato, bardzo się cieszę, że przyjechałeś, naprawdę, ale nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł, bo mogliście przyciągnąć za sobą ludzi Carla. Na pewno oba rancza są obstawione.

- Oczywiście, że są, ci głupcy obserwują wszystkie wyjścia, siedząc w samochodach, pijąc podł

kawę z termosów i odmrażając sobie tyłki. Tymczasem my wymknęliśmy się przez tylne pastwisko, gdzie nie ma żadnych bram, za to zaczynają się lasy stanowe, przejechaliśmy sobie przecinkami i dopiero potem wyskoczyliśmy na główną drogę. Wrócimy w ten sam sposób, nikt się nawet nie zorientuje, że nas nie było. A teraz odsuń się, chcę zobaczyć moją przyszłą synową. - Wziął jej dłoń w dwie ręce. - Witaj w rodzinie, Lauren.

- Dziękuję panu.

- Mów mi „tato”.

Teraz ją zlustrował wzrokiem. Była ubrana podobnie do Annie, miała na sobie pożyczoną długą zieloną spódnicę, białą bluzę z bufiastymi rękawami oraz kolorowy indiański pled. Czuła się zakłopotana i myślała, że wcale nie wygląda jak panna młoda.

Twarz Augustusa, tak podobna do twarzy Sama, złągodniała na jej widok.

- Co za miły widok dla moich starych oczu! Dziecko, przypominasz mi moją własną piękną oblubienicę.

Wzruszył ją ten komplement, lecz jednocześnie ogarnęły ją straszliwe wyrzuty sumienia.

- Bardzo mi miło, panie Rawlins, ale powinienam panu powiedzieć...

Sam szybko wziął ją za ramię.

- Zaczynajmy już, dobrze?

Następne minuty wydały jej się zupełnie

nierzeczywiste. Zaledwie półtora tygodnia wcześniej jej życie było przewidywalne. Od poniedziałku do piątku uczyła muzyki znudzonych studentów college'u, w środę dawała prywatny koncert dla Carla Giovesiego, w piątek i sobotę wieczorem grała w „Club Classico”. Nudne, zwyczajne życie, zupełnie inne od tego, do którego jeszcze dwa lata wcześniej wydawała się przeznaczona, ale zaadaptowała się jakoś.

Teraz zaś stała na ziemi Indian Nawaho, surowej, niesamowicie pięknej, czując się przy tych wspaniałych skałach jak nieznaczący pyłek, otoczona ludźmi, których nie знаła i których kultura była jej obca i składała przysięgę małżeńską człowiekowi, który nawet nie powiedział jej, czy ją kocha. To znaczy nie wtedy, gdy był przytomny.

W nocy spadło trochę śniegu, pokrywał teraz ziemię oraz skały cienkim białym welonem, powodując, że sceneria, już i tak wystarczająco niezwykła, wydawała się jak ze snu. Lauren, która nie rozumiała ani słowa, jakoś poradziła sobie w trakcie odprawiania rytuałów, gdyż Sam i Annie dawali jej dyskretne znaki. Wkrótce ceremonia dobiegła końca, goście otoczyli ich, składając gratulacje, a potem wszyscy poszli do małego domku Annie Zah na przyjęcie, które ze względu na Sama trwało krótko, by ranny mógł jak najszybciej odpocząć. Goście wkrótce się rozeszli, jeszcze

raz życząc oblubieńcom szczęścia i długich lat życia, wreszcie została tylko rodzina.

Ojciec i syn wciąż zachowywali się nieco sztywno, ale obaj starali się, jak tylko mogli. Na pożegnanie Augustus poklepał Sama po zdrowym ramieniu i rzekł szorstko:

- Uważaj na siebie, synu. Gdybyś czegoś potrzebował, czegokolwiek, daj znać.

- Szczerze powiedziawszy, potrzebny mi telefon komórkowy. Ale nie może być na mnie zarejestrowany.

- Za parę dni przywiozę ci telefon na kartę.

Price'owie serdecznie pożegnali się z Lauren, a gdy przyszła kolej Augustusa, jego oczy zrobiły się podejrzanie wilgotne.

- Zawsze chciałem mieć córkę. Cieszę się, że mój syn cię znalazł. Coś mi się wydaje, że jesteś dokładnie tym, czego potrzebuje. - Nachylił się, pocałował ją w policzek, a potem wyprostował się i zerknął na Sama, który obserwował bacznie. - Mam nadzieję, że gdy to się skończy, namówisz go na powrót na ranczo, gdzie jest jego miejsce.

Lauren odpowiedziała bladym uśmiechem. Nie mogła powiedzieć Augustusowi, że nie namówi Sama do niczego, gdyż nie ma na niego żadnego wpływu, zaś ich małżeństwo jest tylko tymczasowe. Czuła się jak najgorsza oszustka.

Kiedy tylko Augustus i Price'owie odjechali,

Annie wyszła z sypialni, niosąc dwie duże torby wypchane ubraniami i przyborami toaletowymi. Sam uniósł brew.

- Wybierasz się gdzieś?

- Tak, przenoszę się do wigwamu. Podczas waszego pobytu w rezerwacie będziecie mieszkać z Lauren w tym domu. Wasza torba już stoi w sypialni.

- Proszę, nie! Nie możemy pani wyrzucać z pani własnego domu! - zaprotestowała gorąco Lauren.

- Babciu, bądź rozsądna. Nie możesz mieszkać w wigwamie.

- A to czemu? Urodziłam się i wychowałam w wigwamie. Ten dom zbudował dla mnie twój dziadek, więc przeniosłam się, żeby zrobić mu przyjemność, ale zawsze wolałam wigwam.

- Przecież tam za całe ogrzewanie służy stara żelazna koza! Nie, nie ma mowy. Zostaniemy u Larry'ego i Zety.

- Nie możecie mieszkać u nich przez kilka miesięcy, tam jest mało miejsca, będzie im ciasno. W dodatku młodzi małżonkowie potrzebują być sami.

- W porządku, w takim razie to my zamieszkamy w wigwamie.

- A czy twoja żona umie gotować na piecyku opalanym drewnem? - Mina wnuka powiedziała jej wszystko, więc Annie uśmiechnęła się z satys-

fakcją. - Widzisz, kto powinien mieszkać w wigwamie?

- Lauren szybko się uczy i łatwo się adaptuje. Poradzimy sobie.

- Ale tutaj będzie mogła opiekować się tobą lepiej, więc szybciej wrócisz do zdrowia.

- Do licha, babciu...

- Lepiej się poddaj, kuzynie - doradził Larry, stając w drzwiach kuchni. - Ja z nią rozmawiałem, Zeta z nią rozmawiała, ale to na nic. Odkąd zmarł nasz dziadek, babcia szukała pretekstu, żeby przenieść się z powrotem do wigwamu, więc kiedy pretekst wreszcie się znalazł, nic jej nie powstrzyma. - Popatrzył na babkę z czułością i irytacją jednocześnie. - Straszny z ciebie uparciuch. Poczekaj chwilę, pomogę Samowi przejść do sypialni, a potem zabierzemy cię z Zetą do wigwamu.

- Idźcie, te parę kroków dam radę przejść - powiedział Sam.

- Wygląda na to, że trochę tu pomieszkamy - rzekła nieco nerwowo Lauren, gdy zostali tylko we dwoje.

- Na to wygląda - przytaknął, odchylając głowę na oparcie kanapy.

- Powinieneś się położyć. Wyglądasz na wykończonego.

- W kwestii pójścia do łóżka nie będę się kłócił.

Spróbował wstać, skrzywił się, Lauren skoczyła

ku niemu natychmiast, pomogła mu się podnieść, ale odsunął ją zdecydowanie, gdy chciała również zaprowadzić go do sypialni.

- Moim nogom nic nie jest.

Podążała za nim niespokojnie jak kwoka za kurczęciem, gdy powoli szedł do sypialni. Kiedy usiadł na łóżku, był blady i ciężko oddychał. Jakoś nie protestował, gdy Lauren uklękła przed nim, by zdjąć mu mokasy.

- A teraz rozbierzemy cię i położymy do łóżka.

- Zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Zazwyczaj to pan młody rozbiera pannę młodą...

Podniosła wzrok i ujrzała, że Sam wpatruje się w nią intensywnym, pełnym żaru spojrzeniem. Szybko schyliła głowę, by ukryć rumieniec, do końca rozpięła guziki, ściągnęła mu koszulę i aż jej zaschło w gardle na widok tych szerokich brązowych ramion. Przeszyło ją pożądanie, ale jakoś zdołała odpowiedzieć z udawaną obojętnością:

- Tak, ale zazwyczaj pan młody nie musi wylizywać się ze świeżej rany postrzałowej.

Co się z tobą dzieje, zbeształa się w myślach. Zrobiłaś się maniaczką seksualną, czy jak? On jest ranny, słaby, dwie doby wcześniej omal nie umarł, a tobie co chodzi po głowie? No i pamiętaj, że to nie jest prawdziwe małżeństwo.

- A teraz spodnie - zaordynowała dziarsko.

Żeby ułatwić jej zadanie, położył się na plecach

i dalej przyglądał się żonie spod w półprzymkniętych powiek, zaś Lauren, starając się nie patrzeć na jego ciało, z pełną godności miną rozpięła mu rozporek. Sam lekko unióśł biodra, a wtedy ściągnęła mu spodnie, pod którymi były tylko dopasowane granatowe slipy. Szybko odwróciła oczy i zajęła się bardzo starannym składaniem koszuli oraz spodni, które potem równiutko ułożyła na krześle.

Kiedy odwróciła się do Sama, który wciąż leżał na łóżku prawie nagi, aż coś zaczęło w niej dygotać. Zaciśnęła zęby.

- A teraz usiądź.

Chwyciła go za rękę, podciągnęła go do pozycji siedzącej, drugą ręką odrzuciła na bok przykrycie. Nie była to łatwa operacja, ale w końcu udało się położyć Sama z głową na poduszce, przykrytego po pachy kołdrą.

- Gotowe - oznajmiła z ulgą Lauren. - A teraz, jeśli nic więcej nie potrzebujesz, pójdę pozamykać drzwi i przygotowuję się do spania.

- Idź, na razie nic mi nie trzeba.

Domek Annie był maleńki, składał się z pokoju dziennego, kuchni z jadalnią oraz sypialni z łazienką. Wystarczyła chwila, by zamknąć frontowe i tylne drzwi oraz pogasić wszystkie światła. Sam nie spał, gdy Lauren wróciła do sypialni. Starając się nie patrzeć na niego, wzięła ich torbę podróżną i znikła w łazience.

Nie spieszyła się. Wzięła prysznic, umyła włosy, ogoliła nogi. Użyła perfumowanego talku, który znalazła na półeczce, i jej skóra stała się jedwabście gładka. Mokre włosy wytarła ręcznikiem i to musiało wystarczyć, gdyż w łazience nie było suszarki. Na koniec włożyła flanelową nocną koszulę, która dotąd leżała na dnie torby. Koszula sięgała aż do pięt i zakrywała ją po samą szyję. Jediną ozdobę stanowił szeroki karczek z koronki, wykończony u dołu niebieską wstążką, taka sama koronka zdobiła mankiety.

Ponieważ to wszystko zajęło jej trochę czasu, spodziewała się, że Sam będzie już spał, lecz on leżał ze wzrokiem wbitym w drzwi łazienki, jakby czekał na Lauren.

- Czemu jeszcze nie śpisz?

Kiedy usiadła przy nim na łóżku, poczuła przyjemny zapach świeżej pościeli suszonej na słońcu, widać Annie pomyślała o wszystkim. Świeża pościel w łóżku nowożeńców... Lauren starała się odsunąć od siebie skojarzenia, jakie jej to nasuwało.

- Coś nie tak? Jak się czujesz?

- W porządku.

- A twoje ramię? Boli?

- Trochę, ale da się znieść.

- Może dać ci środek przeciwbólowy, który zostawił doktor Sani?

- Nie.

- Masz gorączkę? - Delikatnie położyła mu dłoń na czole. - Nie, wygląda na to, że temperaturę masz normalną.

Odsunął jej rękę.

- Przestań mi matkować - ostrzegł cichym głosem, od którego przebiegł ją dreszcz.

- Przepraszam - rzekła ze skruchą. - Może chcesz się napić?

- Nie.

- A może chcesz czegoś innego?

W jego oczach coś błysnęło, coś niebezpiecznego i szalenie ekscytującego. Wzrok Sama przesunął się po twarzy Lauren, po szyi, ramionach i spoczął na piersiach, potem znów wrócił do jej twarzy i teraz płonął już wyraźnie.

- Tak. Chcę ciebie.

Z zaskoczenia aż parsknęła cichym śmiechem.

- Sam! Przecież wiesz, że nie możemy!

- A założysz się?

- No ale... Przecież to nie jest prawdziwe małżeństwo... Zamierzałam spać na kanapie.

- Do diabła z kanapą.

Wsunął rękę w jej wilgotne włosy, próbował przyciągnąć Lauren do siebie, lecz oparła się.

- Czekaj! Twoje ramię!

- Ja się będę martwił o moje ramię, dobrze?

Powiodł spojrzeniem po skromnej koszuli, zapiętej po szyję, na jego wargach zaigrał uśmiech.

- Kupiłem to, bo myślałem, że mnie zniechęci,

ale niech mnie szlag, jeśli nie wyglądasz diabelnie seksownie.

Powoli przejechał palcami po koronce zdobiącej karczek, jej dół wypadł akurat na wysokości sutków Lauren, która bezwiednie przymknęła oczy, zadrżała. Potem jego palce powędrowały po rzędzie małych guziczków biegnących przez karczek. Nie przestając uśmiechać się zabójczo, Sam rozpiął pierwszy guziczek, drugi, trzeci... Kiedy rozpiął ostatni, wsunął zgięty wskazujący palec w wycięcie, przyciągnął Lauren bliżej. Zahipnotyzowana jego dotykiem i pełnym żaru spojrzeniem tym razem nie miała siły, by stawiać opór.

- T-to nie jest dobry pomysł - wyjąkała tylko.

- Óóó... Zrobimy to powoli i ostrożnie.

Zdrową ręką zaczął zsuwać jej koszulę z ramion, aż wreszcie miękki materiał opadł Lauren do bioder. Sam ujął jedną pierś, ścisnął lekko, przejechał kciukiem po miękkim sutku, który zaraz stwardniał, a Lauren aż jęknęła cicho. Z drugą pierś zrobił to samo, po czym uniósł się na łokciu i czubkiem języka zatoczył krąg wokół jednego i drugiego wyprężonego sutka. Lauren odrzuciła głowę do tyłu.

- Och, Sam...

Przywarł ustami do krągłej piersi, zaczął chcieć ssać, zaś Lauren wygięła się w łuk, chwyciła głowę Sama w obie ręce, przyciągnęła mocniej do siebie, spragniona dalszych pieszczot.

- Podnieś się trochę, skarbie - poprosił jakiś czas później. - O, tak dobrze... - wyszeptał i do końca ściągnął z niej nocną koszulę.

Odrzucił na bok przykrycie, otoczył Lauren ramieniem za szyję i mocno przyciągnął do siebie. Nim się zorientowała, co się dzieje, już leżała na nim. Był muskularny, ciepły, nieodparcie seksowny i zupełnie nagi. Obrócił się razem z nią na bok, a Lauren z jękiem otoczyła go ramionami, lecz naraz jej palce natrafiły na brzeg opatrunku. Zesztyniała.

- Nie, jednak myślę...

- To nie myśl. Lepiej zobacz, jak cię pragnę.
- Wziął ją za rękę, nakierował w dół, a gdy palce Lauren zacisnęły się na nim, na twarzy Sama pojawił się grymas rozkoszy.

- Co się stało? Zabolało cię coś?

Błyskawicznie cofnęła rękę i próbowała się odsunąć, ale przygarnął ją mocno do siebie i przytrzymał.

- Nie. Spokojnie, dziecko. Wszystko będzie dobrze. - Patrząc jej głęboko w oczy, kilkakrotnie poruszył biodrami i uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, jaką przyjemność jej to sprawiło. - A teraz chcę, żebyś zrobiła dokładnie to, co ci powiem. - Pocałował ją w szyję, pieszczotliwie ugryzł w ucho i głosem aż chrapliwym z pożądania wyszeptał instrukcje, od których Lauren spłonęła rumieńcem.

- Sam! - zaprotestowała.

Odchylił głowę do tyłu i aż się roześmiał, widząc jak szybko jej zszokowana mina ustępuje miejsca ciekawości.

- Naprawdę możemy to zrobić?

- Czemu nie spróbujesz i nie przekonasz się sama?

Zagryzła dolną wargę i spełniła jego życzenie - najpierw nieśmiało, a potem z rosnącą pewnością siebie.

- Tak, tak, właśnie tak - wydyszał przez zaciśnięte zęby. - O tak, tak! Oooch, dziecinko...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następne tygodnie i miesiące były najszcześliwsze w całym jej dotychczasowym życiu. Sam zaczynał emocjonalnie trochę tajać, chociaż Lauren wiedziała, że zawsze będzie matłomówny i twardy. Jako kochanek był czuły i uważny, kochał się z nią często i z tak żarliwą pasją, że zawsze poruszało ją to do głębi. Obawiała się co prawda, że intensywne uprawianie seksu opóźni jego powrót do zdrowia, lecz nie wyglądało na to. Zgodnie z obietnicą daną ojcu po tygodniu swobodnie już chodził, a po miesiącu był tak sprawny i silny jak zawsze, więc gdyby nie blizna nad łopatką, można byłoby zapomnieć, że odniósł ranę postrzałową.

Pięć dni po ślubie Augustus znów zawitał do rezerwatu. Za jego samochodem jechała wyboista

drogą ciężarówka z trzema mężczyznami w kabini. Lauren, Sam, Annie i Larry siedzieli na werandzie, kiedy oba wozy zatrzymały się przed niedużym domkiem.

- Co to niby ma być, do diabła? - spytał Sam bez zbędnych wstępów.

- Synu, coś ty taki narwany? Przywiozłem ci telefon, przecież chciałeś.

- Telefon? Wygląda, jakbyś przywiózł wyposażenie kuchni.

- Mówisz o ciężarówce? To nie dla ciebie, to dla Lauren.

- Dla mnie? - zdumiała się.

- Tak. Mały prezent ślubny. Chodź, pokażę ci. No, dalej, otwierajcie!

Wszyscy wstali i podeszli do ciężarówki, a gdy tylna kłapa opadła, Lauren aż otworzyła usta ze zdumienia, zaś Augustus uśmiechnął się szeroko.

- Pianino? - Łzy napłynęły jej do oczu. - Kupił mi pan pianino?

- Ano. Siostra i szwagier cały czas powtarzają, jaka jesteś utalentowana, to przywiozłem ci coś, na czym będziesz mogła pograć podczas pobytu tutaj.

- Ale... ale przecież to drogi instrument! Panie Rawlins, naprawdę nie mogę tego przyjąć.

- Nie możesz nie przyjąć - uciał. - I nie jestem dla ciebie żadnym panem Rawlinsem, nie zgadzam się. Nazywaj mnie tatą, papciem, ojczulkiem, czym tylko chcesz, ale nie panem Rawlinsem. I nie

przesadzaj, to tylko małe pianino, ty pewnie przywykłaś grać na czymś lepszym, ale pomyślałem, że w domku Annie nie zmieści się nic większego. Oczywiście jeśli ci się nie podoba...

- Och, bardzo mi się podoba, ale...

- Żadnych „ale”. Nie zabieram go z powrotem, wybij to sobie z głowy. Naprawdę świat upadłby już bardzo nisko, gdyby stary człowiek nie mógł zrobić małego prezentu swojej świeżo upieczonej synowej. Przecież możesz potem zostawić tu pianino, żeby inni też mogli pograć, gdyby chcieli, i żebyś miała tu instrument, kiedy przyjedziecie z wizytą. Na ranchu nie będziesz go potrzebować, bo tam już czeka na ciebie nowiutki fortepian.

- Forte... - Nie dokończyła, gdyż po prostu ją zatkało.

- Dobra, chłopaki, ruszajcie się i wnoście to do domu! Annie, pokaż im, gdzie mogą to postawić.

- Tato, czy ciebie aby trochę nie poniosło?
- spytał Sam.

- Bzdura. Całe lata czekałem, aż się ożenisz i będę miał również córkę. Ostrzegam, że zamierzam ją psuć i rozpuszczać, ile wlezie.

- Akurat w tej kwestii nie będę się spierał. Jeśli jakakolwiek kobieta zasługuje na to, żeby jej dogadzać, to moja żona.

Lauren aż serce podskoczyło z radości na te słowa, lecz nic nie powiedziała, gdyż była zbyt zaaferowana pilnowaniem, żeby mężczyźni nieśli

instrument ostrożnie. Jeden z nich okazał się stroicielem, więc od razu wziął się do pracy, zaś Lauren niecierpliwie krążyła po pokoju, nie mogąc się doczekać, aż on skończy. Gdy wreszcie oznajmił, że wszystko gotowe, natychmiast usiadła na stołku i położyła palce na klawiszach.

Już po pierwszych dwóch taktach wszyscy zamarli. Niedługo potem muzyka zwabiła Zetę i jej synów. Jacyś ludzie, którzy przejeżdżali nieopodal samochodem, usłyszeli muzykę, zjechali z drogi, zatrzymali się i na palcach weszli do już i tak zatłoczonego pokoju. Kiedy Sam zauważył jakiś czas później, że na zewnątrz stoją inni, otworzył okna, by mogli słyszeć lepiej. Kiedy po półtorej godzinie Lauren wynurzyła się z transu i zrobiła sobie przerwę, przed domem stał już tłumek ludzi.

Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Domek Annie stał przy jednej z bardziej uczęszczanych dróg w rezerwacie, więc gdy Lauren grała, prawie zawsze ktoś zatrzymywał się przed domem i słuchał. Czasem całe rodziny lub grupy przyjaciół przyjeżdżały jak na koncerty, cicho wślizgiwały się do pokoju, gdy grała i równie bezszelestnie wychodziły, gdy kończyła. Nawahowie zaczęli nazywać ją kobietą, która gra dla ye'i, czyli bogów, a ta nazwa wzruszała ją głęboko.

Żyła prawie jak w bajce. Była zakochana, a chociaż Sam ani razu nie wyznał jej uczuć, każde jego słowo, każde spojrzenie, każdy pocałunek

zdawały się o nich świadczyć. Lauren powoli zaczynała wierzyć, że on również ją kocha. Miała więc Sama, do tego mogła grać, Nawahowie podziwiali ją, nowa rodzina kochała, Larry i Zeta uczyli ją gotować, babcia Annie opowiadała jej indiańskie legendy.

Oczywiście Lauren nie była ślepa i głucha na poważne problemy, które istniały w rezerwacie, takie jak bieda, bezrobocie, brak niektórych udogodnień, które w zewnętrznym świecie były czymś oczywistym, alkoholizm. Mimo to skromne i proste życie, jakie wiodła wśród Indian, wydawało jej się kompletną sielanką po tym morderczym tygodniu, kiedy oboje z Samem kilka razy omal nie zginęli.

Prawnik Giovesiego zdołał dwa razy doprowadzić do odroczenia terminu rozprawy, prawdopodobnie po to, żeby zabójcy wreszcie zdołali wytropić zbiegów i unieszkodliwić ich na zawsze. Rozprawę przesunięto z marca na kwiecień, z kwietnia na koniec maja. Lauren jej poprzednie życie wydawało się coraz bardziej nierzeczywiste, potrafiła całymi godzinami, ba, całymi dniami nie pamiętać, co spowodziło ją do rezerwatu. Wśród krewnych Sama czuła się bezpieczna, prawie nie myślała o procesie i o tym, co stanie się później.

Tylko kilka osób znało nowy numer Sama

- ojciec, Price'owie i Ed Stanhope. Kiedy w pewne majowe popołudnie komórka odezwała się, Sam instynktownie odgadł, kto dzwoni.

Właśnie pomagał Larry'emu wyregulować silnik w pikapie i wszedł do domu, żeby wziąć z lodówki coś zimnego do picia dla nich obu. Odstawił zroszone puszki na blat, wyłowił telefon z kieszeni koszuli i jeszcze nim odebrał, poczuł, że wie, z czym Ed dzwoni.

- Tak? - rzucił do słuchawki.

- Tym razem rozprawa się odbędzie, jak było ustalone. W poniedziałek rano.

Sam potarł dłonią nagle napięte mięśnie karku i zerknął w kierunku pokoju, skąd płynęła słodka, rozmarzona muzyka. Prawie widział złote nuty unoszące się w powietrzu.

- Wczoraj mówiłeś, że obrona walczy o kolejne odroczenie.

- Sędzia ma dość i rozprawa się odbędzie. Musisz przywieźć Lauren do Denver w poniedziałek przed ósmą rano.

Kiedy Sam schował telefon, przez kilka minut stał bez ruchu, wreszcie podszedł do drzwi, oparł się o framugę i spojrzął na żonę. Nigdy nie była równie piękna jak wtedy, gdy grała. Muzyka wydawała się rozświetlać ją od środka, porywać w jakieś inne światy. Smukłe palce tańczyły po klawiszach, Lauren siedziała z zamkniętymi oczami, zupełnie nieświadoma tego, co działo się dookoła.

Serce mu się ścisnęło, gdy myślał o tym, co miał jej przekazać.

Kochał ją i nie chciał jej stracić. A gdyby nie powiedział jej o telefonie Eda? Gdyby nie stawili się na rozprawie? Właściwie czemu mieli ponownie ryzykować życie?

Może po prostu zostaniemy tutaj, pomyślał. Po raz pierwszy w życiu był spokojny i szczęśliwy. Po raz pierwszy dogadywał się z ojcem, zaczynali się ze sobą przyjaźnić. Lauren wydawała się lubić życie w rezerwacie. On sam co prawda wolałby wrócić na ranczo, ale mógł osiedlić się wśród Nawahów na stałe. Był pewien, że ojciec zrozumiałby jego decyzję. Gdyby zostali w rezerwacie, nikt nigdy by ich nie znalazł. Byłoby tak, jakby rozpułnęli się w powietrzu.

Lauren skończyła grać, otworzyła oczy i aż podskoczyła, gdy zobaczyła Sama.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś. - Naraz uśmiech znikł z jej twarzy. - Coś się stało?

- Przed chwilą dzwonił Ed Stanhope. Musimy w poniedziałek rano zjawić się w Denver na rozprawę. Pora obmyślić plan działania.

Grupa dwudziestu Indian w tradycyjnych strojach, maszerujących w stronę gmachu sądu federalnego, nie wzbudziła sensacji, gdyż mieszkańcy Denver po prostu nie mieli zwyczaju się gapić, co najwyżej ten i ów zerknął z zaciekawieniem.

- Przy wejściu są strażnicy. Zachowujcie spokój i ignorujcie ich - poinstruował cicho Sam kroczący w środku grupy.

Jedną ręką otaczał Lauren, drugą trzymał tuż przy ukrytej pod koszulą kaburze. W ciągu czterech miesięcy pobytu w rezerwacie włosy mu urosły i sięgały za ramiona, twarz opaliła się i była jeszcze ciemniejsza niż przedtem. Filcowy kapelusz ze srebrno-turkusową wstążką miał naciągnięty głęboko na oczy. Wątpił, czy ktoś z dawnych kolegów z pracy zdołałby go rozpoznać.

Lauren nosiła granatową spódnicę Zety i haftowaną bluzkę, ściśniętą paskiem w talii. Włosy upięła *wysoko i przykryła ciemnym szalem*, by nikt nie zauważył ich koloru. Włożyła też kapelusz ze słomki z szerokim rondem i trzymała głowę pochyloną, kryjąc twarz.

- Kiedy wejdziemy na trzecie piętro, będzie tam więcej strażników i pewnie również agenci FBI. Pamiętajcie, co wam powiedziałem. Gdy tylko będą mogli nas usłyszeć, wszyscy zaczynacie narzekać i upominać się o swoje, dopóki nie powiem, że wystarczy.

- Nie ma sprawy, kuzynie - odparł Larry. - Kto wie, czy przy okazji nie ugramy czegoś dla siebie?

Podstęp się udał. Wartownicy ledwie rzucili na nich okiem, zaś w środku skierowano ich do sędziego Hollowaya, gdy spytali, do kogo mają się udać w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Oczywiście

Sam doskonale wiedział, gdzie urzęduje Holloway - dokładnie naprzeciwko sali sądowej, gdzie sędzia Bruno miał przewodzić rozprawie przeciw Carlowi Giovesiemu.

Zgodnie z przewidywaniami Sama przed drzwiami sali sądowej trzymali straż dwaj wartownicy, którym towarzyszyli dwaj agenci FBI, przyjaciel Sama Todd Berringer oraz John Scudder, znany jako Scud.

Sam zakasłał, a na ten znak jego towarzysze zaczęli głośno rozprawiać, narzekać na łamanie praw Indian, powtarzać, że jeśli sąd natychmiast czegoś z tym nie zrobi, wniosą sprawę przeciw rządowi. Kiedy Todd i Scud spojrzeli na nich, Sam wstrzymał oddech, lecz nie rozpoznali ani jego, ani Lauren i obojętnie odwrócili wzrok od indiańskiej hołoty, która domagała się nie wiadomo czego.

Drzwi windy otworzyły się, wyszli z niej Augustus i Walter, bez jednego spojrzenia mijając hałasującą, udającą święte oburzenie grupę. Todd przepytął ich krótko, a potem wpuścił ich na salę rozpraw. Nawaho wie, cichnąc, weszli do sali po przeciwnej stronie korytarza, gdzie właśnie toczyła się jakaś dramatyczna rozprawa, więc prawie nikt nie wrócił na nich uwagi, gdy zajęli miejsca w ostatnich dwóch rzędach. Przez cały czas Sam i Lauren pozostawali w środku grupy.

- Co teraz? - szepnęła.

- Czekamy, aż tata przyjdzie i da znać, że twoja kolej.

Nie musieli czekać długo, gdyż kwadrans później Augustus zajął na salę i skinął na nich. Lauren ogarnęła przerażenie, zaczęła drżeć. Sam wziął ją za rękę, uściśnął, a potem pocałował żonę i zajął głęboko w przerażone zielone oczy.

- Chodź, dziecinko. Pora skopać komuś dupę i podać kilka nazwisk.

Wyszli całą grupą na korytarz. Przed drzwiami stali tylko dwaj strażnicy, Todd i Scud weszli już do środka. Nawahowie, cały czas otaczając Lauren i Sama, wdarli się na salę rozpraw. Natychmiast skoczyło ku nim kilkunastu agentów FBI, by zagrodzić im drogę.

- Co to ma znaczyć? - krzyknął sędzia Bruno, waląc młotkiem. - Spokój! Nakazuję spokój na sali rozpraw!

Augustus szepnął coś oskarżycielowi, a ten wstał szybko.

- Wysoki Sądzie, ci ludzie to eskorta świadka koronnego.

- Sprzeciw! - krzyknął natychmiast obrońca.
- To sabotaż, mający na celu zakłócenie rozprawy.

- To nieprawda. Panią Brownley już kilkakrotnie próbowano zabić - oświadczył zdecydowanym głosem oskarżyciel.

Sędzia zastanawiał się przez moment.

- Oddalam sprzeciw. Świadka Lauren Brownley proszę o wystąpienie.

Lauren zerknęła na Sama, który ostatni raz uściskał jej rękę i puścił ją.

- Poradzisz sobie.

Pomimo przerażenia ściągnęła łopatki, postąpiła do przodu.

- Jestem, Wysoki Sądzie.

Sam wraz z resztą grupy zajął miejsce z tyłu sali, lecz ukradkiem obserwował wszystkich stojących pod ścianami agentów. W przednim rzędzie nieopodal Augustusa i Waltera siedział Harvey Weiss. Lauren mówiła nieco drżącym głosem, mimo to zdała jasną i szczegółową relację z zajść pamiętnej nocy w „Club Classico”. Kiedy obrońca próbował przycisnąć ją do muru i znaleźć słabe punkty w jej opowiadaniu, nie dała się sprowokować, odpowiadała spokojnie i rzeczowo. Podczas jej zeznań Carlo Giovesi coraz bardziej purpurowiał na twarzy, a gdy sędzia oznajmił, że świadek jest wolny, gangster zerwał się na równe nogi i wybuchnął:

- Ty suko! Pomogłem ci, kiedy nie miałaś się do kogo zwrócić! I tak mi się odpłacasz? Już nie żyjesz! Słyszysz mnie? Nie żyjesz!

Dwóch strażników próbowało chwycić go za ramiona i posadzić, lecz ślepa furia dodała mu sił, zdołał ich odepchnąć, w dodatku wyrwał jednemu broń z kabury.

- Zabiję cię, suko!

- Niech to! - zaklął Sam i już pędził ku żonie.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Rozległy się krzyki, ludzie próbowali kryć się pod ławki, nastąpiło istne pandemonium. Kilku agentów rzucało się ku Giovesiemu, Sam skoczył i zbił Lauren z nóg w momencie, gdy Carlo w nią wycelował, jednocześnie najszybszy z agentów zdołał podbić gangsterowi rękę w ostatniej chwili i kula trafiła w sufit. Chwilę potem Giovesi został rozbrojony i przyduszony do podłogi.

- Nic ci nie jest? - spytał gorączkowo Sam.

- Jesteś ranna?

- Nie... Jestem w szoku, ale nic poza tym.

Pomógł żonie wstać i przyjrzał jej się z niepokojem. Kapelusz i chusta leżały na podłodze, lśniące włosy rozsypały się wokół twarzy Lauren, podkreślając jej bladość.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

Już miał coś powiedzieć, gdy kątem oka zauważył jakiś podejrzanym ruch. Todd Berringer próbował niepostrzeżenie wymknąć się z sali tylnymi drzwiami. Sam chwycił Lauren za ramię, czym prędzej zaprowadził ją między Nawahów.

- Larry, pilnuj jej. Lauren, zostań tutaj, zaraz wracam.

Sam wyskoczył na korytarz i ujrzał, jak drzwi prowadzące do schodów pożarowych zamykają się

właśnie, popędził więc w ich stronę, otworzył je. Todd, który był już na połpiętrze, z zaskoczeniem uniósł głowę.

- Cześć, Todd. Wybierasz się dokądś?

- Sam? Cholera, to naprawdę ty? Wyglądasz jak... Hej, stary, co ty? Z bronią? Do mnie?

Sam powoli schodził na dół, cały czas celując w pierś Todda.

- Koniec zabawy. Wiem, że jesteś jednym z ludzi opłacanych przez Giovesiego.

Todd już miał zaprzeczyć, ale na widok twarzy Sama zmienił zdanie. Westchnął.

- Jak na to wpadłeś?

- Tylko ty wiedziałeś o ranczu mojej ciotki i wuja. Kiedy FBI przyjechało tam po nas, zrozumiałem, kto jest informatorem.

- Cholera, zawsze byłeś bystry.

Sam poczuł gorzkie rozczarowanie. Wbrew rozsądkowi w głębi duszy żywił nadzieję, że Todd z oburzeniem zaprzeczy oskarżeniom, zdoła wszystko wytłumaczyć i udowodni swoją niewinność. Niechby nawet w gniewie próbował przyłożyć Samowi. Wszystko byłoby lepsze niż... to.

- Ci ludzie, którzy próbowali dopaść nas w Utah, też są przekupieni?

- Nie, to tamtejsi agenci, którzy po prostu wykonywali polecenia.

- Kto jeszcze siedział u Carla w kieszeni?

Nieoczekiwanie Todd uśmiechnął się.

- Zanim cokolwiek powiem, chcę się widzieć z moim prawnikiem.

Sam aż jęknął.

- Do diabła, Todd, czemu to zrobiłeś? Zawsze przestrzegałeś prawa co do joty. Jak mogłeś zaprzedać się takiej kanalii jak Giovesi?

- Stary, zdziwiłbyś się, jak łatwo pieniądze zagłuszają głos sumienia. Miałem dość pracowania za nędzną kasę i narażania się tylko po to, żeby potem sądy wypuszczały drani, których złapaliśmy. Taki mamy system prawny... Doszedłem do wniosku, że skoro oni i tak będą górą, to przyłączę się do nich i zgram coś dla siebie. Chciałem cię w to wciągnąć, ale wiedziałem, że ty jesteś cholernie uczciwy i z miejsca nałożysz mi kajdanki.

- I słusznie myślałeś. - Sam zszedł na półpiętro, wykonał ruch pistoletem, nakazujący Toddowi odwrócić się. - Wiesz, co robić. Twarzą do ściany, ręce na kark, nogi szeroko.

Todd już miał wykonać polecenie, gdy drzwi nad ich głowami otworzyły się gwałtownie i huknęły o ścianę. Sam spojrzał do góry i ku swej zgrozie ujrzał zbiegającą po metalowych schodach Lauren.

- Sam, co się dzieje? Tak szybko wypadłeś z sali...

- Cofnij się! - krzyknął, lecz było za późno.

Korzystając z zaskoczenia Sama, Todd pchnął

go mocno, skoczył ku Lauren, chwycił ją i w ułamku sekundy przycisnął jej do skroni swój pistolet, a szyję otoczył zgiętym ramieniem.

- Rzuć broń, Sam.

- Nie, Sam, nie rób tego!

- Zamknij się, kobieto. - Todd mocniej przycisnął ramię do krtani Lauren, która zaczęła się dusić.

- Puść moją żonę, Berringer.

- Twoją żonę?! - Todd spojrział na niego ze zdumieniem, potem wybuchnął śmiechem. - Nie do wiary! Ożeniłeś się z naszym świadkiem? No to ona musi być naprawdę bombowa w łóżku.

Sama ogarnęła furia, zrobił krok do przodu, lecz cofnął się, gdy były przyjaciel mocniej wbił lufę pistoletu w skroń Lauren.

- Cofnij się, albo ją zastrzelę.

- Niech jej włos z głowy spadnie, a jesteś trupem, Berringer. Masz na to moje słowo.

- Och, jaka poruszająca deklaracja. Jeśli nie chcesz, żeby twojej żonie coś się stało, rzuć broń i cofnij się. Natychmiast! Inaczej zastrzelę ją na twoich oczach.

- Lepiej zrób, co ci mówi, Sam.

Sam obejrzał się ze zdumieniem i ujrzał wycelowaną w siebie broń. Za nim stał Charley Potter.

- Ty?! Ty też?

Gorycz i rozczarowanie Sama sięgnęły zenitu. Znał swego bezpośredniego przełożonego od lat,

przyjaźnił się z nim i jeszcze minutę wcześniej dałby głowę, że Charley jest kryształowo czysty i absolutnie nieprzekupny.

- Rzuć broń, Sam. Przegrałeś.

- Nieee! - wrzasnęła Lauren, podbijając do góry pistolet Todda.

Ten przeraźliwy, przewiercający uszy krzyk na moment zaskoczył wszystkich trzech mężczyzn. Sam ochłonał pierwszy, obrócił się w ułamku sekundy i strzelił. Charleyem rzuciło o ścianę, osunął się po niej ciężko, na jego śnieżnobiałej koszuli wykwitła czerwona plama.

Sam błyskawicznie obrócił się z powrotem, zdążył więc dostrzec, jak Lauren wbija Toddowi łokieć w oko. Agent zawył z bólu, odruchowo upuścił pistolet, który z hałasem spadł po metalowych schodach.

- Ty... - Todd z wściekłością rzucił się na Lauren.

Obróciła się jak fryga i z całej siły kopnęła go w krocze. Runął na podłogę z rozdzierającym jękiem i konwulsyjnie zwinął się w pozycję embryonalną.

- Jezu, dziecinko! - Sam porwał Lauren w objęcia i mocno przytulił do piersi. Serce waliło mu jak młotem. - Nic ci nie jest?

- Chyba... nie.

- Boże, Lauren, nie strasz mnie tak więcej. Balem się, że cię stracę. - Gorączkowo obsypywał

pocałunkami jej czoło, powieki, policzki, szyję.
- Nie zniósłbym tego - wyznał z żarem. - Kocham cię, kocham. Jesteś dla mnie wszystkim, maleńka. Wszystkim!

- Och, Sam! - W jej sercu wezbrała radość.
- Ja...

Drzwi nad nimi znowu huknęły o ścianę i na schody wypadł z odbezpieczoną bronią Harvey Weiss z szóstką ludzi za nim.

- Co się tu dzieje, do jasnej cholery?

Zajął im prawie godzinę wyjaśnienie, co wydarzyło się od chwili, gdy w styczniu wylecieli z Denver, i przekonanie Harveya Weissa, policji oraz prokuratora federalnego, że Todd i Charley próbowali ich zabić. To ostatnie na szczęście zostało bardzo szybko potwierdzone, gdyż do pokoju, w którym toczyło się przesłuchanie, przyszedł agent z najświeższymi wiadomościami - Carlo dostał zawału, gdy prowadzono go do celi.

- Jest w szpitalu, pod mocną strażą. Lekarze bardzo wątpią, czy się wyliże. W każdym razie był tak wkurzony, że nasi, których kupił, nie uchronili go przed więzieniem, że wyrzesczał wszystkie nazwiska. Wszystkie siedem. - Wydarł kartkę z notesu i podał Weissowi. - Nie uwierzysz, szefie, kiedy zobaczysz, kto jest na liście.

W końcu cała sprawa została wyjaśniona. Sam i Lauren musieli przyrzec, że następnego dnia

stawia się w biurze FBI i złożą oficjalne oświadczenia, dopiero wtedy pozwolono im wyjść. Na korytarzu czekali na nich Nawahowie, Walter i Augustus.

- I jak poszło, synu?

- Całkiem nieźle, zważywszy, że właśnie sprzątnąłem mojego szefa, a przedtem praktycznie bezprawnie ukrywałem świadka koronnego.

Lauren przyglądała się, jak Sam nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Coś nie dawało mu spokoju. Już na początku rozmowy z Weissem zaczął się znowu wycofywać do swojej dawnej skorupy, choć przez ostatnie cztery miesiące był inny. Co gorsza, unikał patrzenia na Lauren.

Radość, jaką odczuwała po jego wyznaniu, zaczęła powoli ustępować miejsca rosnącemu zaniepokojeniu.

- Chodźmy stąd - zażądał Sam i nie czekając na nikogo, zbiegł po schodach.

Lauren i Augustus wymienili zdziwione spojrzenia i udali się za nim. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, ujrzeni, że Sam niecierpliwie chodzi w tę i z powrotem. Obrócił się gwałtownie i spojrzał na Lauren tak ponuro, że serce ścisnęło jej się boleśnie.

- Musimy porozmawiać

- Dobrze - odparła z udawanym spokojem, chociaż wewnątrz cała się trzęsła. Ton jego głosu oraz wyraz twarzy zdradzały aż nadto wyraźnie, że nie miał jej do powiedzenia nic przyjemnego.

Splotła dłonie, by ukryć ich drzenie i czekała. Pozostali nie odzywali się, przynosili tylko czujne spojrzenie z jednego na drugie.

- Wszystko się zmieniło. Jeśli Carlo wyciągnie nogi, a na to wygląda, nie będziesz musiała zaczynać nowego życia. Ani w programie ochrony świadków, ani ze mną - powiedział Sam.

Te słowa spadły na nią jak cios. Poczowała, jak tkwiący gdzieś pod mostkiem lodowaty supeł zaciska się boleśnie.

Uniosła brodę.

- Co próbujesz mi powiedzieć, Sam?

- Wmanewrowałem cię w to małżeństwo. Teraz, kiedy już nic ci nie grozi, możesz zdecydować, że chcesz odejść. Nie będę cię zatrzymywał. Nawet nie jestem pewien, czy indiańska ceremonia jest prawomocna dla białej kobiety. Jeśli pójdziesz z tym do sądu, pewnie całkiem łatwo uzyskasz unieważnienie małżeństwa.

- Co? - ryknął Augustus. - Co to za bzdury?

- Nie wtrącaj się, tato - ostrzegł Sam, ani na moment nie spuszczać spojrzenia z Lauren.

- Rozumiem - rzekła cicho.

Przeszył ją straszliwy ból, ledwie mogła odychać, lecz opanowała się jakoś. Zaledwie godzinę wcześniej ten mężczyzna mówił, że ją kocha, całował ją namiętnie i tulił do siebie tak, jakby nie chciał już nigdy wypuszczać jej z objęć. To wszystko nie mogło być kłamstwem.

Podejmując najdzielniejszą decyzję w swoim życiu, podeszła do Sama i zarzuciła mu ręce na szyję. Zesztywniał, spojrział na nią niepewnie. Nie była to zachęcająca reakcja, lecz Lauren bohatersko zignorowała ją i uśmiechnęła się.

- W takim razie wracajmy do środka i poszukajmy sędziego, który da nam ważny ślub, bo czy ci się to podoba, czy nie, jesteś na mnie skazany. Widzisz, Sam, ja cię kocham.

W czarnych oczach coś zapłonęło.

- Lauren... Naprawdę dużo przeszłaś. Jeśli nie jesteś absolutnie pewna...

- Jestem. Jeszcze nigdy nie byłam niczego taka pewna.

Patrzył na nią, jego drapieżna twarz wojownika była aż ściągnięta z emocji. Nagłe odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z całego serca. Śmiał się długo, głośno, a Lauren czuła, jak pod wpływem tego śmiechu dzieje się z nią coś dziwnego.

- Och, dziecinko, podoba mi się twój pomysł - rzekł, gdy wreszcie odzyskał głos. - Bardzo mi się podoba. Ale czy rzeczywiście tego chcesz? Bo jeśli zostaniesz, nie będzie odwrotu. To już będzie na całe życie.

- Na to właśnie liczę - odparła z uśmiechem.

Ujął jej twarz w dłonie i z czułością zajrzał Lauren w oczy.

- Kocham cię.

I pocałował ją na stopniach sądowego gmachu,

gdy jego rodzina i przyjaciele przyglądali im się i wiwatowali głośno. Kiedy wreszcie ich usta z ociąganiem oderwały się od siebie, Lauren musiała oprzeć się o Sama, gdyż kolana zrobiły jej się zupełnie miękkie z wrażenia. Podniosła na niego oczy i zmarszczyła nos.

- A co z tobą? Czy ty jesteś pewien? Przecież będę okropną żoną, bo nie umiem nic poza granie. Jak już dążyłeś się przekonać, ledwie potrafię coś upichcić, żeby nie umrzeć z głodu, w pracach domowych nadal jestem dość kiepska. Mogę pracować jedynie jako nauczycielka muzyki, nie zarobię w żaden inny sposób, ale takich prac jest mało. Będę ci kamieniem u szyi.

Zaśmiał się ponownie i przytulił ją mocniej.

- Uwierz mi, dziecinko, że jesteś wyjątkowo zaradna, właśnie znakomicie to udowodniłaś, spuszczać manto Toddowi. Kiedy byłaś świadkiem morderstwa, zachowałaś zimną krew. Przeżyłaś katastrofę lotniczą, przeszłaś przez góry w środku zimy, wzięłaś sprawy w swoje ręce, gdy mnie postrzelono i uratowałaś mi życie. Tak więc żaden z ciebie francuski piesek ani oferma, która ma dwie lewe ręce. Jesteś silną, zdeterminowaną kobietą i nie wątpię, że zdołasz zrobić wszystko, co będziesz chciała zrobić. - Ze zmysłowym uśmiechem powiódł dłońmi po jej szczupłych plecach, po krągłych biodrach. - Uwierz mi, bycie twoim mężem nie będzie wcale ciężkie... Aha, zanim

zdecydujesz się ostatecznie, muszę cię uprzedzić, że zamierzam rzucić pracę w FBI i wrócić na ranczo. Jeśli więc masz jakieś obiekcje...

- Jakie znowu obiekcje? Myślę, że to wspaniałe pomysły!

Widoczna w jego oczach ulga powiedziała Lauren, jak ważna była dla Sama ta odpowiedź. Jej serce wezbrało miłością.

Nachylił się, mocno pocałował Lauren w usta, a kiedy się wyprostował, otoczył ją ramieniem i z uśmiechem obrócił się z powrotem w stronę wejścia.

- Chodźmy, skarbie, i poszukajmy tego sędziego.

KONIEC